

Ladislau Dowbor

**Rozbita mozaika
(Ekonomia poza równaniami)**

**Przekład:
Zbigniew Marcin Kowalewski**

Tytuł oryginału: *O mosaico partido (A economia além das equações)*

**© Ladislau Dowbor
©Copyright for the Polish translation by
Wydawnictwo Akademickie DIALOG 2004**

Słowo wstępne do polskiego wydania

To trochę dziwne uczucie, gdy pisze się poza widnokresem, w Brazylii, zastanawiając się, jak polski czytelnik to odbierze. W pokoleniu, które – tak, jak ja – przyszło na świat podczas drugiej wojny światowej i wbrew swojej woli rozproszyło się po kuli ziemskiej, jest wielu takich, którzy uważają Polskę za swoją drugą ojczyznę i nie mogą uniknąć postrzegania świata z różnych punktów widzenia. W ich umysłach układa się mozaika, na którą składają się rozrzucone kamyczki i nadają nowy sens.

Chciałbym, aby czytelnik dostrzegł w poniższym tekście pomost prowadzący ku temu, co odmienne, ku innym kulturom, innym wartościom, ale również ku temu, co dla nas wszystkich jest wspólne: poszukiwaniu szczęścia, bogactwa współzycia, naszego chleba codziennego, poszukiwaniu, które w świetle lektur gazet wydaje się tak różne w różnych cywilizacjach, lecz w rzeczywistości okazuje się bardzo podobne, bliskie, gdy tylko wychodzimy poza wyglądy i pozory zewnętrzne, poza „kody”, które nas dzielą.

Ta książka to niejako apel skierowany do naszego człowieczeństwa – człowieczeństwa, które jest w każdym z nas. Mimo wszystkich różnic, które nas oburzają lub rozśmieszają, dziecko jest dzieckiem w Polsce, Mongolii czy Brazylii, uczucie religijne jest takie samo bez względu na to, czy modlimy się na stojąco, na kolanach czy kucając, śpiewając czy tańcząc, zgodnie z tradycjami każdego zakątka świata.

W toku naszej dziwnej przygody ludzkiej osiągnęliśmy fantastyczne postępy technologiczne i bez wątpienia mamy bardzo wydajny mózg. Tymczasem wielkie wyzwania nie tkwią w technikach, lecz polegają na stworzeniu społeczeństwa, które będzie funkcjonowało, w którym ludzie będą mogli godnie współżyć, pracować i bawić się bez nienawiści i strachu. W tym dążeniu nie ma większego znaczenia to, czy autor jest Polakiem, czy Brazylijczykiem lub trochę jednym i drugim. W tym dążeniu chodzi przecież o naszą wspólną przyszłość.

Spis treści

Słowo wstępne do wydania polskiego

CZEŚĆ I – MOZAIKA PRZESZŁOŚCI

Początki

Studia

Czas walki

Polska

Kurs na Południe

Powrót

Nikaragua, Nicaraguita

Pokolenia

Władza lokalna

Doba globalizacji

Nauka, doświadczenie życiowe, sumienie

CZEŚĆ II – MOZAIKA PRZYSZŁOŚCI

Nowe dynamiki, inne pojęcia

Od wielkiego zegara do społeczeństwa złożonego

Od wielkiej wizji do realistycznych alternatyw

Powiązanie celów gospodarczych, społecznych i ekologicznych

Powiązanie państwa, przedsiębiorstw i społeczeństwa obywatelskiego

Cele społeczne i prawa demokratyczne: od zasiłku do uczestnictwa

Kontrola przedsiębiorców: od władzy rozproszonej do władzy zhierarchizowanej

Oslabienie państwa

Przeciwwaga społeczeństwa obywatelskiego

Od trójnogu państwowego do trójnogu społecznego

Od społeczeństwa manipulowanego do społeczeństwa poinformowanego

Od filozofii piramidy do filozofii sieci

Różnorodność rozwiązań instytucjonalnych

Urbanizacja i przestrzenny wymiar celów społecznych

Odpośredniczenie państwa

Od klas-zbawicieli do wizji aktorów społecznych i kondycji obywatelskiej

„My” i „oni”: nowe znaczenie profilu etycznego

Od profilu etycznego do kultury władzy

Projekt polityczny i mechanizmy gospodarcze

Między kapitalizmem globalnym a wewnętrzną prawowitością władzy

Od wyzysku pracy do nędzy globalnej

Od nieograniczonego wzrostu do ograniczonych zasobów

Od stosunków produkcji do treści produkcji

Od jakości totalnej do hierarchizacji pracy

Od fabryki do produkcji towarów nieuchwytnych

Od produkcji fabrycznej do służb społecznych

Od przemysłu do gospodarki poznawczej

Od przestrzeni globalnych do przestrzeni lokalnych

Władza przedsiębiorcy i władza obywatela

Nowy wymiar czasu społecznego

Ogniskowa działania: włączenie wykluczonych

CZEŚĆ III – MOZAIKA ZREKONSTRUOWANA

Zinstytucjonalizowana schizofrenia

Tożsamości

USA: Pociąg do władzy

Corporate governance, czyli nadzór korporacyjny

Global governance, czyli zarządzanie globalne

Tożsamość i kultura

Wiatry zmiany

Epilog

Sugerowane lektury

CZEŚĆ 1 - MOZAIKI PRZESZŁOŚCI

*Profesor uniwersytetu wyobraża sobie,
że aby tworzyć, musi tłumić emocje...*

Milton Santos

Ekonomia pomaga kształtować nasz światopogląd, ale nie może go stanowić, ponieważ wymiar ekonomiczny to zaledwie segment tego, czym jesteśmy. Z drugiej strony, bogactwo jej możliwości wyjaśniających bierze się z tego, że moc i dynamika przeobrażeń społeczeństwa formują się wokół interesów ekonomicznych. Kto nie rozumie procesów gospodarczych, ten w końcu nie rozumie zjawisk tak elementarnych, jak to, dlaczego jesteśmy zdolni do podróży w kosmos i innych fenomenalnych wyczynów, ale nie potrafimy zapobiec tragedii 10 milionów dzieci, które umierają co roku z głodu i innych błahych powodów, czy zahamować tempa destrukcji środowiska naturalnego naszej planety.

Z kolei zrozumienie gospodarki jest tylko częściowo procesem technicznym. Sprzęgają się w nim lub łączą emocje, żywa historia, środowisko społeczne, a także narzędzia techniczne i wizje teoretyczne. Procesy pracy umysłowej nie są zawieszone w próżni, nie są izolowane. Naprawdę interesujące nie jest samo dociekanie naukowe, ale to, jakie jest jego odniesienie do prostych dylematów, wobec których staje każda istota ludzka. Che Guevara napisał gdzieś, że polityk, który nie potrafi zatrzymać się na chwilę, aby zawiązać dziecku but, niewiele rozumie. W samym centrum naszej dziwnej przygody ludzkiej są wartości, jest nasza indywidualna słabość lub życzliwość, a wszystko zależy od tego, czy potrafimy zorganizować takie społeczeństwo, które byłoby w stanie właściwie działać, czy też jesteśmy w tej dziedzinie bezsilni.

Wizja gospodarki, którą nżej przedstawiamy, pojawia się jako rekonstrukcja pewnej biografii. Będzie to, powiedzmy, portret przeżyć osoby, która wybrała zawód ekonomisty nie dlatego, że gustuje szczególnie w ekonomii, ale dlatego, że rozumiała, iż nie rozumiejąc ekonomii nie rozumiałaby innych rzeczy - świata pozaekonomicznego.

Uprawianie „ekonomii autobiograficznej” może wydawać się zajęciem narcystycznym. Wszyscy jesteśmy choćby odrobinę skłonni mniemać, że nasze własne życie jest interesujące. W tym przypadku jednak rzeczywista motywacja bierze się z przekonania, że gospodarka, której doświadczamy codziennie, może być bardziej realna od ekonomii teoretycznej hipotetycznego społeczeństwa.

Początki

Przyszedłem na świat się w 1941 r. w polskiej rodzinie. Stało się to we Francji, w domu gier nad granicą hiszpańską. Prawdopodobnie Brazylijczykowi trudno jest zrozumieć, co to znaczyło urodzić się w 1941 r. w Europie ogarniętej konfliktem, który pochłonął 60 milionów istnień ludzkich. Człowiek rodził się tam, gdzie mógł. Ponieważ w Hiszpanii panowała surowa moralność, ludzie bogaci jeździli uprawiać hazard i bawić się do Francji i tak oto reżim frankistowski usiał Pireneje kasynami. Moi rodzice, którzy brali udział w pierwszej wojnie światowej, a w drugiej nie entuzjazmowali się już hymnami patriotycznymi, uciekli przed Niemcami na południe i dotarli do Francji, i w dalszym ciągu - w miarę postępów wojsk niemieckich - uciekali na południe. Tak urodziłem się w Pirenejach, na granicy hiszpańskiej, w domu gier. Wszystko ma swoje powody.

Przyjście na świat na obczyźnie wyciska na człowieku piętno, bo rodzi się nie tam, skąd jest. Takie dziecko musi uświadomić sobie kim jest, gdyż dzieci, które ostro reagują na wszelkie różnice - w ubiorze, akcencie czy kulturze - czynią to jeszcze ostrzej, gdy mają do czynienia z dzieckiem cudzoziemskim. Tak oto od pierwszych lat życia ścierają się kultury -

nic nie jest naprawdę żywiołowe, naturalne, oczywiste, bo w domu patrzy się na wszystko w jeden sposób, a na ulicy w inny. W domu byli ojciec i matka, Polska, religia, określone wartości. Na ulicy i w szkole była inna kultura i panowały inne wartości. Dla mnie nie istniał więc „naturalny” system wartości - miałem natomiast możliwość rozmaitego oceniania każdej rzeczy. Od małości trzeba było wybierać. To utrudnia życie, ale również wzbogaca. Otaczają nas uproszczone wyobrażenia, które akceptujemy dlatego, że wszyscy je akceptują, ale które okazują się absurdalne, gdy poddaje się je odrobinie refleksji. Wrócimy do tej sprawy.

Inny czynnik to wojna. Każdy Europejczyk jest nią napiętnowany. Przede wszystkim nosi piętno głębokiego przeświadczenia, że w pewnych okolicznościach każdy - bogaty czy biedny, wykształcony lub nie - staje się bohaterem, a w innych bestią. Na widok aberracji, do jakich zdolna jest istota ludzka, przestaje się mniemać, że o zachowaniu decyduje to, czy jest się „dobrym”, czy „złym” człowiekiem. Można mniemać, że w konflikcie w Palestynie Izraelczycy są dobrzy, a Arabowie źli, zaś w obliczu sytuacji w byłej Jugosławii opowiedzieć się po stronie Serbów lub przeciwko nim. W tym celu można sięgać po wiele argumentów naukowych, ale i tak świat staje się w końcu wyszukaną wersją filmów o policjantach i złodziejach. W rzeczywistości nie chodzi o dobrych i złych. Zgodnie ze znaną maksymą, to warunki czynią człowieka takim, a nie innym. Od wychwalania tego, co dobre i piętnowania tego, co złe ważniejsze jest myślenie o okolicznościach, o kontekście, który buduje lub niszczy stosunki społeczne. Gdy było się w dzieciństwie świadkiem wojny i przeżywało się jej skutki, w człowieku pozostaje po tym głęboki ślad.

W 1951 r. przyjechaliśmy do Brazylii, ponieważ mój ojciec, inżynier-hutnik, podpisał kontrakt z Belgo-Mineira w João Monlevade. Zamieszkaliśmy tam w Vila dos Engenheiros, na osiedlu inżynierów; szkolem - pierwszym przeżytym przeze mnie szokiem w Brazylii - był widok świata tak głęboko podzielonego na tych co na górze i tych co na dole, na Vila dos Engenheiros i Vila Tanque, w której mieszkali robotnicy. Na kimś, kto przyjeżdża z Europy, robi naprawdę wielkie wrażenie fakt, że bez względu na wszystkie nowoczesne technologie, jakie się tu wprowadza, w stanie nietkniętym zachowuje się podział na *casa grande*, dwór i *senzala*, barak dla niewolników. W moim umyśle zaczęły układać się osady innej myśli, która później dotarła do mojej świadomości - że nowoczesność to godziwa forma stosunków międzyludzkich, a nie obfitość maszyn czy samochodów. Być może mieszkańcom Alfaville, sztywnego osiedla w São Paulo, podoba się ich wyspa. Jedni mniemają, że do czegoś doszli, inni są świadomi absurdu. Ci, którzy mieszkają wokół kondominium, nazwali się już „Alfavelą”. Dokąd prowadzi tego rodzaju modernizacja?

Mojemu ojcu nigdy nie przypadł do gustu autorytaryzm luksemburskich właścicieli ogromnej huty w Monlevade. Przedstawił mi pewnego dnia prosty pomysł podniesienia wydajności pracy poprzez naprawę pewnego występującego w fabryce błędu strukturalnego. Zapytałem go, co o tym sądzą w dyrekcji; słuchał mnie przerażony, ponieważ z tym pomysłem nigdy nie poszedłby do dyrekcji - nie leżało to w jego interesie. Jego postawa zrobiła na mnie wielkie wrażenie, bo wydawało mi się oczywiste, że ktoś, kto widzi, jak można coś ulepszyć, stara się to uczynić. Jest oczywiste, że z punktu widzenia mojego ojca fabrykanci to byli „oni”, druga strona barykady, inny świat. W ten sposób inżynier w przedsiębiorstwie był zarazem wewnątrz i na zewnątrz, wykonywał swoje obowiązki i otrzymywał pensję, ale poza to nie wychodził. Każda strona spełniała jedynie swoje obowiązki. Pewnego dnia wystąpił przeciwko niemieckiemu inżynierowi stając po stronie jednego z robotników. Wkrótce musiał szukać pracy w São Paulo. Fabryka również dzieliła świat na „nas” i na „nich”. Tych podziałów nie wymyślił Karol Marks.

Podczas gdy ojciec rozglądał się w São Paulo za pracą, osiedliliśmy się w Belo Horizonte, gdzie uczęszczałem do liceum im. Loyoli, a mieszkaliśmy w Gameleira. Matka była lekarką. W alejach Afonso Peny poprosiła ją o jałmużnę żebraczka z wyraźnie niedożywionym niemowlęciem w ramionach. Gdy matka ujrzała to dziecko, zrobiła awanturę

i nie odeszła, dopóki nie sprowadzono lekarza, karetki pogotowia, Bóg wie czego jeszcze. Ja, jedenastolatek, umierając ze wstydu ciągnąłem ją za rękę, ale ona taka była, nie znosiła tego, co jest nie do zniesienia i nie bała się robić awantur. Pewnych rzeczy po prostu nie akceptowała. Dziś jeszcze, dwadzieścia lat po śmierci matki, czuję dziedzictwo solidności, która ją cechowała. Dodajmy, że jeśli w latach dwudziestych chciało się skończyć studia medyczne, trzeba było być kobietą z charakterem.

Ten charakter nie wystarczył, aby przystosowała się do życia codziennego w Brazylii. Być może jednak zbyt wiele rzeczy ją tam oburzało. Po śmierci Stalina postanowiła wrócić do Polski i przygotować powrót całej rodziny. Do naszego powrotu jednak nie doszło. Pośrednim skutkiem wojny było to, brazylijski segment rodziny wrastał w miejscową rzeczywistość, a ją ponownie wchłonęła rodzina w Polsce. Ponieważ ojciec pracował w firmach operujących w interiorze, ja i brat, dorastający chłopcy zainstalowani już w São Paulo, zaczęliśmy korzystać z dużej swobody życia w miejskich pensjonatach, z wystawiania na rogach, przesiadywania w barach, gry w piłkę nożną na placach - cały ten wymiar życia, całe to bogactwo współżycia z rówieśnikami kompensowały w dużym stopniu zanik zorganizowanego życia rodzinnego. Bogactwo kultury brazylijskiej szybko trawiło dziedzictwo europejskie - czyniło tak z wieloma pokoleniami imigrantów. Ludzie są tylko ludźmi, bez względu na swoje pochodzenie.

Uczucia chodzą nieznanymi drogami. Zakochałem się rozpaczliwie w pewnej dziewczynie żydowskiej, która podobnie jak ja była polskiego pochodzenia. Gdy jej ojciec odkrył, że chodzi z gojem, wyekspediował ją bez dyskusji do Izraela, aby tam poznała odpowiednich dla siebie młodzieńców. Europa ze swoimi nienawiściami żyła nadal w Brazylii, przytłaczając mnie i Paulinę. Jej ojciec stracił w Polsce rodzinę i nie mógł wybaczyć córce, że nie dziedziczy jego nienawiści. Pracowałem przez cały rok - było to w 1963 - starając się zebrać pieniądze i pojechać do niej do Izraela - w czasach, gdy nawet wyjazd do Europy był wydarzeniem. Ponieważ mój ojciec pracował w hutach Açonorte w Pernambuco, pojechałem do Recife, gdzie zostałem reporterem w *Diário da Noite* i *Jornal do Comércio*.

Dobrze pisałem, toteż w redakcji postanowiono, że mam się zająć środowiskiem właścicieli cukrowni. Gdy zgłosiłem się celem zebrania materiału, stowarzyszenie cukrowników zaoferowało mi dwa razy tyle co zarabiałem w gazecie. Wyjaśniono, że to normalne - że gazeta wyświadcza mi uprzejmość i że dziennikarze, którzy obsługują tę branżę, otrzymują taką „pomoc”. Odmówiłem jej przyjęcia, a redaktor naczelny komentował rycząc ze śmiechu, że w prasie brazylijskiej znalazło się w końcu miejsce dla tego rodzaju odmów. W rzeczywistości szokowała mnie nie tylko zinstytucjonalizowana korupcja. Straszne wrażenie zrobiła na mnie nędza Recife. Tymczasem kopalnia pomysłów, jaką uruchomił tamtejszy rząd stanowy w czasie, gdy gubernatorem był Miguel Arraes, generowała w mieście nową dynamikę kulturalną. Mimo młodego wieku stykałem się jako reporter z Paulo Freire, Celso Furtado, Gilberto Freire, Ariano Suassuna i innymi osobistościami, które na rozmaite sposoby stymulowały refleksję o realiach Północnego Wschodu i całej Brazylii. W Ruchu Kultury Ludowej spotkałem ludzi w moim wieku, ale byli oni o wiele bardziej upolitycznieni i poświęcali się intensywnie sprawie przeobrażeń społecznych. W głowie kręciło mi się jak w kalejdoskopie, pojawiło się w niej mnóstwo nowych punktów odniesienia, a zamiłowanie do filozofii i językoznawstwa zastąpił pociąg do ekonomii. Chciałem rozumieć, co się dzieje, wiedzieć dlaczego, poznać mechanizmy i byłem już przekonany, że u podstaw kwestii społecznych leżą dynamiki gospodarcze.

Pewnego wieczoru ojciec, który mieszkał koło Açonorte, przyjechał do Recife i zaprosił mnie na kolację. Poszliśmy na langustę. Przy drzwiach restauracji stało dziecko, po którym było widać, że jest głodne. Zjadłem kolację, aby nie urazić ojca, ale dylemat etyczny stał się w mojej głowie jasny jak słońce: człowiek, który je langustę, a dziecko zostawia głodne, może albo zmienić wyznawane przez siebie wartości i dojść do wniosku, że konsumpcja

luksusowa jest rzeczą normalną w obliczu głodu dziecka, albo starać się o zmianę sytuacji, która stwarza tego rodzaju absurdy. Z biegiem czasu miałem poznać skomplikowane montaż teoretyczne, w których usiłowano dowieść, że człowiek konsumujący dynamizuje gospodarkę - tego rodzaju zakłęcia pozwalają robić z egoizmu altruizm i mieć czyste sumienie. Wtedy nie znałem jednak teorii, a młodość cechuje niedorozwój hipokryzji społecznej. Jednak nie zawsze.

Wkrótce po tym wydarzeniu przeczytałem prostą i dobrą książkę, w której dowodzono, że miłosierdzie w postaci jałmużny to dobra rzecz, ale lepiej tworzyć organizacje popierające ludzi ubogich, a jeszcze lepiej - tworzyć takie instytucje, które uniemożliwiają powstawanie biedy. Są to różne poziomy miłosierdzia. Moja „busola” etyczna była już określona, choć nie czytałem jeszcze Marksa - określiły ją po prostu moje korzenie katolickie i wartości odziedziczone po matce: ubóstwo to wielki skandal i jeśli chce się mu przeciwdziałać, nie można polegać jedynie na środkach indywidualnych.

Współzycie z twardą rzeczywistością Północnego Wschodu uświadomiło mi też inny fakt: otóż poczynając od pewnego poziomu niedostatku ubodzy tracą zdolność do samodzielnej budowy swojej przestrzeni w społeczeństwie - zostają wykluczeni. Powstaje w ten sposób ogromna masa ludności pozbawionej narzędzi redukcji swojej nędzy, a w rezultacie wolna inicjatywa i wolność rynkowa tracą wszelki sens. Jest zrozumiałe, że w grze zwanej życiem są tacy, którzy odnoszą większe sukcesy i tacy, którzy odnoszą mniejsze. Lecz aby grać, trzeba przynajmniej mieć kartę - lub kapitał początkowy - w postaci zdrowia, edukacji, pieniędzy czy czegokolwiek. W rzeczywistości nie chodzi o miłosierdzie. Chodzi o proste, przysługujące istocie ludzkiej, prawo do udziału w grze społecznej, prawo dostępu do punktu wyjścia. Ekonomia zajmuje się mechanizmami, które rządzą zachowaniem aktorów gospodarczych. Kto zaś nie jest takim aktorem? W tym czasie moje poglądy w tej sprawie były mętne. Stopniowo jednak rozumiałem coraz lepiej, że ekonomista rozmyśla, jak człowiek optymalizuje użytek, który robi ze swoich pieniędzy, jak wybiera między giełdą a dolarem i tak dalej, ale trudno sobie wyobrazić, aby objął swoją teorią szczególną sytuację milionów nędzarzy, którzy nie mają żadnego wyboru, a mimo to nie przestają być ludźmi.

Studia

W końcu 1963 r. pojechałem do Izraela. Samolotem portugalskich linii lotniczych, które oferowały zniżkę dla dziennikarzy, doleciałem z 230 dolarami w kieszeni do Lizbony, stamtąd dotarłem autostopem do Neapolu, skąd pływał do Hajfy stary, tradycyjny statek. Był pełen Żydów, którzy jechali odwiedzić swoją nową ojczyznę; nocami rozbrzmiewały hebrajskie śpiewy. Po dwóch jeszcze dniach podróży autostopem byłem z Pauliną w Ejłacie nad zatoką Akaba. Życie to nie powieść. Szukaliśmy się po omacku jak dwoje ślepców, bo oboje dojrzeliliśmy - rok w życiu młodego człowieka to wieczność, toteż byliśmy dwiema nowymi osobami, które musiały odbudować swoje stosunki wzajemne. W ciągu roku naszej separacji otwierano wszystkie moje listy do Pauliny, a ponadto ojciec kazał zabrać jej paszport, aby nie mogła wyjechać z kraju. Ona nie mogła wyjechać, a ja nie mogłem zostać, ponieważ byłem turystą, nie-Żydem, z trzymiesięczną wizą wjazdową. Uczyliśmy się twardych realiów; społeczeństwo jest zorganizowane wokół dokumentów, a nie osób. Co to zaś za organizacja społeczna, której ogniskiem nie jest osoba ludzka?

Za pośrednictwem przyjaciół z podziemnej siatki solidarności, jaka wówczas istniała, pojechalismy do pracy na plantacji nad Morzem Martwym, w Neot-Hakikar. Pracowaliśmy ze znakomitymi agronomami; nauczyłem się uprawiać pomidory, daktyle i inne warzywa i owoce, stosować nawadnianie kropłowe i inne raczkujące wówczas technologie. W straszliwym upale, który panował w tym regionie, położonym prawie 400 metrów poniżej poziomu morza, nie pytano o dokumenty i dobrze płacono.

Tam w 1964 r. usłyszeliśmy przez radio, że w Brazylii nastąpił zamach stanu; ta wiadomość spotęgowała nasze oburzenie i wolę zmian. Podwyżka płacy minimalnej i przydzielenie robotnikom rolnym ziemi, na której mogliby pracować - oto dwie oczywiste i bardzo mało wywrotowe propozycje, które wystarczyły, aby brazylijska klasa panująca dokonała zamachu stanu. Pomost łączący gospodarkę i politykę stał się dla mnie jasny jak słońce: jeśli godzicie się z nędzą większości i tym samym pokazujecie, że jesteście dobrze wychowanym narodem, nie ma problemu z utrzymaniem demokracji. Jeśli jednak powstaje groźba, że użycie demokracji do redystrybucji dochodu, sięga się po dyktaturę. Innymi słowy, aby mieć dostęp do dochodu, lud potrzebuje demokracji, ale aby mieć prawo do demokracji, nie może postulować redystrybucji dochodu. Tak rodzi się ów dziwny potwór, w którym dziś żyjemy: jest to system demokratyczny, w którym z życia społeczno-gospodarczego wyklucza się ogromne rzesze ludzkie.

Izraelczycy rozmawiali z nami o tragedii, jaką było ustanowienie w Ameryce Łacińskiej jeszcze jednej dyktatury, po czym wracaliśmy do pracy przy zbiorach pomidorów. Poza mną i Pauliną, ludźmi zagubionymi na tym świecie, byli też inni ludzie zagubieni – arabscy Beduini, z których korzystano przy zbiorach, ale którzy nie uczestniczyli w życiu politycznym i społecznym. Izraelczycy współczuli nam dyktatury w Brazylii. U siebie nie widzieli jednak problemów. Źle dzieje się zawsze u innych, a nie u nas.

Nauczyłem się hebrajskiego i emocjonowało mnie przeżywanie Biblii na żywo, gdy chodziłem po pustyni śladem skorpiona czy piłem zimną wodę z Engeddi, podczas gdy w moich uszach rozbrzmiewały słowa oblubienicy z *Pieśni nad Pieśniami*: „Mój miły jest mi woreczkiem mirry wśród piersi mych położonym. Gronem henny jest mi umiłowany mój w winnicach Engeddi”¹. W biblijnej Berszewie na skraju pustyni Negew chodziliśmy do bardzo podupadłego baru, który zawsze udzielał schronienia kilku zagubionym osobnikom i czterem ostatnim w okolicy prostytutkom. Nazwa baru była wymowna: *The Last Chance*.

Nie skarżyliśmy się. Życie wewnątrz systemu i gonitwa za pieniędzmi mogą być interesujące. Życie poza systemem też może być interesujące, a nawet romantyczne. Czy jeszcze bardziej interesujące nie byłoby połączenie jednego z drugim? Czy ma sens konieczność wyboru między jednym a drugim? Trzeba było kilku dziesięcioleci, abym zrozumiał, że nie chodzi o młodzieńcze chimery - połączenie wymogów gospodarki z naszym wymiarem ludzkim powinno być zasadniczym wyzwaniem świata, który budujemy. Jeśli efektywność gospodarcza nie służy budowie świata, który zabezpieczałby nasze życie codzienne, to jest ona głupotą. Rodzi kompetentnych, bogatych, samotnych i sfrustrowanych technokratów.

Zawsze lubiłem języki. W domu nauczyłem się polskiego, potem francuskiego. Gdy przenieśliśmy się do Brazylii, przyszła naturalnie kolej na portugalski. W szkole nauczyłem się angielskiego, bo mi się podobał, a później hiszpańskiego, włoskiego i rosyjskiego. Biblijny hebrajski przyswoiłem sobie z powodów absurdalnych. Usiłowaliśmy pobrać się z Pauliną - nie dlatego, że przypisywaliśmy duże znaczenie do samego ślubu, ale dlatego, aby miała ona prawo do paszportu brazylijskiego (ja miałem już obywatelstwo brazylijskie) i mogła wyjechać. Celem zapobieżenia niepożądanym mieszankom Izrael nie zezwala na inne śluby niż religijne - nawet na śluby ludzi wyznających różne religie. W rezultacie ona zaczęła pobierać lekcje katechizmu, a ja - chodzić do rabina w szkole religijnej; wyobrażaliśmy sobie naiwnie, że weźmiemy ślub żydowski lub katolicki w zależności od tego, którą religię „zaliczymy” jako pierwszą. Braliśmy również pod uwagę możliwość przejścia na islam, ale nie mieliśmy odpowiednich kontaktów.

Jednocześnie nachodziliśmy konsulaty i ambasady starając się znaleźć kogoś, kto zgodziłby się wbić Paulinie wizę do tymczasowego dokumentu, który uzyskała. W końcu

¹ *Biblia Tysiąclecia Online*, Poznań, Wydawnictwo Pallotinum, Wydział Teologiczny Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza 2003.

pewna wspinała pani konsul z Danii, wzruszona położeniem Pauliny, która czuła się w Izraelu jak ptak w klatce, w dość nieregularnych warunkach przyznała jej trzymiesięczną wizę. Dzięki temu uzyskaliśmy wizy do Włoch. Paulina nienawidziła Izraela z powodu permanentnej kontroli, jakiej tam podlegała, i rozpaczliwie chciała wyjechać, czuć się wolnym człowiekiem, panią swojego losu. Zmieniając taksówki jak w najlepszych filmach sensacyjnych, tyle że uciekając przed czymś zupełnie prozaicznym, bo kontrolą rodzinną, wsiedliśmy w Hajfie na statek.

To wszystko ma niewątpliwie pewien wymiar powieściowy. Patrząc z pewnego dystansu widać jak na dłoni, jak łatwo można człowieka pozbawić przysługujących mu praw tylko dlatego, że nie ma odpowiednich dokumentów, a także jak łatwo prześladowani mogą stać się nieubłaganymi prześladowcami, jak ofiary rasizmu same mogą praktykować rasizm. Widząc, jak Żydzi europejscy dyskryminują w Izraelu tak samo białych jak oni, ale nazywanych „czarnymi” Żydów pochodzenia afrykańskiego lub jak zaszczepiają swoim dzieciom rasistowskie poglądy o Arabach, zaczynałem stopniowo rozumieć, jak potężne są czynniki emocjonalne i irracjonalne. Stała się dla mnie jasna pewna prawda psychologiczna: prawa niezorganizowane nie materializują się, nie istnieją, jeśli nawet są to prawa zasadnicze.

W sześć miesięcy później rodzina Pauliny dała za wygraną i przysłała jej paszport, dzięki czemu odzyskała wolność, mogła podróżować, przekraczać granice. Zamieszkaliśmy w Lozannie. Znad Morza Martwego przenieśliśmy się nad Jezioro Lemańskie; były tam dobrze wychowane i wdzięczne łabędzie oraz uniwersytet, na który przyjmowano studentów tak naturalnie, jakby to było ich prawo nabyte - o miejsce na studiach nie trzeba było staczać krwawych bojów. Znana w świecie ekonomicznym *Szkola Lozańska* kształciła bankierów zgodnie z najlepszą tradycją Walrasa i Pareta. Była to dobra szkoła neoklasyczna z wieloma zajęciami z historii, prawa, matematyki, teorii. Nie wiem, co bardziej wzbogaca: kultura, którą człowiek przyswaja sobie w nowym kraju, czy studia. W każdym razie uważam obecnie, że poznanie rozmaitych krajów ma absolutnie zasadnicze znaczenie - dlatego również, że dostarcza konkretnych przeżyć, na których podstawie mogą rozwijać się studia teoretyczne. Przeżycia te są zaś zróżnicowane, zależą od kultur, tradycji. Skłonność do stosowania uproszczonych schematów w dziedzinie teorii ekonomicznej jest niewątpliwie w dużej mierze związana z niedostateczną znajomością różnorodności życia społecznego przez teoretyków. Próba zrozumienia gospodarki bez zrozumienia społeczeństwa nie przynosi zbyt wielu efektów.

Nauczyłem się ogólnego schematu i uzyskałem dyplom w dziedzinie ekonomii politycznej. Zaczynałem rozumieć wiele rzeczy, a im więcej rozumiałem, tym bardziej byłem zirytowany. To proste. W takim na przykład Traktacie Wersalskim podzielono po pierwszej wojnie światowej Bliski Wschód na narody zdolne politycznie do samodzielnego bytowania i narody wymagające kurateli Anglii i innych mocarstw. Znane wówczas złoża ropy naftowej znajdowały się akurat w tych krajach, które miały podlegać kurateli. Taki zinstytucjonalizowany cynizm prezentuje się zawsze w otoczce wyszukanych argumentów naukowych i rozległych uzasadnień humanistycznych. Pewna przeczytana przeze mnie historia Watykanu rozwiała wszelkie moje złudzenia co do czyjejkolwiek świętości. Maszynę wojenną Hitlera wspierały usilnie takie przedsiębiorstwa, jak General Motors, podczas gdy wiele banków szwajcarskich, francuskich i innych przywłaszczało sobie mienie zgładzonych. Ten cynizm nie należy do przeszłości. Trzeba było czekać aż do 1999 r., aby banki szwajcarskie poczuły się zmuszone wypłacić osobom ograbionym odszkodowania, i do 2000 r., aby Kasa Depozytów i Konsygnacji we Francji zaczęła zwracać zagrabione mienie - również pod presją oskarżeń publicznych. W latach dziewięćdziesiątych General Motors otrzymała dyskretnie odszkodowanie w wysokości setek milionów dolarów, ponieważ jej fabryka w Niemczech została podczas wojny zbombardowana przez aliantów. W tej fabryce produkowano silniki dla niemieckich pojazdów wojskowych! *Just business...*

Nie ma nic lepszego niż znajomość rzeczy. Historia to potężne narzędzie, które pozwala postrzegać teorię ekonomiczną w realnych wymiarach - oddzielać argumenty teoretyczne od retoryki racjonalizującej, która stara się jedynie uzasadniać interesy silniejszych.

Równolegle torowałem sobie drogę w sferze edukacji. Miałem okazję poznać Jeana Piageta - z pewnością jednego z gigantów w dziedzinie teorii poznania. Na swoje ostatnie wykłady sędziwy już Piaget zaprosił matematyków, biologów, ekonomistów i innych celem przedyskutowania metodologii naukowych. Byłem jednym z zaproszonych szczęśliwców, częściowo dzięki Paulinie, która studiowała u niego w Genewie. Ogromne wrażenie zrobiła na mnie paralela między postępowaniem Marksa w jednej dziedzinie i Piageta w innej. Zamiast mierzyć inteligencję ilościowych pomocą testów ilościowych na wzór amerykańskiego QI, Piaget skupiał się na ewolucji inteligencji. Zamiast uważać ją za zgromadzony zasób, rozumiał, że wynika ona z dialektycznego procesu interakcji zachodzącej między jednostkami ludzkimi a otaczającym ich światem. Zamiast pojmować ewolucję jako proces jednoliniowy wykazywał, jak nagromadzenia miejscowe prowadzą do zmian jakościowych, do skokowych, określających poszczególne fazy, postępów w rozwoju inteligencji. To było fascynujące, ponieważ Piaget budował pomosty między różnymi dziedzinami nauki. Chwila była dla mnie doniosła, bo moje studia w dziedzinie ekonomii zrastały się z szerszym światem nauki. Zrozumiałem wówczas wagę metody i to, że ekonomia jest ważna, ale nie wystarcza.

Czytałem Marksa, nowe książki, które wychodziły u Maspero i podobnie jak wielu innych ludzi nie posiadałem się z oburzenia z powodu wojny w Wietnamie. Nie dlatego, że wojna ta była gorsza od innych - oburzenie potęgowała gigantyczna dawka bezczelnej hipokryzji. Skala kłamstw była taka, że starła z powierzchni ziemi wiarygodność Stanów Zjednoczonych i sympatyczną fasadę przedsiębiorstw wielonarodowych; przestawało się nawet dostrzegać ich ewentualne strony dodatnie. Amerykanie mieli swojego demona - Moskwę, a my mieliśmy naszego - Amerykanów. Tak staliśmy się do pewnego stopnia komunistami - nie dlatego, że chcieliśmy nimi być ani nawet nie dlatego, że dobrze wiedzieliśmy, co działo się w krajach, w których rządili komuniści, ale dlatego, że tych, którzy nie byli po jednej stronie, polaryzacja ideologiczna spychała na drugą stronę. Jeśli Amerykanie tak kłamali - a w przypadku Wietnamu było to oczywiste - to ile mogło być prawdy w oskarżeniach, jakie wysuwali pod adresem komunizmu? Wystarczyło zapoznać się nieco z historią, aby dowiedzieć się o poparciu, jakiego rządy amerykańskie zawsze udzielały krwawym dyktaturom Batisty, Somozy, Papy Doca, Mobutu, Suharto, Pahlawiego i tylu innych. Mowa jest o milionach zabitych, miliardach dolarów stanowiących fortuny dyktatorów, powszechnej grabieży bogactw narodowych w przymierzu z przedsiębiorstwami wielonarodowymi oraz machiną państwową Stanów Zjednoczonych i innych krajów bogatych. Doprawdy, stroić się w obliczu tych realiów w piórka obrońców praw człowieka...

Uważam, że etyczny wymiar sprawy zawsze był niedoceniany. Duża część tej młodzieży, która buntowała się w Europie, podobnie jak na innych kontynentach, wraz z kupą elektrycznych sprzętów gospodarstwa domowego otrzymywała od swoich rodziców spadek moralny na żenująco niskim poziomie. Rodzice uważali, że się poświęcili i że ich dzieci skarżą się z pełnymi żołądkami, ale najszlachetniejsza część tej młodzieży chciała czegoś innego. Lecz po linii uproszczeń, które dominowały w XX wieku, ten, kto buntował się na Wschodzie, był lokajem kapitalizmu, a ten, kto buntował się na Zachodzie, był agentem Moskwy. Polityka sprowadzała się do wyboru między jednym a drugim rodzajem bandytyzmu politycznego. Odpowiednie teorie ekonomiczne - planowanie z jednej strony, liberalizm z drugiej - wyglądały na lakier teoretyczny kuso pokrywający realnie istniejące systemy: liberalizm szybko przeobraził się w scentralizowaną władzę wielkich przedsiębiorstw wielonarodowych, a realny socjalizm reprodukował symetrycznie centralizację władzy za pośrednictwem państwa.

Byłem w Paryżu, gdy w maju 1968 r. stanęła Francja. Ogromne wrażenie robił widok ludu na ulicach, społeczności osiedlowych, które organizowały się celem bezpośredniego zarządzania swoimi sprawami. Trudno oddać abstrakcyjne, ale potężne, niemal namacalne wówczas uczucie, jakie wywoływał widok pomagających sobie wzajemnie ludzi i nastrojów wolności zmieszanej z solidarnością. Uczucie to ogarnęło całą kulę ziemską, od Paryża po Woodstock, a nawet spowodowało wyłomy w ówczesnej dyktaturze w Brazylii. Wyglądało to tak, jakbyśmy odkryli, że uprawnione jest żywienie uczuć wychodzących poza zorganizowaną i zdyscyplinowaną pogoń za paroma procentami przyrostu PKB.

Utwory artystyczne wystawiano bezpośrednio na ulicach, rozmawiało się o wszystkim i o niczym z nieznajomymi. Wyplęły na wierzch ogromne pokłady długo tłumionych uczuć braterstwa międzyludzkiego i ujawniły się rozmiary frustrującego pustkowskiego, jakie stanowiło życie obracające się bardziej wokół pieniędzy niż... właśnie wokół życia.

De Gaulle, przerażony tą zmianą nastrojów, która udzielała się nawet policji i wojsku, polecał do Strasburga, aby rozmawiać o ewentualnym poparciu armii niemieckiej. Gdy trzeba było wybierać między ojczyzną a obroną własności, nie było żadnej wątpliwości; nagle okazało się, że armii tych dwóch krajów nic nie dzieli.

Manifestacje przetoczyły się przez całą kulę ziemską i ujawniły moralny upadek systemu. Niespodziewanie okazało się, że ma on nie tylko silne, ale również słabe strony.

Wiedzieliśmy mniej więcej gdzie jest zło, ale nie wiedzieliśmy, gdzie jest dobro. Na zasadzie naturalnej polaryzacji poparliśmy komunizm, ale stało się tak dlatego, że z każdego, kto miał nastawienie antyamerykańskie, automatycznie czyniono komunistę. Dlatego Kuba była ogromnie przyciągającym biegunem i przejrzystym doświadczeniem - w polityce ktoś kierował się wreszcie etyką i miał jasno określony cel społeczny. Wbrew temu, co tak usilnie głosiły brazylijskie organy bezpieczeństwa, nie chodziło o to, że ulegliśmy propagandzie komunistycznej. Kuba reprezentowała jedyną przyzwoitą opcję, jaką można było poprzeć w obliczu niesprawiedliwości, korupcji i bandytyzmu politycznego reżimów południowoamerykańskich. Niesprawiedliwości, korupcji i bandytyzmu politycznego, które w dużej mierze panoszą się zresztą do dziś.

Podobnie jak wiele innych prób przeobrażeń społecznych w XX wieku, Kuba padła ofiarą zimnej wojny - Amerykanie świadomie zmusili ją do przejścia na pozycje ekstremistyczne, czego wcale nie pragnęła, a ponieważ chciała za wszelką cenę przetrwać, łatwo było ją zepchnąć na orbitę interesów radzieckich. Dla drogi pośredniej nie było miejsca - świat musiał być albo *USA*, albo *ZSRR*. Jeśli Kuba nie chciała być proamerykańska, musiała być proradziecka. Gdy stała się proradziecka, ogłoszono, że jest śmiertelnym wrogiem. Stosunkowo mała, izolowana od świata wyspa, stwardniała politycznie na skutek agresji, których padała ofiarą, zduszona przez blokadę, miała nie przeżyć. To interesujący proces: najpierw robi się wszystko, aby pewne doświadczenie nie było zdolne do życia, a gdy takim się staje, stanowi to dowód, że model nie funkcjonuje. Ponieważ zaś popchnięto tę wyspę w ramiona Związku Radzieckiego, można było zarazem dowodzić, że to komunizm się nie sprawdza. Batista, Somoza, Mobutu okazali się przyjaciółmi demokracji. Natomiast Kubę uznano za antydemokratyczną. Naród kubański stał się igraszką - liczyły się punkty na szachownicy wielkiej strategii światowej. Biedna Kuba - *Tan lejos de Dios* (tak daleko od Boga)... i tak blisko Stanów Zjednoczonych.

Czas walki

W Paryżu zbierała się grupa studentów i profesorów brazylijskich. Finansowałem swoje studia pracując w nocnych pociągach międzynarodowych, toteż korzystając z przejazdów przez Paryż uczęszczałem na te zebrania. W wyborze walki zbrojnej nie było nic zagadkowego - wisiała w powietrzu, wszyscy dobrze znali wietnamski ruch oporu, rewolucję

kubańską, partyzantkę w Angoli, Mozambiku, Gwinei Bissau... To była po prostu jedna z możliwych opcji. Ze względu na młody wiek i niedostatek kultury politycznej nie uważałem się za człowieka zdolnego do decydowania o wielkich sprawach, toteż gdy do kraju wezwały mnie dużo bardziej doświadczone osoby, z którymi wcześniej zadawałem się w Paryżu, spakowałem walizki i wyjechałem do Brazylii.

W dwa miesiące później zostałem aresztowany. Byłem terrorystą i komunistą. Odkryłem, że policja polityczna szukała mnie od zamachu stanu - uczyłem się rosyjskiego w instytucie Brazylii-ZSRR w Recife, co stanowiło wystarczający dowód mojej działalności wywrotowej, a listy osób, które uczyły się tego języka, publikowano w gazetach, aby udowodnić, że Brazylii groził najazd wrogich sił. Nie wystarczyło wyjaśnienie, że z powodu zamiłowania do języków uczyłem się w tym samym czasie angielskiego w Instytucie Roosevelta i włoskiego w Kole Włoskim. Po pewnym czasie wiszenia na „papuzim drążku” i doznawania elektrowstrząsów oraz mając zwichnięte zebro, dałem za wygraną. Wymyśliłem, że na wiadukcie Santa Efigênia odbierałem ze skrytki w murku wici terrorystyczne. Rzuciłem się przez balustradę, ale sznur, którym miałem związane ręce, zaczepił się o nią i zawisłem w powietrzu. Znowu były elektrowstrząsy.

Na trzecim piętrze budynku, w którym mieścił się wówczas Stanowy Wydział Dochodzeń Kryminalnych (DEIC), przewijały się postaci folklorystyczne. W mojej celi pewien młody człowiek, który wsadził dwie kule w głowę właściciela samochodu, nie mógł zrozumieć, dlaczego osoba, której przykładą się do głowy trzydziestkę ósemkę, może nie okazać posłuszeństwa. Był oburzony. W sąsiedniej celi siedziała młoda dziewczyna. Od czasu do czasu zjawiał się u niej policjant, kazał się jej opierać o kratę, obmacywał ją i maltretował seksualnie. Niektórzy usprawiedliwiali go mówiąc, że to kurwa. On należał do sił porządkowych, te zaś w chwili mojego aresztowania w ciągu trzech minut podzieliły się moim zegarkiem, pieniędzmi i butami.

Przedstawiono mnie całej ekipie dyżurnej. Jeden z policjantów wyjaśnił mi, że zatrzymuje się bandytę i gdy pozna go cała ekipa, puszcza się go wolno z zaleceniem, aby w każdej chwili miał przy sobie pieniądze na wypadek, gdyby natknął się na któregoś z jej członków. Jeśli nie będzie miał pieniędzy, wraca do DEIC i czeka go połączone z elektrowstrząsami wiszenie przez całą noc na „papuzim drążku”. Bandyta zaczyna więc dla nich pracować, z amatora staje się zawodowcem i uzyskuje zgodny z nową funkcją tytuł: staje się osobnikiem *poskromionym*. Od tego czasu system ten z pewnością się zmodernizował. To część cudu gospodarczego.

Po tygodniu byłem wolny; działo się to przed Aktem Instytucjonalnym nr 5 i inne organy nie wiedziały o moim aresztowaniu, a komisarz dostał od moich towarzyszy solidną łapówkę. Tym razem była to już walka na całego. Tortury uzasadniały walkę zbrojną; z kolei policjanci i wojskowi uzasadniali tortury tym, że walczymy z bronią w ręku. Gdy dochodzi do ostrych polaryzacji, winna jest zawsze druga strona. Odkryłem ogrom maszyny pośredniej, na którą składali się policjanci, adwokaci, dziennikarze, księgowi i inni - to oni zapewniają funkcjonowanie systemu korupcji i przemocy możliwych. Są to szczury piwniczne każdego systemu ucisku.

Walka była dramatycznie nierówna. Rzecz nie w tym, że z naszej strony działały małe grupy studentów. W tym czasie siedziało w więzieniach ponad dziesięć tysięcy osób, a dziesięć tysięcy osób gotowych ryzykować życie, aby coś zmienić, to ogromna siła. Ludność chowa się widząc, że atmosfera jest niebezpieczna. To naturalne. Któż nie przeżywa tej nieustającej sprzeczności między chęcią zapewnienia sobie wygody, zbudowania swojego życia, a szokiem wywołanym widokiem biednego dziecka na ulicy? Oba te uczucia są uprawnione. Nie chodzi o to, aby wybierać, lecz o to, aby zorganizować systematycznie takie społeczeństwo, w którym jest dla wszystkich miejsce.

W następnych latach broniliśmy się jeszcze bardziej energicznie, bo represje zmuszały nas do szukania zasobów, ratowania ludzi, którym podczas przesłuchań groziła śmierć, zapewniania osłony siatkom solidarności. Cała machina przekazu była oczywiście w rękach aparatu represji i wielkich grup gospodarczych, które go popierały. Z biegiem czasu wielkie media usprawiedliwiły swoje ówczesne postępowanie cenzurą, której rzekomo podlegały. Dziś, po trzydziestu latach, warto zapoznać się z wyznaniem Mino Carty, jednego z niewielu, którzy powiedzieli w tej sprawie prawdę: „Wielka prasa to jedna z hańb brazylijskich. Broniła zamachu stanu w 64 r. i zamachu w zamachu, który miał miejsce w 68 r. [chodzi o Akt Instytucjonalny nr 5]. Z wyjątkiem «Estadão» wielka prasa nigdy nie była cenzurowana. Ani «Folha», ani «O Globo», ani »JB«. «Estadão» oceniano po prostu dlatego, że wśród uczestników zamachu wystąpiły rozbieżności, a nie dlatego, że był przeciwny zamachowi. (...) Główną cechą tej elity brazylijskiej jest poczucie wyższości i tchórzostwo, nie mówiąc już o ignorancji i pysze.”

Tym, co zdecydowało ostatecznie o układzie sił, była zdolność reżimu do stworzenia nowej klasy średniej, która miała dostęp do uniwersytetów, własnych mieszkań i dopiero co stworzonego rynku kapitałowego. Był rok 1969 - rok cudu gospodarczego. Od zamachu stanu do wzniesienia walki zbrojnej upłynęły cztery lata i oburzenie przeobraziło się w minimalnie zorganizowaną akcję ludową. W ciągu czterech lat proces koncentracji bogactwa zapewnił systemowi nową logikę i spowodował przez pewien czas spory wzrost, który radykalnie zredukował bazę polityczną ruchu. Reszta to był długi i bohaterski opór. Zostałem przywódcą, ale nie było to moją zasługą, bo w miarę jak jedni towarzysze padali, inni musieli ich zastępować.

Nigdy nie uważałem, że ta walka była niepotrzebna. W kilka lat później, już na wygnaniu, odnalazła mnie grupa młodych Brazylijczyków, którzy powiedzieli mi, jak wielkie znaczenie miało dla nich w tych „ołowianych latach” to, że byli tacy, którzy się nie ugięli, lecz walczyli i umierali. Pewien dziennikarz zapytał mnie kiedyś, czy wyrażam skruchę, bo „się nie udało” - nie zdobyliśmy władzy. Uważam, że nie chodzi o cele, o walkę o władzę, lecz o sprawę, która każe się przeciwstawiać. Frantz Fanon dobrze scharakteryzował tego, kogo nazwał „człowiekiem zbuntowanym” - dla niego są rzeczy, których po prostu się nie akceptuje; to kwestia godności, a nie rezultatów.

Uwięziono mnie po raz drugi i wymieniono na ambasadora zachodnioniemieckiego, którego uprowadzili partyzanci, i tak oto pewnego dnia o świcie w czerwcu 1970 r. wylądowałem z grupą czterdziestu więźniów politycznych, którzy w ten sam co ja sposób wyszli na wolność, na lotnisku Dar El Bejda w Algierze. Przyleciałem tak, jak wyszedłem z więzienia - bez butów, bez dokumentów, z oparzeniami od elektrowstrząsów, które sfilmowało mnóstwo ekip telewizyjnych z całego świata. Tego samego dnia do Algieru przyleciał z wizytą oficjalną król Arabii Saudyjskiej Fajsal. W miejscowym dzienniku *El Moudjahid* ukazały się na pierwszej stronie dwa tytuły - jeden o przyjeździe czterdziestu byłych więźniów brazylijskich, drugi o przyjeździe króla. Lud, jak to lud, podsumował sprawę: przylecieli Ali Baba i czterdziestu rozbójników.

Ludność tamtejsza, mająca za sobą długie lata walki z okupantem francuskim, przyjęła nas z ogromną, żywiołową serdecznością. Taksówkarze wozili nas za darmo i całe rodziny przyjmowały nas w domach prywatnych. Tylko nieliczne z nich kogoś nie straciły lub nie miały wśród swoich członków kogoś, kto był torturowany. To tu zrodziła się technika łącząca „papuzi drażek” z elektrowstrząsami. Ci ludzie całkowicie się z nami utożsamiali. Okoliczności mają decydujący wpływ na kształtowanie się takich, a nie innych wartości. Tam nikomu nie przychodziło do głowy nazywać nas terrorystami czy błądzącymi studentami. Przedstawiciele ruchu wyzwolenia Angoli wyjaśniali nam swoje formy walki, Wietkong sugerował nam strategię, ruch palestyński informował o swoich dramatach, Czarne Pantery ze Stanów Zjednoczonych chciały dowiedzieć się czegoś o ruchu czarnych w Brazylii, działacz

Afrykańskiego Kongresu Narodowego Johnny Makatini dyskutował z nami o sposobach odbicia Mandeli z więzienia. W sytuacji, gdy trzy czwarte bogactwa światowego znajdowało się w rękach grupy krajów bogatych i gdy pośród dramatycznych bojów narody ubogie usiłowały zerwać okowy kolonializmu i niedorozwoju, walka nie była ekstremizmem, lecz kwestią przyzwoitości. Wola zmiany wydawała się powszechna.

Potrzeba zmiany była też dość oczywista. Co robiła Portugalia, najbiedniejszy kraj Europy, na innych kontynentach, na których starała się utrzymać kontrolę nad dziesięć razy większymi od siebie krajami? Co robili Amerykanie w Wietnamie? Jak organizacje międzynarodowe i kraje bogate mogły z czystym sumieniem popierać najkrwawsze dyktatury, które zaliczały do reżimów „zaprzyjaźnionych”? Jak u schyłku XX wieku można usprawiedliwiać handel bronią i nazywać biznesem rozbudowę potencjału zniszczenia rodzaju ludzkiego? Jak można było przedstawiać system jednopartyjny na Kubie jako dyktaturę, a system jednopartyjny w Meksyku jako demokrację, nie mówiąc już o dziesiątkach innych dyktatur popieranych przez kraje bogate? Jakim prawem przedsiębiorstwa wielonarodowe finansowały zamachy stanu? Istniało oczywiście cudowne usprawiedliwienie tego wszystkiego - niebezpieczeństwo komunistyczne.

Było dla mnie jasne, że jedno barbarzyństwo nie może usprawiedliwiać innego - sam tak często wysuwany w krajach komunistycznych argument, że cel uświęca środki, był barbarzyński. W Brazylii biskup Geraldo Proença Sigaud usprawiedliwiał tortury mówiąc, że „zeznań nie wydziera się z pomocą słodczy”. Dyktatura narzuciła swoją konstytucję nie konsultując społeczeństwa, a pewien prawnik skwitował sprawę mówiąc, że „rewolucja stwarza swoją własną praworządność”. CIA finansowała swoje operacje handlując kokainą i heroiną i tłumaczyła, że musi mieć tajne fundusze. Prawda jest taka, że są środki, które wynaturzają cele.

Teraz, na wygnaniu w Algierii, w centrum naszych dylematów była z jednej strony jasna, wywołująca nasze oburzenie świadomość logiki rzeczy, a z drugiej poczucie, że nasza zdolność do jej zmiany jest ograniczona. Rozumieliśmy zarazem, że ogromna masa osób walczących o postęp społeczny, do których my się zaliczaliśmy, wnosi decydujący wkład w ten postęp. Mimo przejściowych porażek tacy ludzie, jak Martin Luther King, Carlos Marighella, Patryce Lumumba, Salvador Allende, Amilcar Cabral czy Mahatma Gandhi, nie zginęli na próżno - to potrafiąca dać wyraz swojemu oburzeniu część ludzkości umożliwiła w końcu takie zdobycze historyczne, jak zniesienie niewolnictwa, postęp społeczny dla czarnych w Stanach Zjednoczonych, koniec kolonii, obecność kobiet, organizacja pracowników. Tym, co zamykało się przed nami, nie były walka i przyświecające jej cele, lecz wiodąca - jak mniemaliśmy - do postępu społecznego droga na skróty w rodzaju *fast tracks*, która pozwoliłaby nam osiągnąć cele polityczne bez budowy odpowiednich fundamentów w sferze kultury społecznej i politycznej ludności.

Zaczynał się rok 1972. Na zgromadzeniu w Santiago de Chile, na którym dokonaliśmy bilansu, zaproponowałem rozwiązanie organizacji i zreorganizowanie się w taki sposób, abyśmy do walki z dyktaturą mogli wnieść innego rodzaju, a zarazem szerszy wkład. Między zwolennikami i przeciwnikami mojej propozycji istniała równowaga sił, ale ją odrzucono. Było dla mnie jasne, że podczas głosowania wielu z nas kierowało się bardziej emocją niż rozumem, a przede wszystkim rzuciło na szalę ciężar poczucia winy, że oto jesteśmy bezpieczni za granicą, podczas gdy inni umierają w Brazylii. Nie potępiam takiej postawy, ponieważ nikt nie kieruje się samym tylko rozumem. Dla ukształtowania się moich poglądów było jednak ważne zrozumienie tego, że grupa polityczna - później okazało się, że podobnie jest z grupami religijnymi, a nawet naukowymi - może stworzyć rodzaj rzeczywistości wirtualnej i mówić o świecie w swoim własnym języku.

Walka trwała. Paulina, która przyjechała do mnie do Algierii, została wysłana do Recife celem ratowania zagrożonych towarzyszy. Zginęła razem z nimi. Włączyła się do walki, gdy

ja już się z niej wycofywałem; oddaliliśmy się od siebie - nie ze względów uczuciowych, lecz z powodu szaleństwa i napięcia tamtego czasu.

Polska

Byłem w dużej mierze Polakiem, ale nie urodziłem się w Polsce ani jej nie znałem. Kraj ten bardzo mnie pociągał - tym bardziej, że zawsze uważałem, iż należy pogodzić się z przeszłością i poznać swoje korzenie. Po latach podziemia i wykorzenia społecznego odczuwałem przemożną potrzebę normalności, przyjrzenia się rzeczywistości z pozycji zwykłego obywatela. Była też we mnie ogromna ciekawość organizacji politycznej i gospodarczej realnie istniejącego socjalizmu.

Jeśli chodzi o normalność, to stopniowo odbudowałem swój świat. Znowu byłem z matką, którą odnalazłem w Polsce jako żwawą i jak zawsze skłoną do kontestacji staruszkę. Uważała histerię konsumpcyjną w krajach bogatych za zjawisko patologiczne i twierdziła, że optymalny jest komunizm, bo strzeże Polskę przed postępem gospodarczym. Władze, słysząc to, uśmiechały się zakłopotane. Odnalazłem też brata Mariusza, który pojechał do Polski na studia na politechnikę, ożenił się z Polką i w końcu tam osiadł.

Wziąłem ślub z Fatimą, córką Paula i Elzy Freire, którzy też byli uchodźcami - w wyniku swoich kolejnych wygnań była tak jak ja zagubioną w przestrzeni istotą, ale posiadała niezwykłą zdolność chodzenia po ziemi. Znalazłem w niej swoją kotwicę.

Fátima należała do poprzedniego pokolenia emigrantów. Paulo Freire, który odważył się uczyć swoich ziomeków z Północnego Wschodu czytania i pisanie, co stanowiło wówczas wystarczający dowód silnych skłonności komunistycznych, trafił do więzienia, a następnie musiał wyemigrować. Dla Fatimy wyjazd z Brazylii w 1964 r. oznaczał porzucenie w wieku lat piętnastu grona przyjaciół, dalszej rodziny, przelotnych miłości (określenie typowe dla człowieka żonatego), szkoły. W Chile Paulo Freire pomógł opracować programy nauczania dorosłych i natychmiast zaproszono go do Harvardu na wykłady. Następnie - ciągle jako uchodźca nie mający nawet brazylijskiego paszportu - wyjechał do Genewy, gdzie pracował w Światowej Radzie Kościołów; udzielał też wielu rządów pomocy w tworzeniu programów walki z analfabetyzmem. Fátima towarzyszyła mu, podobnie jak reszta rodziny. W każdym kraju trzeba było odbudować przyjaźnie, życie towarzyskie i wiele już razy zniszczone życie uczuciowe. To niełatwe.

Luzie zagubieni się rozpoznają. My rozpoznaliśmy się żywiołowo i natychmiast postanowiliśmy być razem.

Władze polskie dały mi paszport - pod warunkiem, że nie wykorzystam go w celach wywrotowych. Przyznały mi też stypendium, do którego dorabiałem ucząc języków w rozmaitych instytucjach. Kalejdoskop znowu się kręcił - ponownie studiowałem starając się zrozumieć procesy społeczne i odbudować swój światopogląd. W Lozannie studiowałem po linii neoklasycznej. Teraz, studiując po linii Oskara Langego, Kaleckiego i innych, patrzyłem na świat przez inny pryzmat. Mówiłem po polsku, toteż nie było mi trudno.

Odbyłem wyższy kurs planowania narodowego, na który uczęszczali Polacy, Afrykańczycy i inni i dyskutowali o systemach organizacji gospodarczej. Wiele dyskutowało się tam o szczególnych warunkach rozwoju przy nieograniczonej podaży siły roboczej, o wyborze technologii wiodących lub alternatywnych, o doświadczeniach Polski, Indii, krajów arabskich i innych. Oś teoretyczną stanowiły prace Kaleckiego. Ponieważ studiowałem już ekonomię neoklasyczną, duże wrażenie zrobiło na mnie to, że obie wizje są bardziej komplementarne aniżeli wzajemnie sprzeczne. Czym innym jest bowiem regulacja koniunktury i krótkofalowego rozwoju dojrzałej gospodarki w krajach rozwiniętych, a czym innym - kształtowanie opcji długofalowych w budowanej dopiero gospodarce.

Czytałem ponownie klasyków - okazało się, że Adam Smith jest o wiele bardziej postępowy niż wynikałoby to z karykatury, jaką czyni zeń liberalizm, podobnie jak Marks jest o wiele ostrożniejszy w formułowaniu alternatyw niż wynikałoby to z tego, co głosił komunizm. Nie chodziło o to, że „w praktyce teoria nie działa”. Planista Paweł Sulmicki mawiał: „Nie ma nic bardziej praktycznego od dobrej teorii”. Moje ponowne lektury - wielu je wówczas uprawiało - wynikały z niejasnego poczucia, że same podstawy teoretyczne są dość śliskie. Poszukiwaliśmy nowych sformułowań - wbrew establishmentowi akademickiemu, starającemu się stanowczo ograniczyć wszystko, co mogłoby wstrząsnąć naszymi paradygmatami. Przypominało to czasy panowania władców chrześcijańskich - wolno było wówczas głosić co się chciało, ale pod warunkiem, że były to idee arystotelesowskie. Tego rodzaju trudność występuje do dziś - jeśli ktoś nie zgadza się z autorytetami, które początkowo zapewniały wiarygodność ideologiczną, wygląda to na zdradę. Zarówno na lewicy, jak i na prawicy rezultatem jest niestrudzona repetycja coraz bardziej surrealistycznych sloganów, podczas gdy rzeczywistość wymaga nowych podejść.

Zdumiało mnie bogactwo zbiorów bibliotecznych w Szkole Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie. Znalazłem tam wszystkie prace Celso Furtado, Caio Prado Júniora, Roberto Simonsena i wielu innych obok dawnych dzieł - na przykład prac Antonila. W wiele lat później na Papieskim Uniwersytecie Katolickim w São Paulo spotkałem Orlando Valverde i powiedziałem mu, jaką przyjemność sprawiła mi możliwość czytania jego dzieł w Warszawie. Poruszony zwrócił się do swojej żony: „Słuchaj, oni czytają tam książki brazylijskie. Kiedy takie otwarcie nastąpi na naszych uniwersytetach?”

Postanowiłem zająć się systematycznie historią gospodarczą Brazylii, poznać fakty. Wyszła z tego moja praca doktorska, *Kształtowanie się zależnego kapitalizmu w Brazylii*. Ma ona zasadniczo metodologiczny charakter; porządkuje badane i analizowane przez klasyków fakty, ale odniesienie teoretyczne znajduje w teoriach Samira Amina, Christiana Palloix, Andre Gunder Franka i związanych z teorią zależności autorów latynoamerykańskich. Praca ta ukazała się później w Polsce, Francji, Portugalii i Brazylii. Mówiąc pokrótce, zrozumiałem, że należy uciekać przed wielkimi uproszczeniami, które czynią z Brazylii czy to biedną i bierną ofiarę imperializmu, czy też samodzielnego giganta. Złożona interakcja gospodarek słabo rozwiniętych z gospodarkami panującymi to centralny problem teoretyczny. Dziś, w obliczu procesów globalizacji, które przeżywamy, problematyka podporządkowanego położenia w systemie światowym ponownie staje się niezwykle aktualna.

Wyglądało na to, że pewne kłopoty nigdy się nie skończą. Ambasada Brazylii nie chciała wydać Fatimie paszportu, bez którego nie mogła ona wyjechać z Polski choćby po to, aby odwiedzić rodzinę w Genewie. Jednocześnie ambasada ta informowała rząd polski, że Fatima nie jest uchodźcą i że dostanie paszport, ale załatwienie sprawy musi potrwać i należy zachować cierpliwość. Gdy minęło dwa i pół roku, a Fátima ciągle nie miała paszportu, rząd polski przekonał się, że w praktyce jest ona uchodźcą politycznym, a ponieważ byliśmy małżeństwem i urodził nam się w Warszawie syn Aleksander, przyznał jej obywatelstwo polskie. Znów byliśmy obywatelami. Ja zaś jako doktor ekonomii nie byłem już wywrotowcem, lecz osobą o postępowych poglądach.

Trzy spędzone w Polsce lata były niesłychanie bogate - zarówno ze względu na studia teoretyczne, które odbyłem w tym kraju, i badania nad historią gospodarczą Brazylii, które mogłem w nim przeprowadzić, jak ze względu na możliwość praktycznego poznania ogromnych zatorów biurokratycznych, jakie cechowały istniejącą tam wersję socjalizmu. Zarazem jednak odkryłem w Polsce mnóstwo niesłychanie interesujących rozwiązań. Kółka rolnicze, które w bardzo zdecentralizowanych i elastycznych formach zapewniały drobnym rolnikom kredyty, pomoc techniczną, pierwotną komercjalizację, możliwość korzystania z magazynów i wynajmu maszyn, okazały się funkcjonalne, ponieważ zarządzali nimi sami chłopcy, i niezwykle sprzyjały wzrostowi produktywności, co zadawało kłam wszelkim

odmianom teorii stawiających na ekonomię (czy efekt) skali – na korzyści osiągane przez zwiększenie skali produkcji. Natomiast etatyzacja rolnictwa miała katastrofalne skutki.

Gdy urodził się nam syn, odwiedziła nas pielęgniarka, aby w pierwszych dniach pomóc niedoświadczonym rodzicom - ileż to przyszłych wydatków na leczenie można zaoszczędzić dzięki takiemu prostemu rozwiązaniu! W każdym osiedlu istniały przychodnie zajmujące się prewencją i oddzielone od przychodni dla chorych. Pozwalało to wykrywać zawczasu najrozmaitsze problemy zdrowotne i unikać zakażeń. Celem zapobieżenia nadmiernej urbanizacji upowszechniało się instalowanie ośrodków kulturalnych i naukowych w miastach prowincjonalnych, co nazywano „deruralizacją wsi” - zmniejszył się dzięki temu exodus do wielkich miast i ulegało zrównoważeniu przestrzenne zagospodarowanie kraju. Stało się dla mnie jasne, że istnieją niezliczone, funkcjonalne alternatywy zarówno dla scentralizowanego biurokratyzmu, jak i dla dzikiego liberalizmu; chodziło jednak o to, aby pomyśleć o warunkach instytucjonalnych, które byłyby w stanie przyswoić sobie takie alternatywy. Stwierdziłem też, że technokratyczna władza administratorów przedsiębiorstw państwowych może być równie rozległa, jak władza technokratyczna w przedsiębiorstwach prywatnych - własność środków produkcji może już nie być sprawą zasadniczą.

Równie ważne było dla mnie śledzenie debaty o zmianie podziału administracyjnego kraju, która to zmiana pozwoliła w 1973 r. na połączenie licznych gmin w większe jednostki. Ta pozornie drugorzędna, czysto administracyjna reforma, decentralizując życie polityczne zmieniła radykalnie układy sił. Podczas gdy poprzednio małe gminy musiały zabiegać w odpowiednim ministerstwie o zakup karetki pogotowia czy zatrudnienie policjanta, teraz, dużo większe, zaczynały lokalnie rozwiązywać swoje problemy. Tak oto zamiast dotychczasowego - rozbitego na poszczególne branże i zbiurokratyzowanego - trybu podejmowania decyzji, powstawała możliwość podejmowania ich z większym udziałem zainteresowanych obywateli - i to w scalony, o wiele elastyczniejszy i efektywniejszy sposób. Władza uległa radykalnemu upoziomowieniu, co później stworzyło rozległą przestrzeń dla ruchu na rzecz demokracji.

W sferze teoretycznej zrozumiałem ważną rzecz: Marks obstawał przy uspołecznieniu środków produkcji jako sposobie przeobrażenia stosunków politycznych, które miałyby pozwolić na budowę społeczeństwa bezklasowego. Chodziło o przeobrażenie stosunków produkcji (bazy), która pozwoliłaby na przeobrażenia polityczne (w nadbudowie) sprzyjające tworzeniu społeczeństwa demokratycznego, w którym byłoby mniej ucisku państwowego, ponieważ państwo nie zapewniałoby panowania jednej klasy nad inną. Społeczeństwa tzw. realnie istniejącego socjalizmu ze Związkiem Radzieckim na czele dokonały przeobrażeń gospodarczych, ale nie przeprowadziły odpowiednich przeobrażeń politycznych. *Sowiety* (po rosyjsku rady) istniały tylko na papierze. Uspołecznienie gospodarki bez uspołecznienia polityki nie ma sensu. Byłby to kapitalizm państwowy, zmieniający sposoby dostępu do przywilejów, a nie znoszący przywileje.

W każdym razie zaczynałem sobie uświadamiać, że problemu nie należy stawiać w kategoriach alternatyw komunizm/kapitalizm, prywatyzacja/upaństwowienie, państwo minimalne/państwo maksymalne, lecz szukać takich powiązań, które pozwoliłyby zapewnić zarówno dynamizm gospodarczy, jak i postęp społeczny. W rzeczywistości żaden ustrój nie odpowiadał na to prozaiczne i ogromne wyzwanie - w pełni aktualne i dziś, na początku nowego tysiąclecia.

Kurs na Południe

W 1975 r., gdy w Portugalii upadła dyktatura faszystowska, szukano tam kadr, które zreformowałyby nauczanie rozpaczliwie zacofanej ekonomii. Przyjąłem zaproszenie uniwersytetu w Coimbrze. Poza ekonomią rozwoju miałem nauczać finansów publicznych na wydziale prawa. Ostatnim kierownikiem tej katedry był niejaki Francisco Salazar. Zająłem jego miejsce najlepiej jak potrafiłem. Na wydziale prawa panował nadal niesamowity formalizm. Asystentowi, którego mi przydzielono, pokazałem kilka książek i zasugerowałem, aby je przeczytał, a następnie porozmawiamy. „Porozmawiamy, panie doktorze? Przyjdę pana *przesłuchać*.” Dzielny kandydat na doktora patrzył na mnie tak zadowolony z tego, co powiedział, jakby zniósł jajko. Niezwykle są drogi, jakimi może chodzić nasza potrzeba dowartościowania. Przypomniałem sobie sympatyczną radę mojego ojca: „Nigdy nie trać poczucia śmieszności - umiej śmiać się z samego siebie”.

Mieszkamy na planecie, na której niszczy się podstawowe zasoby, z zupełnie nieistotnych powodów umiera corocznie dziesięć milionów dzieci, trzy miliardy ludzi żyją za niecałe dwa dolary dziennie, toczy się około pięćdziesięciu wojen, a osoba wykształcona, która miała przywilej ukończenia dobrych studiów i zaszła wysoko, uważa, że najważniejsze to pysznić się jak paw swoim własnym znaczeniem.

Nie rzucam pierwszy kamieniem. Wszyscy jesteśmy podatni na przypyły pychy. Mamy jednak obowiązek zachowywać świadomość i poczucie rzeczywistości. To niełatwe, gdy każda reklama telewizyjna, każdy afisz uliczny, każde przesłanie, którym jesteśmy codziennie bombardowani, oferuje nam obrazy sukcesu, wyższości, pychy męskiej lub damskiej. Po latach pewien student, którego zapytałem o opinię w jakiejś sprawie, odpowiedział mi pompatycznie: „My w ESSO uważamy, że...”. Smutne to zapożyczenie władzy - tym smutniejsze, im bardziej dowartościowuje kogoś, kto nie ma jej wiele i nie pozwala, aby należna człowiekowi wartość wynikała po prostu z tego, że jest istotą ludzką. Wrócimy do tej sprawy, bo mowa jest o epidemii, która szerzy się na kuli ziemskiej w miarę, jak coraz bardziej dominujące i wszechobecne stają się środki masowego przekazu.

Miałem dwóch wielkich przyjaciół - byli kolejno ministrami gospodarki nowego reżimu: Mario Murteirę i Francisco Pereirę de Moura. W toku szerokich dyskusji o podjętym wówczas procesie etatyzacji i poszukiwań alternatyw w dziedzinie zarządzania nabrałem przekonania, że minął czas prostych rozwiązań. Stwierdziliśmy to pod koniec rządu Allende w Chile: co daje społeczeństwu własności przedsiębiorstw, gdy tak czy inaczej muszą one działać zgodnie z logiką zależności międzynarodowej? Przedsiębiorstwo upaństwowione w Chile musiało utrzymać umowy zaopatrzeniowe ze Stanami Zjednoczonymi, rynki w Azji i tak dalej. Przedsiębiorstwo nie jest niezależną jednostką, lecz ogniwem systemu. Kto zaś jest w systemie, ten musi podlegać jego regułom. Z kolei reguły są bardzo ścisłe, jak mogły się o tym przekonać liczne rządy postępowe, które skończyły na prowadzeniu polityki konserwatywnej.

W ciągu nieco ponad roku losy Portugalii zostały przesądzone. Główna opcja polegała na wejściu do Unii Europejskiej (wówczas Wspólnego Rynku) i ta opcja miała zdeterminować wszystko pozostałe. Ubogi krewny nie będzie oczywiście dyktował reguł. Portugalczycy skakali z radości: będziemy mieli domy typu *maison* z oknami typu *fenêtre*. Wybrano Mario Soaresa, dość wiarygodnego na lewicy, aby mógł realizować program centroprawicowy. Na lewicy sporo go krytykowano, ale o sprawach zasadniczych decydowały stosunki zewnętrzne, toteż ktoś inny poszedłby prawdopodobnie tą samą drogą. Już wówczas było jasne, że to, jak dany kraj jest osadzony w gospodarce globalnej, ma większe znaczenie niż to, jaka jest jego opcja wewnętrzna. Wachlarz takich opcji, pozwalających danemu krajowi wybrać „swoją” drogę, stawał się coraz węższy.

W Algierii byliśmy wszyscy uchodźcami, partyzantami z różnych części świata. Po upadku kolonializmu portugalskiego dawni przyjaciele z Algierii stali się ministrami, ambasadorami. Zaprzyjaźnioną i politycznie godną zaufania osobę z doktoratem uzyskanym w wyższej szkole planowania i statystyki witano w nowych krajach niepodległych z otwartymi ramionami. Złożyłem w Luandzie wizytę ministrowi planowania Angoli, ale w końcu przyjąłem zaproszenie Vasco Cabrala do Gwinei Bissau. Zapytałem go, ile będę zarabiał, bo jako uchodźca byłem goły jak święty turecki. Powiedział, że więcej od niego, co znaczyło, że bardzo mało. Spędziłem w Afryce cztery lata odkrywając inne kultury, inne wartości, nieznane mi dotychczas bogactwo stosunków międzyludzkich.

W Luandzie zrobiły na mnie wrażenie bardzo wyraźne ograniczenia rządu scentralizowanego. Wszystkie najbardziej liczące się w rządzie kadry spędzały czas na nieustannej bieganinie starając się rozwiązać niezliczone problemy i na niemal permanentnych zebraniach. Tyle że na zebraniach z samymi sobą. Większość ludności dryfowała czekając, że ktoś coś zrobi. Ponieważ nie wezwano jej do udziału w zarządzaniu, nie czuła się za nic odpowiedzialna. Zaiste, robi wrażenie widok rządu, który niewątpliwie ma dobre intencje, ale z powodu braku zdecentralizowanych struktur administracji publicznej kręci się w kółko i popada w coraz większą izolację.

Nie chodzi o to, aby kogoś obwiniać za taki stan rzeczy. Dekolonizacja zbiegała się z nasileniem zimnej wojny. Na Zachodzie procesy niepodległościowe uznano za uprawnione, ale jakakolwiek skłonność do przeprowadzenia reform społecznych spotykała się natychmiast z oskarżeniem o komunizm. Tak oto afrykańskie ruchy wyzwolenicze dochodziły do władzy nie mając możliwości dokonania reform, które legitymizowałyby je w oczach ludności. Jeśli chciały zaspokoić ogromne aspiracje społeczne w dziedzinie edukacji, ochrony zdrowia, zatrudnienia, redystrybucji dochodu, musiały zmobilizować ludność, rozbudować machinę państwową, zidentyfikować i ograniczyć nadal aktywne interesy kolonialne, a w takich działaniach Zachód zawsze upatrywał rękę Moskwy. Tych, którzy występowali z politycznymi propozycjami efektywnej, połączonej z przeobrażeniami społecznymi dekolonizacji, systematycznie mordowano. Jakby mało było ogromnej nędzy odziedziczonej po kolonializmie, Angola i Mozambik musiały stawić czoło wojnom i sabotażom, które Zachód narzucił im za pośrednictwem Południowej Afryki. Zaprzepaszczono w ten sposób olbrzymią okazję przystąpienia do reform społecznych - a można było ich dokonać dzięki mobilizującym wysiłkom, którym sprzyjało uzyskanie niepodległości. Afryka, która niewiele miała wspólnego z zimną wojną, stała się jej pierwszą ofiarą.

Gwinea Bissau obrała kurs umiarkowany. Zostałem technicznym koordynatorem ministerstwa planowania. Vasco Cabral, wówczas minister planowania, a później wiceprezydent, udzielał mi wszelkiego możliwego poparcia, z którym nie wiedziałem co zrobić. Musiałem nagle odrzucić wszystkie makroekonomiczne modele matematyczne, których nauczyłem się w ciągu wielu lat, i szukać takich propozycji, które mogłyby zadziałać. Gdy Bank Światowy wystąpił z propozycjami w sferze polityki oświatowej, zaleciłem ich odrzucenie, ponieważ lepiej byłoby skoncentrować inwestycje na rozwoju infrastruktury i zachować większą swobodę na polu oświaty. Minister powiedział, że to nie stanowi dla niego problemu, ale muszę opracować przekonujące uzasadnienie, bo to znaczy, że zbudujemy mniej szkół. Z ideologią w jednej ręce i modelami technicznymi w drugiej okazałem się słabo przygotowany do zajmowania się realnie istniejącą gospodarką. Zarządzanie gospodarką tylko częściowo jest zajęciem ekonomicznym.

Były to cztery pasjonujące lata; każda trafna decyzja przynosiła olbrzymią radość, gdy widziało się, jak coś konkretnego zaczyna działać. Koordynowałem prace techniczne nad pierwszym narodowym planem rozwoju ucząc się krzyżowania systemów kredytowych z polityką regionalną, wiązania ze sobą polityk branżowych, liczenia się z oporami politycznymi, interesami i próżnością osobistą - z wieloma elementami, bez których nie

istnieje żadna, choćby jak najlepiej uzasadniona od strony technicznej, propozycja. Gospodarka to krew społeczeństwa i wszystko ma na nią wpływ. Nie ma matematyki, która może zastąpić zdrowy rozsądek, szeroką, wielostronną kulturę, zdolność pojmowania i słuchania i nieustannego uczenia się.

Mówiłem wieloma językami, miałem dobry technicznie doktorat, dobre stosunki polityczne, co prawda jedynie na lewicy, i nie stroniłem od bardzo biednych regionów. Abdulrahim Farah, zastępca sekretarza generalnego ONZ, któremu pomagałem przygotować sprawozdania dla Kurta Waldheima, zaproponował mi, abym na miejsce angielskiego ekonomisty Jamesa Iletta, który odchodził na emeryturę, objął w Nowym Jorku stanowisko ekonomisty w gabinecie sekretarza generalnego. Vasco poprosił jednak, aby został - i zostałem. Prawdopodobnie stałbym się dobrym biurokratą na wysokim szczeblu, ale na pewno wyjałowiłoby się we mnie upodobanie do swojej pracy. Zawarliśmy kompromis - Vasco zrobił mnie kierownikiem programu planowania ONZ w Bissau. Robiłem to samo, co poprzednio, tyle że za pensję międzynarodową. Gdy odwiedziłem Abdulrahima Faraha w Nowym Jorku, w siedzibie Narodów Zjednoczonych, przedstawił mnie swoim przyjaciołom: oto osoba, która odmówiła pracy z nami, ponieważ ma zobowiązania w Bissau. Uśmiechając się z respektem dali mi do zrozumienia, że uważają mnie za dziwaka.

Pensja też była dziwna. Moje funkcje pozostały takie same, miałem też takie same co poprzednio dyplomy, a tymczasem wzrosła ona dziesięciokrotnie. Przedtem płacono mi jako technikowi krajowemu, a teraz jako *ekspertowi* międzynarodowemu. Nazywa się to rynkiem pracy. W rzeczywistości są to różne i zasadniczo odgródzone od siebie podsystemy płacowe, oparte na mocnych schematach korporacyjnych. Okazało się, że *rynek* pracy to fikcja. Jaka logika rynku sprawia, że w Brazylii profesor zarabia tyle ile zarabia?

Po czterech latach straciłem w dużej mierze wątrobę z powodu żółtaczki i słuch z powodu zażywania chlorochiny, którą brałem walcząc z atakami malarii, oraz kilku przyjaciół - tych z powodu zamachu stanu. Uznałem, że dałem z siebie co mogłem i przyjąłem inne stanowisko w Nowym Jorku - zostałem doradcą do spraw specjalnych problemów politycznych; w rzeczywistości chodziło o kraje krytycznie ubogie. Był rok 1980 i właśnie władzę w USA objął Reagan, który stałym przedstawicielem tego państwa w ONZ mianował Jane Kirkpatrick, fanatyczkę z książkową erudycją i o niskiej kulturze. Wylądowałem na lotnisku im. Johna Kennedy'ego z paszportem ONZ, wizą amerykańską i formalnym zaproszeniem Kurta Waldheima. Nie pozwolono mi wjechać. Spędziłem trzy dni w mało znanym i zastrzeżonym, ale ogromnym holu na lotnisku, do którego trafiają nieokreślone przypadki. Nie pozwolono mi zadzwonić do ONZ ani wsiąść do samolotu odlatującego do Portugalii, skąd przyleciałem. Okazało się, że ówczesny ambasador Brazylii w ONZ, dziś odpowiadający przed sądem za przemyt dolarów, przekazał Jane Kirkpatrick opasłą teczkę na mój temat twierdząc ni mniej, ni więcej, tylko że jestem mordercą i że moje dyplomy są sfałszowane; o tym, co zawierały zmontowane przez wywiad brazylijski i wręczone jej akta lepiej nie mówić.

Po trzech dniach pozwolono mi na odlot do Europy. Przy wyjściu mogłem zobaczyć się z Fatimą, która w związku z moim nowym stanowiskiem przeniosła się już do Nowego Jorku i dopiero co urodziła naszego drugiego syna, André. Zamieniliśmy kilka słów i w asyście dwóch strażników przekazałem jej w reklamówce tę część sprawozdania Kurta Waldheima na Zgromadzenie Ogólne, którą przypadło mi opracować i którą ona przekazała następnego dnia zastępcy sekretarza generalnego. W parę dni później, gdy byłem już w Europie, Kanadyjczyk i zastępca sekretarza generalnego Gordon Goundrey tłumaczył mi przez telefon: zupełnie nie rozumiemy co się dzieje, Kirkpatrick grozi wszystkim, mówi, że obetną fundusze, że Narody Zjednoczone to jaskinia wywrotowców. Bardzo nam przykro...

Poszedłem za radą Paula Freire, który sugerował, że czas wrócić do Brazylii. Fátima przyleciała z Nowego Jorku, a ja z Europy i zamieszkaliśmy w São Paulo, w apartamencie Paula koło Papieskiego Uniwersytetu Katolickiego. Wytoczyłem Narodom Zjednoczonym

proces administracyjny, który wygrałem - stwierdzono, że oskarżenia są fałszywe i że zostaną przywrócony na stanowisko. Ten sam Gordon Goundrey poinformował mnie przez telefon, że postawiono nieformalny warunek: mam nie zabiegać w ONZ o żadne stanowisko, które wymagałoby wjazdu do Stanów Zjednoczonych, bo to pociągałoby za sobą konieczność wystąpienia o wizę, a już wiadomo, jakie powoduje to kłopoty.

Warto uświadomić sobie wymiar tej sprawy. Gdy po wojnie Stany Zjednoczone poprosiły, aby Narody Zjednoczone zainstalowały się w Nowym Jorku, zobowiązały się respektować prawo ONZ do przyjmowania w swojej siedzibie każdego, kogo zapragną. Natomiast w praktyce zmuszają każdego urzędnika ONZ, a nawet ministra przybywającego na Zgromadzenie Ogólne, do poddania się tym samym procedurom, jakim podlega jakikolwiek kandydat do wjazdu do Stanów Zjednoczonych. Tak wygląda układ sił i Narody Zjednoczone ulegają mu, choć z prawnego punktu widzenia „porozumienie w sprawie siedziby” z czasów, gdy powstawały, gwarantuje im niezależność. Racja silniejszego jest rzeczywiście silniejsza.

Aspekt etyczny jest równie znamieny. Gdy pod szyldem USAID, UNESCO czy innej agencji pomocy na rzecz rozwoju ktoś pracuje dla wywiadu wojskowego Stanów Zjednoczonych, demoralizuje się tysiące osób, które na całym świecie prowadzą bardzo ważną działalność humanitarną, a stają się podejrzane. Dziś nie wątpię, że Stany Zjednoczone znały przeszłość nazistowską Kurta Waldheima i w ten sposób miały go w garści. W ten sposób tworzą się oparte na cynizmie stosunki międzynarodowe i marnotrawi się owoce cierpliwej pracy na rzecz solidarności międzynarodowej, którą prowadzi tylu pracowników społecznych.

Jeśli o mnie chodzi, uznałem, że w ramach organizacji międzynarodowej nauczyłem się już wszystkiego, czego mogłem się nauczyć, podziękowałem za propozycję i podjąłem pracę na Papieskim Uniwersytecie Katolickim (PUC) w São Paulo. Kalejdoskop znów się kręcił.

Powrót

Myślę, że powrót dla nikogo nie był łatwy. Na powitanie były oczywiście kwiaty, ale nie z tego żyje człowiek. Trzeba było krok za krokiem odbudować całą drogę pośród kultury, dla której staliśmy się nieco obcy. Patrzyłem na ogrom São Paulo i myślałem o ogromie tego, czego miałem się na nowo nauczyć. Nowe pokolenie ekonomistów brazylijskich nie знаło mnie i ja też go nie znałem. Na polecenie Narodowej Służby Wywiadowczej (SNI) ministerstwo edukacji przez siedem lat nie udzielało Uniwersytetowi São Paulo zezwolenia na uznanie mojego dyplomu. Formalnie uważano mnie za osobę z wykształceniem średnim, choć posiadałem kilka dyplomów uniwersyteckich. Nikt nie uznał lat studiów Fatimy w instytucie Piageta w Genewie, na Uniwersytecie Warszawskim i w Coimbrze - musiała rozpocząć studia od pierwszego roku; zwolniono ją jedynie z egzaminów wstępnych.

PUC dobrze mnie przyjął. Pomogła mi antropolog Carmen Junqueira. Paul Singer wydał pozytywną opinię o mojej pracy doktorskiej, a Joel Martins był zachwycony, że mogę wykładać na studiach podyplomowych i zaaprobowano mnie jako profesora nie oglądając się na żadne decyzje ministerstwa. Zatraskany przeglądałem nieliczne pewniki teoretyczne, które mi pozostały, i zastanawiałem się, czego mam uczyć. Najpierw wykładałem na podyplomowych studiach administracyjnych, a wkrótce stanąłem do konkursu na wydziale ekonomii. Nawiązywałem stosunki towarzyskie i zawierałem przyjaźnie. Odkryłem zaskakującą komplementarność między moją znajomością sytuacji międzynarodowej a rozpaczliwym brakiem tego rodzaju wiedzy wśród studentów, co było skutkiem zamknięcia Brazylii w czasach rządów wojskowych. Brak ten - rzecz dziwna - trwa nadal: w dobie globalizacji nie mamy w kraju ani jednego przyzwoitego instrumentu informacji międzynarodowej.

Dzieliłem zajęcia na wykłady studentów i swoje własne. Uczyłem ich, jak korzystać ze sprawozdań organizacji międzynarodowych, porównawczego rozwoju gospodarczego, ekonomii przedsiębiorstw wielonarodowych. Oni uczyli mnie, że w Brazylii „albo jest się częścią walca, albo częścią drogi”, że na rynku kapitałów „albo jest się w środku i zarabia się dużo pieniędzy, albo jest się poza nim i się wszystko traci”, że „w Brazylii bardzo łatwo jest sprzedawać na raty - konsument nie zna się zupełnie na matematyce finansowej” i tak dalej. Po raz drugi Brazylia wchłaniała mnie i trawiła w trzewiach swojego bogactwa kulturalnego, poczucia humoru, ironii i desperacji. W Szwajcarii człowiek walczy rozpaczliwie, aby go zaakceptowano, w Brazylii - aby go nie połknęto.

Jednym z tych, którzy pomogli mi na samym początku, był Caio Graco z wydawnictwa Editora Brasiliense. W Paryżu miałem dobre stosunki z jego ojcem, Caio Prado Júnio. Rzecz paradoksalna - z bardzo wielu ludzi reżim wojskowy uczynił przyjaciół. Caio wydał moją książkę o historii gospodarczej - *Kształtowanie się zależnego kapitalizmu w Brazylii* - która wyszła już w kilku innych krajach, a następnie książkę teoretyczną, którą napisałem w Portugalii i którą posługiwał się na swoich wykładach Samir Amin - *Wprowadzenie teoretyczne do kryzysu: Place i zyski w międzynarodowym podziale pracy*.

Marks, badając w swoim czasie kapitalizm, przyjmował za jednostkę analizy kraj - w tym przypadku Anglię. W krajach rozwijających się taki punkt widzenia deformował analizę, ponieważ w kształtowaniu się ich struktur gospodarczych i stosunków produkcji przeważały determinanty zewnętrzne. Gospodarki ubogie, zdominowane przez gospodarki rozwinięte, zostały niejako zglobalizowane przed czasem. Byłoby błędem teoretycznym analizowanie tych gospodarek przy zastosowaniu schematów reprodukcji kapitału do *kraju*, a *następnie* dodawanie do tego wymiany zagranicznej. Dlatego, mając za punkt wyjścia różne formy prezentacji schematów reprodukcji kapitału, skalkulowałem, jak wyglądałyby równania, gdyby do tych schematów włączono handel międzynarodowy. Logika okazała się oczywista: w tej mierze, w jakiej cykl komercjalizacji przebiegał za pośrednictwem wymiany produktów miejscowych na produkty angielskie, taki kraj jak na przykład Brazylia mógł niemal do końca XIX wieku zachować niewolnictwo, a następnie utrzymywać robotników w skrajnej nędzy, bo potrzebował ich jako producentów, a nie konsumentów. Ponieważ na to, co importowaliśmy w zamian za nasz eksport, składały się towary luksusowe i dobra produkcyjne, jedne i drugie konsumowane przez klasę panującą, proces realizacji odbywał się bez konsumpcji ludowej, dzięki czemu dość wydajny, a zarazem koncentrujący dochód system mógł zachować spójność.

Tak oto w celu wyjaśnienia, jak działało coś, co było po prostu odmiennym podsystemem akumulacji kapitalistycznej, którego logika nie wyczerpywała się na poziomie krajowym, lecz obejmowała jego komplementarność wobec systemu dominującego, nie potrzeba wymyślać żadnego kolonialnego czy innego sposobu produkcji. Ten właśnie mechanizm reprodukcji kapitału leżał u podstaw tego, co nazwano teorią zależności. Książka ta była kontynuacją mojej pracy doktorskiej; pozwoliła mi poczynić postępy w dziedzinie teorii internacjonalizacji kapitału, która miała zasadnicze znaczenie dla zrozumienia narastającego procesu globalizacji.

Książka nie wywołała zbytniego entuzjazmu. Ponieważ była dość skomplikowana, Caio Graco stwierdził, że jeśli nie uda mi się powiedzieć tego, co mam do powiedzenia, na pięćdziesięciu stronach, lepiej, żebym dał spokój. Lansował wtedy serię wydawniczą Primeiros Passos (Pierwsze Kroki), która odniosła wielki sukces. Przyjąłem wyzwanie i zabrałem się za tłumaczenie na portugalski tego, co napisałem „po ekonomalsku”. Okazało się, że to nie takie trudne. Zamiast pisać, że w Brazylii współczynnik Gini wynosi 0,63, czego z wyjątkiem garstki specjalistów nikt nie rozumie, można po prostu napisać, że 10 proc. najbogatszych rodzin kraju pochłania ponad 50 proc. dochodu, co zgodnie z oceną bynajmniej

nie wywrotowego Banku Światowego czyni z Brazylii najbardziej niesprawiedliwy kraj na świecie.

Analizy ekonomiczne nie muszą być skomplikowane, a raczej są często skomplikowane wtedy, gdy chodzi o usprawiedliwienie tego, czego usprawiedliwić się nie daje - o masakrowanie rzeczywistości. W kraju, który posiada wielkie bogactwa naturalne, ale w którym do 1 proc. właścicieli należy połowa ziemi uprawnej, z czego uprawiają oni niespełna 5 proc., nie potrzeba wielkich teorii, aby wykazać, że głód wynika po prostu z ogromnej fortuny spekulantów gruntowych. Napisałem *Kształtowanie się Trzeciego Świata* - Edytora Brasiliense włączyła je do serii *Todo é História* (Wszystko jest Historią) i stało się ono w Brazylii powszechnie czytana książką. Odkrywałem, że nie wystarczy badać - trzeba komunikować i nauczyć się, jak to robić. Niedawno na PUC pewien student powiedział mi, że podoba mu się to co piszę. Chciałem wiedzieć dlaczego i oczekiwałem jakiegoś komentarza teoretycznego. Powiedział po prostu: „Dlatego, że rozumiem...”

Z kolei w małym studium pt. *Gwinea Bissau: W poszukiwaniu niezależności gospodarczej* starałem się przedstawić pewne realia, o których rzadko pisze się w książkach z dziedziny ekonomii. Przykład: holenderskie przedsiębiorstwo HVA ma na sprzedaż wyposażenie wielkiej fabryki cukru. Wysłała do Bissau ekipę techniczną, która produkuje natychmiast opracowanie w postaci trzech opasłych tomów i wykazuje w nim, że kraj potrzebuje właśnie fabryki o takich absurdalnie gigantycznych rozmiarach. HVA informuje ministra rolnictwa, że ma wpływy w rządzie holenderskim i może uzyskać finansowanie budowy tej fabryki pod postacią pomocy międzynarodowej pod warunkiem, że rząd gwinejski formalnie ją zapotrzebuje. Zgodnie z dobrze znanym nam mechanizmem HVA z zapotrzebowaniem w ręku wywiera presję na „zaprzyjaźnionych” członków rządu holenderskiego i Holandia przyznaje w końcu Gwinei Bissau X-milionową pomoc - naturalnie nie po to, aby mogła z nią zrobić to, co uważa za konieczne, ale po to, aby zakupiła wspomniane wyposażenie holenderskie. Nazywa się to „pomocą wiązaną”. Gwinea zyskuje w ten sposób nie pasującego do niej potwora, który z powodu generowanego przez siebie deficytu będzie permanentnie ciążył na budżecie. Pieniądze nie opuszczają Holandii, ponieważ przelano je po prostu na konto HVA, która to firma jako jedyna czerpie zyski z tej operacji. Rząd holenderski uzyskuje głosy wyborców reklamując swoją szczerą pomoc dla krajów ubogich. Płaci za to lud holenderski, który uiszcza podatki, i lud gwinejski, który będzie musiał utrzymywać jeszcze jednego białego słonia. Firma zaś w dalszym ciągu wychwala mechanizmy rynkowe i twierdzi, że źródłem zła jest państwo.

Gwinea Bissau mogła odmówić, ale trudno jest odmówić prezentu, który stwarza miejsca pracy, zwłaszcza gdy powodowane własnymi interesami wpływowce grupy wewnętrzne twierdzą, że to interesujący prezent. Czy podczas kampanii wyborczej można przedstawić kalkulację kosztów i korzyści? Tym razem operacja się nie powiodła, ponieważ ministerstwo spraw zagranicznych Holandii kazało zbadać sprawę i z poparciem Vasco Cabrala ukręciło jej łeb. Lecz dziesiątki innych - niektóre z udziałem pośredników brazylijskich - powiodły się dezintegrując gospodarkę. Podobnie jak w innych biednych krajach, w Gwinei kupuje się to, co kraje bogate są gotowe sfinansować, a nie to, czego im potrzeba. Zależność generuje zależność, bieda generuje biedę.

Nikaragua, Nicaraguaita

W 1986 r. sandinowski rząd Nikaragui poprosił mnie, abym pokierował - podobnym do tego, którym kierowałem w Gwinei Bissau, tyle tylko, że szerszym - projektem Narodów Zjednoczonych, który miał pomóc w tworzeniu mechanizmów planowania i regulacji gospodarczej. Tak oto wracałem do Narodów Zjednoczonych, ale na warunkach, który mi odpowiadały. Znow spakowaliśmy walizki. Obok dorastającego już Aleksandra pojechali tam

z nami André, Bruno i Sofia - z wyjątkiem nieco ciemniejszego Aleksandra, wszystkie nasze dzieci są wręcz rozpaczliwie jasnowłose.

Ten, kto był w Nikaragui, wie, że przeżywa się tam wstrząs kulturowy. Lud nikaraguański jest radosny, dzielny, popędliwy, chaotyczny, surrealistyczny. Nie ma takiego mocnego określenia, które by do niego nie pasowało. Oczekując na lotnisku na walizkę, która się zawieruszyła, gawędziłem o Brazylii z pełnym ciekawości policjantem. Wszystko, co mu mówiłem, robiło nam nim wielkie wrażenie. „Ala...”, wzdychał, co po hiszpańsku znaczy Allah. Dopiero po paru dniach zrozumiałem, że nie było to westchnienie religijne, lecz skrócona forma ulubionego komentarza Nikaraguańczyków o wszystkim co zaskakujące: „*A la gran puta*”, czyli o kurwa...

Sekretariat Planowania i Budżetu był związany z kancelarią prezydenta; skupiłem się na tym, co w działalności każdego doradcy do spraw planowania jest najpożyteczniejsze - organizowaniu informacji i szkoleniu ludzi. Jedno i drugie przynosi trwałe skutki, bo podnosi zdolność miejscowych kadr do podejmowania decyzji. Musiałem wypłynąć na szerokie wody informatyki, co dla mojego pokolenia nie było łatwe. Dziwne to uczucie, gdy człowiek czuje się analfabetą, a ma już prawie pięćdziesiąt lat. Przerazał mnie potencjał nowych narzędzi, które dla ekonomistów były tym, czym dla kogoś innego ferrari. Możliwość opracowania, zgromadzenia, powiązania, skrzyżowania w najrozmaitszy sposób i niemal w mgnieniu oka jakichkolwiek informacji była już w czasach XT zjawiskiem o oczywistym wymiarze rewolucyjnym. Uświadomiłem sobie, że na coraz rozleglejszych połaciach kuli ziemskiej historia ulega niebywałemu przyspieszeniu i że wyłania się stopniowo społeczeństwa wiedzy.

To były dwa pożyteczne i bezużyteczne lata. Drżałem z emocji, gdy dochodziło o elektryfikacji jakiegoś izolowanego od świata regionu, a następnego dnia oglądałem te same instalacje zniszczone przez wyposażoną w najnowsze gadżety wojskowe „kontrę” – najemną armię kontrrewolucyjną, która operowała z Hondurasu. Ubraną jak Marsjanie, otrzymującą z najnowocześniejszych samolotów amerykańskich, które prowadziły obserwację na dużej wysokości, szczegółowe wskazówki o każdym celu i bezpieczną w swoich obozach po drugiej stronie granicy „kontrę” trudno było powstrzymać. Jej bazy były ponadto prawdziwymi hipermarketami wojskowymi ze wszystkim - sprzętem, burdelami, rozrywkami i oczywiście płacami, które, co później wyszło na jaw, podobnie jak ongiś w Wietnamie finansowano z przemytu narkotyków. Demokracja silniejszego zawsze uchodzi za bardziej demokratyczną. Tymczasem bez odpowiedniego postępu cywilizacyjnego postęp techniczny oznacza jedynie zdolność do efektywniejszego reprodukcji tragedii i robienia głupstw na większą skalę.

Odwiedziła mnie grupa humanistów amerykańskich, którzy byli oburzeni, że mimo ogromnych potrzeb kraju i nędzy ludu, rząd nikaraguański odmawia przyjmowania amerykańskiej pomocy medycznej. Amerykanie są doprawdy fantastyczni. Bombardują, zabijają i ranią, po czym wysyłają natychmiast przyłepiec i lekarstwa - i są wściekli, gdy ranni spoglądają na nich z irytacją.

W rzeczywistości była to gra cieni w rodzaju *Żegnaj, moja konkubino*. Formalnie Amerykanów tam nie było; mówili, że rząd nikaraguański powinien rokować z „kontrą”, to znaczy zasadniczo ze starymi zbrodniarzami somozistowskimi. Rząd odpowiadał, że nie chce rozmawiać z pajacami, lecz z właścicielem cyrku, to jest z rządem amerykańskim. Nikt więc z nikim nie rokował. W takiej sytuacji wysiłki zmierzające do zapewnienia krajowi rozwoju gospodarczego nabierały folklorystycznego charakteru, ponieważ oszczędności, jakie z trudem udawało mu się zgromadzić, szły na wysiłek wojenny. Gospodarka jest absolutnie bezbronna, gdy kilka tysięcy zawodowców wyposażonych w najnowocześniejsze środki wybuchowe i środki łączności może zniszczyć co tylko zechce i kiedy zechce i chowa się za granicą. Gdyby zaś armia ruszyła za nimi w pościg, podałyby Amerykanom na tacy to, czego pragnęli - nazywałoby się, że Nikaraguańczycy napadli na inny kraj.

Istniały takie alternatywy, jak całkowicie zdecentralizowany i niesłuchanie partycypacyjny system rozwoju, który wprowadzono w regionie Estelí. Na przykład, zamiast przyznawać kredyty za pośrednictwem odległych biurokracji i konsultowania się ze stolicą, Narodowy Bank Rozwoju stworzył kredytowe rady municypalne, w których drobni i wielcy właściciele i rozmaici aktorzy społeczni decydowali o optymalnym wykorzystaniu zasobów. Gdy jakiś rolnik otrzymywał pieniądze na zakup bydła, a zamiast je nabyć spekulował dewizami, na następnym zebraniu ktoś pytał: „Gdzie bydło? Nie widziałem go na polu.” Bezpośrednia znajomość sytuacji stanowi potężny element prostego i elastycznego zarządzania, ale wymaga to podejmowania decyzji niedaleko od zainteresowanej ludności - na poziomie administracji lokalnej.

Nie wystarczy ustalić, jakie decyzje są technicznie najlepsze. Za każdym razem należy badać, *kto* podejmuje decyzje. Po zatoczeniu koła widziana pod tym kątem ekonomia polityczna prowadzi nas z powrotem do ekonomii *instytucjonalnej*, która cieszyła się powodzeniem w latach pięćdziesiątych, ale została zarzucona na rzecz prostackiej koncepcji wolnej amerykanki w biznesie. Później, podczas pobytu w Chinach, stwierdziłem, że sektorem publicznym można zarządzać w sposób bardzo zdecentralizowany, poprzez gminy, co pozwala na bezpośrednią kontrolę obywateli i na powiązanie interesu publicznego z elastycznością i efektywnością zarządzania - w przeciwieństwie do scentralizowanego i biurokratycznego systemu, który istniał w Związku Radzieckim...

Ogólnie rzecz biorąc, sandiniści wierzyli, że są panami władzy i robili odgórnie to, co ich zdaniem było dobre dla ludu. Ludu, który naturalnie był na dole. Nie należy generalizować - wielu przywódców działało na rzecz rzeczywistej demokratyzacji. Z kolei Jaime Wheelock - to przykład negatywny - uważał, że rolnictwo istnieje tylko w tych gospodarstwach, które mają powyżej tysiąca hektarów, a obowiązkiem chłopów jest okazywać posłuszeństwo. W rzeczywistości nie było przestrzeni politycznej, która pozwalałaby określić spójną strategię rozwoju. Nieustanna presja wojenna stymulowała centralizację decyzji dezintegrując system. To zaś pozwalało wrogom twierdzić, że rząd jest niekompetentny. Zaraz po objęciu władzy, w ciągu dwóch lat pokoju, sandiniści zmniejszyli analfabetyzm z 60 do 20 proc. To wszystko później przekreślono - kurs określały zimna wojna i interesy międzynarodowe, a nie prozaiczne potrzeby ludności.

Centralnym zagadnieniem stawała się dla mnie kwestia politycznych i instytucjonalnych warunków rozwoju. Sąsiednie gospodarki rynkowe, na przykład w Hondurasie i Gwatemali, były i są nadal pogrążone w chaosie. W Nikaragui państwo zarządzało salonami piękności, bo należały do Osmozy, obalonego przez rewolucję sandinowską dyktatora, a dobra Somozy upaństwowiono. Czy system jest bardziej socjalistyczny, gdy salony piękności są w rękach państwa? Coraz lepiej rozumiałem, że symplifikacje ideologiczne nie funkcjonują i że podsystemy, które składają się na gospodarkę, zbyt często różnicowały, aby można było stosować niezróżnicowane polityki linearne - liberalne czy etatystyczne. Skończyły się czasy, w których społeczeństwo dzieliło się na proletariat, chłopów i burżuazję, w których problemy miały wymiar narodowy, a wszystko sprowadzało się do walki klas. Trzeba było przedstawić inne modele.

Przed wyjazdem z Managui odwiedziłem zaprzyjaźnioną osobę, Henry Meyera, przedstawiciela Narodów Zjednoczonych w Nikaragui - nieżyjącego już Holendra-humanistę i bardzo światłego człowieka. Gdy rozmawialiśmy, przeglądałem jedną z przepięknych amerykańskich publikacji turystycznych, pełną zdjęć jezior i gór. Pokazałem mu zdjęcie na całą stronę - małe łódzie z białymi żaglami na środku jeziora, na brzegu dzieci spokojnie jeżdżące na rowerach, a w głębi nieodłączny kościółek. My w Nikaragui liczyliśmy codziennie zabitych, choroby, dramaty polityczne. Siłą kontrastu obaj doszliśmy do tego samego wniosku: jak ludzie żyjący w ten sposób w Stanach Zjednoczonych mogą zrozumieć

lub wyobrazić sobie co to takiego niedorozwój albo co to jest *Rocinha* w Rio czy *Heliópolis* w São Paulo?

Pokolenia

Odwiedziłem ojca w Maranhão. W 1964 r., gdy ja użerałem się z ambasadami w Izraelu, on poczuł się znudzony nie budzącymi jego zaufania hierarchiami świata biznesu, publicznie posłał pewnego prezesa do diabła, za odprawę kupił stateczek i przez dwa lata pływał rzekami Amazonii. Miał 64 lata i odkrywał inny świat. Kupił domek na brzegu Tocantins, w osadzie bez elektryczności, telefonu i władzy; osada liczyła trzydzieści domów. Na miejsce docierało się rzeką. Dom kosztował go 450 dolarów. To była inna planeta. Odkrył, że ludzie umierają tam na cokolwiek, zwrócił się o pomoc do starych przyjaciół w Europie, otrzymał lekarstwa, uzyskał papiery felczera i zaczął leczyć sąsiadów. W krótkim czasie objął katastrem ponad tysiąc rodzin. Inżynier to inżynier. W regionie ludzie przestali umierać. Co pół roku dzieci otrzymywały poliwalentny preparat zabijający pasożyty...

Z entuzjazmem utorował drogę przedsiębiorstwom zainteresowanym inwestycjami w regionie. Wkrótce przyjechała policja i rozbroiła chłopów - zabrała im karabiny i machety. Chłopi już wiedzieli, że wkrótce zostaną przepędzeni. Jeden z sąsiadów zabił sierżanta, zbiegł i nigdy więcej go nie widziano. Żołnierze wrócili i pobili, zgwałcili i zamordowali jedną z jego córek. Mój ojciec latami starał się przekonać matkę dziewczyny, aby złożyła doniesienie, ale ona mówiła po prostu, że nie może ryzykować życia pozostałych dzieci. Staruszek kupił sprzęt, sporządził mapę regionu, wytyczył granice gospodarstw, a chłopci poszli masowo zarejestrować je u notariusza. Ojciec stał się w końcu guru - tyle że guru końca świata.

Pewnego wieczoru zawołano mnie na zebranie społeczności lokalnej. Szczupła nowicjuszka wyjaśniała Biblię. Jeden z niewielu umiejących czytać mieszkańców odczytał fragment, w którym Józef okazał się w Egipcie dobrym administratorem: gdy chłopci stracili zbiory i poprosili faraona o ziarno, Józef otworzył spichlerze, ale w zamian za chłopskie bydło; w następnym roku złych zbiorów zrobił to samo w zamian za ich ziemię, a w trzecim za nich samych. Mylę na pewno kolejność lub to, na czym polegała zamiana, ale istotne jest to, że chłopci wszystko stracili, faraon się wzbogacił, a Józef został wielkim politykiem. Zakonnica tłumaczyła łagodnym głosem, że Biblia jest zwierciadłem i że w tym zwierciadle przeszłości odbija się teraźniejszość. Miejscowych chłopów nie trzeba było prosić - jeden za drugim zaczęli opowiadać, jak zostali wypędzeni ze swojej ziemi, jak *fazendeiros* - obszarnicy - spalili ich uprawy. Płynąc następnego dnia w dół rzeki Tocantins, w ciszy i spokoju wczesnego poranka - musiałem wracać do São Paulo - myślałem sobie, że o tym nie wiedzą nasze gazety, a tymczasem w kraju tysiące osób prowadzi mrówczą pracę wygłaszając odczyty o prawach i godności człowieka i tworząc fundusz świadomości, który jutro będzie mógł przynieść głębsze zmiany.

Ojciec zrobił na mnie wrażenie, przede wszystkim dlatego, że w sprawach politycznych miał zawsze klapki na oczach i poparł zamach stanu wierząc, że dyktatura wojskowa skończy z korupcją. Teraz zrobił wyraźnie ostrą woltę polityczną - żyjąc z ubogimi odkrył, jak wygląda świat widziany od dołu. Wiedziałem już co nieco o tej woltie, bo pisał piękne listy do mojej matki w Polsce tłumacząc, jak teraz postrzega różne sprawy. Uważam, że to wspaniała rzecz, gdy ponad sześćdziesięcioletni człowiek rewiduje swoje wartości i przebudowuje światopogląd. Pokazuje to, do jakiego stopnia na nasze poglądy polityczne, które mogą wydawać się nam oczywiste i racjonalne, ma wpływ nasze położenie na świecie.

Zrobiło też na mnie wrażenie to, że w tym wieku potrafił zrezygnować z komfortów i honorariów pana inżyniera i od zera odbudować nowe, użyteczne życie, które miało trwać prawie trzydzieści lat. W Maranhão nie udawało mu się nawet wydać całej emerytury, pracował, pomagał, żył. Nie było to żadne poświęcenie - mieszkał nad brzegiem cudownej

rzeki, gdy zechciał łowił ryby, przed domem nie przejeżdżały hałaśliwe samochody i nie przechodzili zirytowani ludzie, a jedynie domokrażcy. Uświadomiłem sobie lepiej niż kiedykolwiek idiotyzm naszego uganianie się za bezużytecznymi rzeczami, podczas gdy marnotrawimy jedyny nieodnawialny zasób - czas.

Umarł w wieku 92 lat; miał w życiu czego tylko dusza zapragnie, choć nie miał lodówki ani telewizora. W ostatnim roku życia przeniósł się do miasta Imperatriz; był bardzo wychudzony. Jako dobry gawędziarz siadał na ławeczce przed domem i z dłoni wróżył dziewczętom przyszłość. Nie ma kobiety, która oprze się wróżbie i nie ma poważnego mężczyzny - nawet w podeszłym wieku.

Staruszek odszedł, tak jak kilka lat wcześniej odeszła w Polsce matka. Prawie pięćdziesiąt lat zajęło mi odkrywanie, jak głębokie są nasze korzenie. Nie trzeba być człowiekiem Wschodu ani wierzyć w reinkarnację, aby zrozumieć siłę ciągłości życia.

Władza lokalna

Ledwie wróciłem z Nikaragui, nowa burmistrz São Paulo, Luiza Erundina, poprosiła mnie o pokierowanie stosunkami zewnętrznymi zarządu miasta, a następnie Sekretariatem Spraw Nadzwyczajnych. Oto gigantyczna, odziedziczona zasadniczo po dyktaturze i nastawiona na administrowanie przywilejami i korupcją machina biurokratyczna z ponad stu tysiącami urzędników, a tu nagle pojawia się pełna godności, uczciwa i waleczna kobieta i usiłuje przestawić tę maszynę - sprawić, aby służyła miastu. To wielkie wyzwanie. Były to dla mnie cztery lata systematycznego uczenia się, jak wiążą się ze sobą dramaty komunikacji miejskiej, wywozu śmieci, zaopatrzenia w wodę, gospodarki mieszkaniowej, ochrony zdrowia, edukacji itd. na takiej jak São Paulo przestrzeni. Człowiek nie przestaje się uczyć.

W São Paulo popełnia się dziś trzydzieści morderstw dziennie, milion osób mieszka w *favelas*, ponad dwa miliony w slumsach. Zatrucie wód jest powszechne. Codziennie składa się gdzieś Bóg da około dwunastu tysięcy ton śmieci i nikt nie troszczy się o to, że tłuszcz zwierzęcy sący się na poziom wody gruntowej. W mieście, które zostało sparaliżowane przez... nadmiar środków transportu, jest pięć milionów samochodów. Metro, oczywiście rozwiązanie długofalowe dla miast o takich rozmiarach, ma tu zaledwie 40 kilometrów długości.

To również ogromne, szerokie na 30 i długie na 50 kilometrów dorzecze, w dwóch trzecich teren nieprzenikliwy dla wody, bo nikt nie pomyślał o zapewnieniu dostatecznej przenikliwości gleby, jak to się robi w innych miastach na świecie. Dziesięć milionów osób siedzi cierpliwie w stojących samochodach, choć tak je skonstruowano, aby jeździły ponad 150 kilometrów na godzinę, i przez całe lato przygląda się biernie niemal permanentnym korkom. Największe centrum gospodarcze Ameryki Łacińskiej jest zarządzane przez zawsze ten sam trójkąt firm budowlanych, spekulantów nieruchomości i skorumpowanych polityków, robiących kokosowe interesy, które pozwalają finansować reprodukujące system kampanie polityczne. Dyskurs jest oczywiście pełen demokracji i postępu.

Ludzie nie zdają sobie sprawy ze znaczenia stosunków międzynarodowych dla miasta. Szanghaj, dokąd pojechałem dyskutować strategię wielkich metropolii, miał w 1992 r. w swoim wydziale spraw zagranicznych około 140 techników. Takie miasta, jak Osaka w Japonii i Toronto w Kanadzie - że wymienię tylko niektóre - prowadzą intensywną działalność międzynarodową. To nie sprawa drugorzędna, polegająca na wymianie „kluczy do miast” i innych atrakcjach dyplomatycznych. Właśnie w bezpośrednich stosunkach między konkretnymi miastami tką się system wymiany poziomej, który cechuje stopniową ewolucję świata od pionowych systemów autorytarnych piramid ku systemowi poziomym sieci interaktywnych. Tak dzieje się dlatego, że istnieją nowe technologie, które rewolucjonizują łączność i że dla świata przestały być charakterystyczne rozproszone populacje wiejskie, bo

się zurbanizował. Dziś burmistrz każdego stosunkowo ważnego miasta ma zespoły techniczne, które jeżdżą po świecie i przyglądają się, kto jak rozwiązuje takie problemy, jak zanieczyszczenie środowiska, przestępczość, komunikacja, ochrona zdrowia itd.

Wyzwania są podobne i zamiast ciągle wynajdywać od nowa koło trzeba uczyć się od innych. Z panującej w Brazylii głębokiej dezinformacji w sprawach nowoczesnej polityki miejskiej biorą się pomysły, że problemy komunikacji można rozwiązać kopiąc tunele i budując wiadukty dla samochodów osobowych czy że przestępczość spada, gdy kupuje się więcej broni i samochodów policyjnych. Przynajmniej do pewnego stopnia chodzi o to, aby zarządzanie w sferze polityki gospodarczej i społecznej przystosować do skutków rewolucji technologicznej i demograficznej, która zmienia oblicze kuli ziemskiej. Jestem coraz bardziej przekonany, że gmina, władza lokalna mają w tym do odegrania kluczową rolę.

Dojrzeła już mój pogląd o strategicznej roli polityki i instytucji usytuowanych na takim poziomie, na którym ludność może sprawować efektywną kontrolę procesów. Chodzi oczywiście o możliwość, a nie o gwarancję. Lecz długie lata spędzone na udzielaniu pomocy przy montażu centralnych systemów planowania i regulacji życia gospodarczego w różnych krajach pozwoliły mi zrozumieć, do jakiego stopnia o polityce centralnych struktur rządowych decyduje absurdalny karnawał w postaci nacisków firm budowlanych i zorganizowanych grup korupcyjnych oraz samowoli bankierów, subsydiów udzielanych przez fabrykantów i innych dość dobrze znanych nam zjawisk, gdy nie ma przeciwwagi solidnie zorganizowanych władz lokalnych, zdolnych domagać się rezultatów i ich dopasowania do swoich potrzeb. Rząd centralny nie osiąga równowagi od wewnątrz, lecz potrzebuje przeciwwagi i kontrolera na zewnątrz.

Innymi słowy, nie wystarcza już podział władzy na wykonawczą, ustawodawczą i sądowniczą - istnieje potrzeba politycznego ciążenia społeczeństwa obywatelskiego, zorganizowanego wokół przestrzeni lokalnych, bo to w końcu je zamieszkuje ludność i w ich obrębie może ona stwierdzić, czy naprawdę poprawia się jakość życia. Wykonując w Kostaryce pewne zadanie dla Narodów Zjednoczonych stwierdziłem, że gminy decydują tam o wykorzystaniu zaledwie 5 proc. zasobów publicznych. Natomiast analizując system zarządzania Szwecji stwierdziłem, że ta sama proporcja wynosi tam 72 proc. Tak więc Szwecji nie cechuje mniej państwa, lecz działanie państwa zasadniczo u podstaw, pod bezpośrednią kontrolą samej ludności. Ponieważ zaś takie jej podstawowe potrzeby, jak szkoła, lekarz rodzinny, przejazdy, chleb i mleko, bezpieczeństwo itd., mają charakter lokalny, chodzi po prostu o postawienie piramidy na czubku - tak, aby ludność miała u podstaw decydujący wpływ na decyzje ekonomiczne.

Doświadczenie postępowego zarządzania w São Paulo pozwoliło mi o wiele wyraźniej niż dotychczas dostrzec olbrzymi potencjał zdecentralizowanych form administracji publicznej. Głębokie zmiany nie dokonują się oczywiście w ciągu czterech lat i w jednym tylko mieście. Dziś proces ten systematycznie postępuje w Brazylii, zwłaszcza w Rio Grande do Sul, choć i tam wyraźnie przeważa system tradycyjny, stworzony przez firmy budowlane, skorumpowanych polityków, spekulantów nieruchomości, media i przekupne segmenty sądownictwa.

Jeśli chodzi o zrównoważenie rozwoju społecznego i efektywność zarządzania, to najsolidniejsze alternatywy na szczeblu lokalnym zrodziły się na ogół w samorządach lewicowych lub centrolewicowych. Nie jest to żadna wielka niespodzianka. Świat hołdującej tradycyjnie etatyzmowi lewicy wszędzie się załamał, toteż występuje ona teraz z o wiele bardziej przodującymi pomysłami aniżeli prawica, która pozostaje więźniem swoich schematów korupcji i zacofania i powtarza sprowadzającą się do antyetatyzmu formułę. Sukcesy sił postępowych często skłaniają prawicę do jednoczenia się i blokowania takich doświadczeń. To jest jednak częścią gry. Ważne, że w wyniku cierpliwej pracy tysięcy osób, organizacji społeczeństwa obywatelskiego i coraz większej liczby dążących do odnowy

przedsiębiorców wyłania się stopniowo głęboko odnowiona koncepcja zarządzania w sferze społecznej. Dziś w tym kraju realizuje się już setki tego rodzaju doświadczeń, choć nadal dominuje zdecydowanie centralizm.

Doba globalizacji

Ludzkość ogrania popłoch - nie ulegają mu, rzecz jasna, kraje dominujące, a już tym bardziej wielkie przedsiębiorstwa amerykańskie, w których panuje niesłuchanie prostackie postrzeganie maksymalizacji zysku, a etyka stosunków międzynarodowych sprowadza się do maksymy, która - choć głoszona tylko w sferze prywatnej - jest tam w bardzo szerokim użyciu: *we're the best, fuck the rest*.

Tymczasem *reszta* istnieje - dziś stanowi cztery piąte ogółu ludzkości. Zaproszono mnie na konsultacje do Afryki Południowej, która wyłania się powoli z mroków nocy, w jakich nie pograżyły jej „zacofane i niewykształcone” populacje kolorowe, lecz bogaci, chwalcący się dyplomami biali. To ważny fakt. Jesteśmy tak zaślepieni respektem dla umiejętności technicznych, że zapominamy o zasadach, którym umiejętności te powinny służyć. Na przywróceniu tego wymiaru rzeczy wbrew potężnym, władającym milionami dolarów eksploatatorom złota i diamentów, rozmaitym De Beerom i innym handlarzom cudzymi bogactwami i cudzą pracą, polega wielkość Nelsona Mandeli. Żadne umiejętności niczemu nie służą, gdy niemądre są cele.

Dziś Afryka Południowa stara się odzyskać zdolność rządzenia i podołania dwóm wielkim trendom - wewnętrznemu, polegającemu na przejściu od apartheidu do demokracji, i zewnętrznemu, wynikającemu z globalizacji gospodarki. Jak odbudować wewnętrzne pakiety społeczne, gdy wszystkie priorytety związane są z wiarygodnością zewnętrzną, z zaufaniem, jakimi kraj cieszy się na zewnątrz? Niełatwo powiedzieć ludności, że ma czekać. 13 proc. białych rodzin zagarnia 54 proc. dochodu - podobnie jak w Brazylii, gdzie 10 proc. najbogatszych rodzin zagarnia 51 proc. dochodu.

Dylemat nie jest skomplikowany. Lud domaga się elementarnych warunków społecznych i gospodarczych, zatrudnienia, możliwości przetrwania. Koncerny wielonarodowe, które decydują o wiarygodności kraju, wymagają „powagi”, to znaczy poszanowania zysków, koncentracji bogactwa, swobody eksportu kapitałów. Jeśli nie gwarantujemy im wszelkich przywilejów, irytują się i wynoszą gdzie indziej, pograżając kraj w kryzysie walutowym. Jeśli gwarantujemy im przywileje, koncentrują dochód i pogłębiają kryzys polityczny i społeczny. Jeśli z jednej strony nasze narzędzie rozwoju w postaci wielkiej korporacji jest szkodliwe, a z drugiej bezużyteczne, trzeba po prostu zastanowić się, do jakiego stopnia powinna ona być takim narzędziem. Prostacki pomysł przyciągania kapitałów po to, aby rozwinąć kraj czy region, nie zdaje egzaminu. Główna dynamika powinna być wewnętrzna i zgodna z bezpośrednimi interesami samej ludności.

Afryka Południowa z dochodem na głowę ludności rzędu 3 tysięcy dolarów jest bezsprzecznie najbogatszym krajem regionu. Z 41 milionami mieszkańców i liczącym 1,2 miliona kilometrów kwadratowych obszarem jest z punktu widzenia wszelkich kryteriów międzynarodowych wielkim krajem. Skupia 40 proc. światowych rezerw złota, 88 proc. platyny, 83 proc. manganu, chromu i wanadu, a także zajmuje drugie czy trzecie miejsce na świecie pod względem obfitości złóż węgla, diamentów, azbestu, niklu, fluoru, tytanu, uranu i cynku. Na ten kraj przypada 50 proc. energii elektrycznej wytwarzanej na kontynencie i 45 proc. dróg asfaltowych. Jego ciężar ekonomiczny jest więc w regionie ogromny. Czy nie zapewnia to powodzenia w negocjacjach międzynarodowych?

Afryka Południowa, chroniona w ciągu dziesięcioleci przez apartheid, stworzyła duży, dość podobny do Brazylii przemysł, ale wydajność była tam stosunkowo niska i opierał się on na niezwykle niskich płacach. Dziś, gdy musi stawić czoło tanim wyrobom azjatyckim i

spłacić dług społeczny ludności kolorowej, która jest zmęczona oczekiwaniem i domaga się wyższych płac i osłon socjalnych, świat gospodarczy Afryki Południowej odkrywa, że nie wystarcza, aby tort był coraz większy. Problem zaostrza dynamika rozwoju wsi - uprawia się tam tylko 12 proc. ziemi, a wielkie majątki białych żyją z ogromnych dotacji i ich żywotność jest zagrożona.

Kraj unika magicznego modelu prywatyzacji. Zgodnie z *Białą Księgą* poświęconą reformie służb publicznych, a opublikowaną przez kancelarię prezydenta, „rząd jest w pełni świadomy, że w niektórych krajach [prywatyzacja] przynosi ujemne skutki powodując spadek jakości usług, pogorszenie się warunków zatrudnienia urzędników, narastające bezrobocie i marginalizację grup najsłabszych, a w szczególności kobiet i dzieci. Dlatego ruch na rzecz odchudzonych i efektywnych pod względem kosztów służb publicznych nie będzie oparty na prywatyzacji, lecz na tworzeniu rzeczywiste partnerskich stosunków między rządem, pracą, przedsiębiorstwami i społeczeństwem obywatelskim i na wysokim poziomie zaangażowania społeczności w świadczenie usług”.

Taka dynamika przejawia się wyraźnie w funkcjonowaniu głównego forum negocjacji konsensu w kraju - w Narodowej Radzie Rozwoju Gospodarczego i Pracy (NEDLAC). W radzie tej zasiadają przedstawiciele ruchu związkowego, przedsiębiorczości, finansów, ruchu społeczności lokalnych i dyskutują o konkretnych rozwiązaniach kluczowych problemów kraju. Po osiągnięciu porozumienia i uzyskaniu od aktorów, którzy realnie poruszają maszynę społeczno-gospodarczą kraju, formalnych zobowiązań, przekazuje się je do parlamentu, który uchwała odpowiednie ustawy.

Zamiast więc robić politykę za pośrednictwem osób trzecich, decyzje - przynajmniej do pewnego stopnia - podejmują sami zainteresowani, a politycy, których rola polega na pracy ustawodawczej, uchwalają ustawy. Taką koncepcję przyjęły też władze wszystkich prowincji i gmin; jest to filozofia rządzenia, w której przewyciężono tradycyjną huśtawkę między prywatyzacją a etatyzacją, nadal będącą w centrum dyskusji w innych krajach, a zamiast niej szuka się elastycznych i partycypacyjnych mechanizmów negocjacji na rozmaitych szczeblach administracji publicznej. Rząd wzbogaca faktycznie tkankę kontroli społeczeństwa obywatelskiego nad państwem i samym życiem gospodarczym, przewyciężając absurdalną alternatywę: albo kontrola przez monopole publiczne, albo przez kartele prywatne.

Sukces? Na tym polu nie ma gwarancji, a rzeczą w rzeczywistości najważniejszą - także dla zrozumienia dynamik w Brazylii - jest uświadomienie sobie, jak niezwykle wąski margines manewru pozostaje krajom rozwijającym się, które od wewnątrz podlegają presjom wyzutyk ze wszystkiego, lecz coraz bardziej świadomych populacji, zaś na zewnątrz - zaleceniom tzw. międzynarodowej społeczności finansowej. Wenezuela eksplodowała od strony presji ludowej. Meksyk załamał się od strony niezadowolenia społeczności finansowej, która wycofała kapitały i doprowadziła kraj do bankructwa. Brazylia stawia na położenie kresu inflacji, co oznacza ogromny postęp dla ludności, która płaciła za nią najwyższą cenę, i zyskuje na czasie zwiększając zadłużenie zagraniczne i wewnętrzne. Inne kraje po prostu dryfują, jak to ma miejsce w przypadku większości krajów Afryki subsaharyjskiej, lub - jak wiele krajów islamskich - szukają schronienia w zamrożeniu religijnym.

Ogólnie rzecz biorąc, wkraczamy w nowe tysiąclecie nie posiadając ani jednego poważnego mechanizmu wsparcia rozwoju świata ubogiego, czyli czterech piątych ludzkości. Szykujące się tragedie są oczywiste.

Rzeczą niesłychaną jest stopień, w jakim udało się zamknąć Brazylię na to, co dzieje się na świecie. Dramatyczne zmiany w Afryce Południowej, mające ogromne znaczenie dla przyszłości świata rozwijającego się, po prostu są nieobecne w mediach - chyba że chodzi o stosunki osobiste łączące Mandelę i Winnie. Dla nich to jest ważne.

Każdy kraj to inny przypadek. Poproszono mnie o wyrażenie opinii na temat przeobrażeń struktury władzy w Mongolii. Nie łatwo tam dotrzeć. Z Brazylii leci się do Johannesburga w

Afryce Południowej, stamtąd przez cały dzień do Bangkoku w odległej Tajlandii, dalej do Hongkongu na południu Chin, a wreszcie do Pekinu. Następny samolot leci w głąb Chin, przelatuje nad Wielkim Murem i po kilku godzinach w oknie samolotu pojawiają się wielkie równiny pustyni Gobi, a na widnokręgu doskonale czyste powietrze, jakiego nie znamy już na Zachodzie, i rozległe stepy, a na nich jurty - tak od tysięcy lat charakterystyczne dla Mongolii namioty.

Do głowy przychodzą nam nieuchronnie stereotypy w rodzaju Czyngis-chana i budzących postrach jeźdźców, którzy podbili jedno z największych w dziejach świata imperiów. W miarę jak samolot schodzi do lądowania i widać wyraźnie stada owiec i koni, długie i płaskie doliny rzek, ma się wrażenie, że od tamtych czasów kraj niewiele się zmienił, co potwierdzają prastare świątynie wznoszące się nad starą stolicą - Ułan Bator.

Jakże możliwe było przetrwanie tak czystej przestrzeni i takiego ogromu pól bez drutów kolczastych ani znaków własności, zagubionych między niekończącymi się stepami Syberii na północy i strasznymi pustyniami zachodnich Chin? Jak to możliwe, że niespełna dwuipółmilionowy naród, wciśnięty między dwie takie potęgami wojskowe, gospodarcze i kulturalne, jak Rosja i Chiny, przetrwał w stanie nietkniętym ze swoim językiem, kulturą, niepowtarzalnymi dziś na świecie obyczajami?

Od niedawna Mongolia ma obieralny rząd i chce zdecentralizować swój system zarządzania, otworzyć się na świat i wprowadzić mechanizmy rynkowe. Ogarnia mnie poczucie surrealizmu - aż tutaj dotarł zachodni formularz, uproszczenie, które przeobraża ludzkie ideały w poliwalentną receptę. Co wyjdzie z połączenia tego końca świata i jego tradycji ze spekulacyjnymi systemami globalnego kasyna?

Ułan Bator odzwierciedla cały ten surrealizm. Przed uproszczeniami Zachodu stolica Mongolii została poddana uproszczeniom Związku Radzieckiego. Na olbrzymich placach w śródmieściu wznoszą się gigantyczne budynki - masywne repliki rosyjskich budowli biurowatycznych w ocieźałym i szarym stylu kontrastującym z przepiękną architekturą tradycyjnych świątyń o wyszukanych barwach i delikatnych kształtach. Zaraz obok pojawiają się nowe budynki, które symbolizują wejście Mongolii w dobę globalizacji - ogromne i tak przytłaczające, jak budowle biurowatyczne, konstrukcje sieci hoteli zachodnich i wieże z dziesiątkami pięter. Wydało mi się od razu oczywiste, że arogancja rosyjskiego komunizmu i globalnego kapitalizmu jest identyczna - jeden i drugi chciał wycisnąć na wszystkim swoje definitywne piętno, ani jeden, ani drugi nie miał zamiaru przystosować się do tradycji, uszanować kultury czy choćby wpisać się w niezwykle piękno naturalne kraju.

W hotelach hałaśliwe szarańcze wielonarodowe z krótko ostrzyżonymi włosami i dyplomatkami menedżerów szukają na tej nowej granicy zysków - Mongolia jest bogata w złoto, wolfram, cynk, molibden, srebro, a także cenne drewna. Ludzie, którzy tam rządzą, coraz bardziej przerażeni rytmem wydarzeń i najazdem przedsiębiorstw zagranicznych, tłumaczą, że swoboda komercjalizacji miejscowych produktów oznacza, iż kraj jest wolny, a więc demokratyczny i nowoczesny. Amerykanie negocjują złoto, Koreańczycy instalują nowoczesne systemy telekomunikacji, Japończycy prezentują luksusowe samochody. Gros ludności żyjącej w skromnych mieszkaniach z innej epoki lub otaczających miasto jurtach to widzowie. Targana - podobnie jak większość z nas na całym świecie - mieszanymi uczuciami trwogi i fascynacji odgrywa ona niepewnymi gestami przypisane jej role w widowisku, którego sensu nie rozumie.

Jaki sens ma globalizowanie Mongolii? Wielcy spekulanci światowi połkną ją z frytkami. Lasy rosnące nad kryształowo czystymi rzekami zamienią się w wykałaczkę. Będą do nabycia w naszych supermarketach z napisem: *Made in Mongolia*. Dzieci przestaną marznąć na kawalkadach w stepach. Będą szczęśliwe siedząc w domu przed telewizorem i oglądając Starsky'ego i Hutch'a lub - jeśli Brazylia odniesie sukces podpisując porozumienie z

Turnerem i Murdochem – telenowelę *Kamienna dżungla*. Historycy mongolscy będą zaś komentować, że dużo łatwiej było stawić czoło Chinom i Rosji.

Kanada to naprawdę inny wymiar. Bezsprzecznie podlega presji obsesyjnej konsumpcji sąsiedniego kraju. Gdy w latach sześćdziesiątych moja matka odwiedziła Kanadę, poszła na mszę do polskiego kościoła w Toronto. Podczas kazania ksiądz poprosił, żeby wszyscy pomodlili się za biednych rodaków cierpiących w Polsce pod jarzmem komunizmu. Jak zwykle, matka zachowała się nieodpowiednio - przerwała kazanie i wyjaśniła, że w swoim kościele w Warszawie poprosi wiernych, aby pomodlili się za Polaków w Kanadzie, którzy żyją tak, jakby życie sprowadzało się do wędrówki przez supermarket.

W rzeczywistości jednak Kanada zachowuje odrębną i nader interesującą osobowość. Globalizacja napotyka tam silnie ukształtowane społeczności i wolę narodową, która nie pozwala jej pochłonąć kraju. Może się wydawać, że to drobiazgi. W supermarkecie w Toronto odkryłem salę pełną książek. Dowiedziałem się, że to oddział biblioteki miejskiej. Logika jest prosta: ten, kto robi zakupy, korzysta z okazji i pożycza na cały tydzień książkę, a zwraca poprzednią. Z mikroekonomicznego, księgowego punktu widzenia nie ulega wątpliwości, że supermarket wolałby wystawić w tej sali kremy kosmetyczne. Natomiast z punktu widzenia jakości życia i kondycji obywatelskiej dostęp do tych książek, możliwość przeglądania ich razem z dziećmi i rozbudzania zainteresowań kulturalnych z pewnością podnosi wydajność społeczną.

Istota takiego podejścia polega na tym, że nie chodzi o wybór między supermarketem a książką, między interesem ekonomicznym a interesem społecznym, lecz o ich powiązanie. W wielu krajach powiązanie tych interesów włączono już do bieżących praktyk zarządzania społeczeństwem pod takimi nazwami, jak *partnership* (partnerstwo), *empowerment* (uwłasnowolnienie), *governance* (zdolność do zarządzania), *accountability* (rozliczalność).

Paulo Maluf anulował w São Paulo program utylizacji odpadów, bo nie był on ekonomicznie interesujący. Takie rozumowanie jest słuszne z mikroekonomicznego punktu widzenia i służy za pożywkę rozumowaniu jego kolegi Roberto Camposa - koszty domowego recyklingu odpadów są wyższe niż wartość sprzedaży poddanego recyklingowi produktu. Tymczasem odkąd w Kanadzie upowszechniła się postawa czy kultura unikania marnotrawstwa, stwierdzono, że odpady organiczne, które pozostają po takim recyklingu, są niewielkie. Władze miejskie Toronto wystawiają na nie standardowe, hermetyczne pojemniki metalowe. Ponieważ jest ich niewiele i są zamknięte, a więc nie wydają nieprzyjemnych zapachów, okazało się, że zamiast wywozić je codziennie można to robić raz w tygodniu. Oznacza to oczywiście dramatyczną obniżkę kosztów oczyszczania miasta. Tak oto zmiana kulturalna i odpowiednia zmiana sposobu organizacji danej działalności gospodarczej pociąga za sobą wielką poprawę wydajności społecznej.

Nie ma w tym nic tajemniczego. Przedsiębiorstwo prywatne może prowadzić działalność polegającą na wyrobie produktu, który daje się sprzedać - np. butów. Gdy chodzi natomiast o takie rozproszone interesy społeczeństwa, jak czysta rzeka, ładne miasto, zielona przestrzeń, na której mogą bawić się dzieci, więź szkoły z dzielnicą, bogactwo życia w rzekach i morzach, nie ma przedsiębiorstwa, które mogłoby nam to „sprzedać”, chyba że ogrodzi okolicę i będzie zarządzało monstrualnymi kondominiami - gettami bogactwa, w których szykują się nowe dramaty. Z ekonomicznego punktu widzenia to potężna dynamika - chodzi o redukcję dostępności dóbr wolnych, o redukcję ich podaży celem przeobrażenia tych dóbr w produkty sprzedawalne. Bez względu na to, czy chodzi o wodę, ryby w morzu lub plażę, mechanizm jest ten sam - polega na redukcji podaży, która pozwala podnieść wartość. Jest to w najściślejszym tego słowa znaczeniu antygospodarka.

Silna obecność interesu publicznego i społeczeństwa obywatelskiego ma na tym polu zasadnicze znaczenie. Łatwo powiedzieć, że chodzi o bogate społeczeństwa, w których istnieje sprzyjająca tego rodzaju działalności kultura i przestrzeń. Można jednak odwrócić

takie rozumowanie. Społeczeństwo kanadyjskie jest dużo mniej zamożne niż amerykańskie, a mimo to jakość życia jest w nim dużo wyższa. Patrząc pod innym kątem można zadać sobie pytanie, czy dlatego Kanadzie udaje się realizować takie inicjatywy, że jest bogata, czy dlatego stała się bogata, że wybrała *społecznie* bardziej wydajne rozwiązania? Człowieka ogarnia zdumienie, gdy uświadamia sobie, do jakiego stopnia kultura zdrowego rozsądku ekonomicznego i społecznego, którą moglibyśmy nazwać *kapitałem społecznym*, stwarza na zasadzie reakcji łańcuchowej oszczędności i racjonalności - wieczorami i podczas weekendów szkoły udostępniają okolicznej społeczności swoje instalacje sportowe, co zwiększa dostępną infrastrukturę rekreacyjną i sprzyja poprawie stanu zdrowia, ograniczeniu spożycia narkotyków itd. Dostępność rekreacji społecznej ogranicza np. tak absurdalne zjawisko, jak budowa przez bogate rodziny własnych basenów, które prawie cały czas stoją puste - dużo kosztują, a ich wydajność jest bliska zeru.

Nie chodzi o mnożenie przykładów tendencji, która w skali międzynarodowej stała się już oczywista. Chodzi o to, że z punktu widzenia poprawy zarządzania w sferze społecznej postęp nie koniecznie oznacza np. przeznaczanie w budżecie większych zasobów na edukację. Oznacza również uwzględnienie w decyzjach podejmowanych przez przedsiębiorców, ministerstwa, społeczności lokalne i jednostki ludzkie rozmaitych wymiarów i wpływów, jakie każde działanie może mieć w dziedzinie jakości życia. To, co społeczne, to nie tylko dziedzina obejmująca takie sektory, jak służba zdrowia, edukacja, gospodarka mieszkaniowa, rekreacja, kultura, informacja, sport, ale również wymiar wszelkich innych działań, sposób prowadzenia działalności przemysłowej, myślenia o rozwoju miast, traktowania rzek, organizowania handlu.

W Brazylii pierwszym, ale widocznym krokiem w tej dziedzinie było porozumienie firmy Carrefour z rządem stanowym Rio Grande do Sul – celem uniknięcia wzrostu bezrobocia Carrefour przydzielił część swojej powierzchni drobnym kupcom i po części zaopatruje się bezpośrednio u drobnych producentów rolnych. Tak postępujący przedsiębiorcy nikomu nie robią łaski - to zdrowy rozsądek każe wiązać cele gospodarcze, ekologiczne i społeczne. Przedsiębiorstwo zyskuje sympatię i renomę, polityk staje się znany, społeczeństwo zyskuje miejsca pracy i rozszerza się działalność gospodarcza. Tracą ewentualni ideolodzy zaślepieni obsesją czystych modeli.

Mikroekonomiczne pojęcie wydajności może dowieść swojej wyższości tylko wtedy, gdy wyodrębnia zysk poszczególnych jednostek produkcyjnych z całokształtu *czynników zewnętrznych* - ze spowodowanych przez nią skutków społecznych. Wraz z każdym kolejnym parkiem zamkniętym po to, aby można było zbudować supermarket lub stworzyć parking, wzrastają zyski osiągane przez przedsiębiorców, ale rośnie szkoda wyrządzona pod względem gospodarczym, ponieważ powoduje to ponoszenie przez społeczeństwo dodatkowych kosztów, nie mówić już o stratach, jakie ponosi jakość życia, które jest wyższym celem.

Skupiona na natychmiastowym zysku przedsiębiorstwa opcja liberalna nie tylko jest społecznie niesprawiedliwa - jest też idiotyczna z ekonomicznego punktu widzenia. To normalne, że spłoszone przez tempo zmian, przerażone bezrobociem, zatrwożone przemocą społeczeństwo szuka prostych rozwiązań. Wielka symplifikacja ideologiczna liberalizmu stanowi w tym znaczeniu symetryczny ekstremizm ideologiczny w stosunku do tego, jaki stanowiły wielkie symplifikacje lewicy etatystycznej. Pod ciężarem dziedzictwa skrajności XX wieku musimy nauczyć się budowania bardziej kompleksowych systemów, w których kluczowe słowo to nie wybór, lecz powiązanie.

Nauka, doświadczenie życiowe, sumienie

Te wszystkie relacje o tym, co przeżyte, wiążą ze sobą idee, wartości i uczucia, które niczym części orientalnej mozaiki konstruują stopniowo pewien światopogląd. Wszyscy

jesteśmy rezultatem składania się małych, zróżnicowanych cząstek na całość; każdy składający się na szerszy obraz kamyczek ma swoją odmienną od pozostałych wartość, ale żadnego z nich nie sposób odłączyć od innych.

Rozbicie tej jedności stanowi prawdopodobnie najefektywniejsze i najbardziej tragiczne dziedzictwo świata anglosaskiego. David Korten dobrze ujął dylemat w swojej książce *Świat po korporacjach*: „Gdy nowoczesna korporacja łączy potęgę nowoczesnej technologii i wielkiej masy kapitału, łączy jednocześnie naukowca, którego poczucie odpowiedzialności moralnej ogranicza się do zapewniania rozwoju obiektywnej wiedzy instrumentalnej, i dyrektora korporacji, którego poczucie odpowiedzialności moralnej sprowadza się do maksymalizacji zysków korporacji. Rezultatem jest system, w którym władza i umiejętności techniczne są oderwane od odpowiedzialności moralnej, wartości instrumentalne i finansowe traktują wartości życia, a to, co praktyczne i lukratywne, ma pierwszeństwo w stosunku do tego, co żywotne i odpowiedzialne.”

Przedsiębiorstwu przyznaje się osobowość prawną, jakby była to prawdziwa, mająca pragnienia i prawa osoba, ale stawia się przed nim tylko jeden cel - przynoszenie zysków, ponieważ na tym polega efektywność i kompetencja, a więc i wartość moralna. W takim podejściu, które nie wytrzymuje wymogu ujęcia całościowego, mamy do czynienia z procesem magicznym i dużą dozą szarlatanerii. Sztucznie oddziela się w nim technikę od etyki - w tym, co robi przedsiębiorstwo, nie będzie żadnych ograniczeń, o ile przyniesie zyski, ani nie będzie żadnych ograniczeń w tym, co robią jego funkcjonariusze, bo ci wykonują jedynie instrukcje przedsiębiorstwa. To fantastyczne oddzielenie działalności gospodarczej i odpowiedzialności moralnej pozwala dziś na przykład sprzedawać przedsiębiorstwu broń na całej kuli ziemskiej i uzasadniać to tym, że produkuje po prostu dobre mechanizmy, które przypadkiem miotają pociskami, a instytucji finansowej - unicestwić oszczędności zgromadzone w jakimś kraju i wyjaśniać, że broni jedynie interesów swoich klientów, a więc wykonuje swoje obowiązki.

Oczywiście, w razie gdyby dany kraj nie był dostatecznie świadomy swoich potrzeb w dziedzinie uzbrojenia, przekonają go tym odpowiednio wysokie łapówki. W przypadku zaś finansów, jeśli fale są zbyt spokojne i nie pozwalają na przyspieszone i lukratywne przypływy pieniędzy, zawsze można sobie dopomóc małą destabilizacją. Etyka korporacyjna kieruje się głęboką filozofią bariery w grze w piłkę nożną - nie należy wysuwać się za bardzo do przodu, lecz być w jednej linii z pozostałymi graczami z własnej drużyny. Pozwala to z kolei wysuwać najwyższej rangi argument - *wszyscy tak robią*. Etyka ulega rozproszeniu, rozwodnieniu w ogromie tego, co toleruje się społecznie, a coś toleruje się, ponieważ jest to powszechne w określonym środowisku społecznym. Natomiast kogoś, kto troszczy się o bezpieczeństwo, solidarność, środowisko naturalne, prezentuje się jako idealistę, marzyciela nie znającego reguł *realnego świata*. W dominujących mediach, które emitują takie przesłanie, codziennie oglądamy lub czytamy wywiady z menedżerami i politykami, którzy patrzą na nas oczyma głębokich znawców realnie istniejącego społeczeństwa i za każdym razem proponują nam większą dawkę bandytyzmu.

Jak daleko można przesunąć barierę? Powstało nawet pojęcie, które wytycza granicę - *plausible deniability*. Innymi słowy, przedsiębiorstwo dopóty może robić machlojki, dopóki jest wiarygodne, gdy temu zaprzecza. Budujący jest widok anielskiego oblicza grupy graczy znajdujących się o trzy metry od piłki i patrzących na sędziego niczym niewinne panienki, które nie wiedzą, o co chodzi. Różnica między piłką nożną a gospodarką polega jednak na tym, że może na przykład chodzić o lekarstwo, którego zawyżona cena sprawia, iż miliony osób nie mają do niego dostępu. Niewinność nie istnieje - wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za to, co się dzieje.

W pierwszej części tej książeczki zgromadziłem przeżycia i doświadczenia życiowe wskazując, jak modelowały one poszukiwanie odpowiedzi przy użyciu instrumentów

naukowych i jak jedno i drugie, doświadczenie życiowe i nauka, przeobrażały się w wartości, poczucie winy lub odpowiedzialności, uczucie zadowolenia lub oburzenia. Jako profesorowie nie jesteśmy tylko matematykami czy geografami itd. - jesteśmy istotami ludzkimi ze wszystkimi ich bogactwami i słabościami.

W drugiej części podejmę się rzeczy jeszcze bardziej ryzykownej - spróbuję zorganizować w bardziej systematyczny sposób światopogląd, który wyłania się z tej mieszanki pracy naukowej, oburzenia moralnego i nagromadzonych przeżyć. Rzecz nie w tym, że tendencje są jasne. W tej fazie historycznej dramatycznych przeobrażeń wspólnym mianownikiem jest prawdopodobnie krucha podstawa wszelkich prognoz. Mimo wszystko warto zarysować ujawniające się makrotendencje i postarać się o rozróżnienie we mgle kształtu nowego świata, który budujemy.

CZĘŚĆ II - MOZAIKA PRZYSZŁOŚCI

Nic tak nie pomaga gospodarce jak dobry rząd.
J.K. Galbraith

Nowe dynamiki, inne pojęcia

Są takie chwile, w których niezliczone oblicza rzeczywistości i odziedziczone teorie naprawdę do siebie nie pasują. Nigdy nie było takiej jak dziś polaryzacji między krajami panującymi i zależnymi, tak absurdałnej manipulacji finansowej czy handlowej, a tymczasem oskarżanie imperializmu już nas nie zadowala. Wszędzie - nawet w krajach rozwiniętych - stwierdzamy pogłębianie się przepaści dzielącej bogatych i biednych, lecz wydaje się, że tradycyjne pojęcia związane z walką klas stają się nierealne. Mówimy dotychczas o kapitalizmie i burżuazji, lecz w coraz liczniejszych studiach - od sprawozdań UNCTAD po przykłady przytaczane przez konserwatywne środowiska naukowe - wskazuje się na fakt, że nie tylko pracownicy, ale również naprawę produktywni, tworzący dla społeczeństwa realne wartości przedsiębiorcy są w coraz większym stopniu grabieni za pośrednictwem zglobalizowanych dynamik finansowych. Tradycyjne pojęcia stają się do pewnego stopnia śliskie - nie czujemy, aby były one obciążone rzeczywistością, nie rozświetlają już jej rzucane przez te pojęcia snopy światła.

Tak więc w tym samym czasie, w którym nabierają na sile powody do troski i wysuwania oskarżeń, narzędzia analizy okazują się coraz bardziej niewystarczające. Nie należy jednak opuszczać rąk, lecz przemyśleć na nowo pojęcia, które powinny ułatwiać nam zrozumienie nowych dynamik. Jest to tym pilniejsze zadanie, że miliony ludzi na całym świecie organizują się na nowe sposoby, które mają coraz mniej wspólnego czy to z tradycyjną koncepcją etatystyczną, czy z dziedzictwami liberalizmu.

Dla mnie pożytecznym punktem wyjścia było zorganizowanie wielkich osi zachodzących zmian. Zmiany te, znajdujące w szczególności odzwierciedlenie w rewolucji technologicznej, globalizacji, dramatycznej polaryzacji światowej między bogatymi a biednymi, powszechnej urbanizacji kuli ziemskiej i przeobrażeniach stosunków i organizacji pracy, rzucają nam nowe wyzwania.

Każda z tych tendencji wnosi swoje sprzeczności. Technologie szybko się rozwijają, podczas gdy odpowiednie instytucje - powoli i jest to mieszanka wybuchowa, ponieważ nie potrafimy posługiwać się odpowiedzialnie stojącymi do naszej dyspozycji technologiami, które wywierają wpływ na całą ludzkość. Gospodarka globalizuje się, podczas gdy systemy rządzenia zachowują charakter narodowy, co powoduje ogólny spadek rządności. Dystans między biednymi a bogatymi narasta dramatycznie, podczas gdy planeta zbliża do siebie przeciwstawne bieguny społeczeństwa, a urbanizacja je łączy, wskutek czego ich naładowane sprzecznościami, niebezpieczeństwami i powszechną przemocą współzycie staje się coraz bardziej nieżnośne. Sama urbanizacja spowodowała dyslokację przestrzeni zarządzania naszą codziennością na poziom lokalny, podczas gdy systemy rządzenia nadal działają zgodnie ze scentralizowaną logiką z pierwszej połowy XX wieku. Wreszcie ten sam system, który promuje nowoczesność techniczną, generuje wykluczenia społeczne i przeobraża większość ludzkości w biernych widzów, coraz bardziej znużonych nowymi technologiami, które stwarzają nowe zagrożenia, podczas gdy znika z pola widzenia rozwiązanie najbardziej elementarnych problemów.

Wniosek, jaki wyciągamy z tych pięciu kontradiktoryjnych osi, brzmi: ludzkość powinna czym prędzej „ukrócić cugle” swojego rozwoju i wyposażyć się w narzędzia pozwalające na

efektywne skapitalizowanie postępów nauki – same w sobie są pozytywne – na rzecz bardziej ludzkiego rozwoju.

Odczuwa się powszechne zmęczenie ideologicznymi „choinkami świątecznymi”, które obiecują nam z jednej strony spokój społeczny dzięki upaństwowieniu i planowaniu, a z drugiej rozkwit dzięki prywatyzacji i „niewidzialnej ręce”. To pierwsze przyniosło olbrzymie zatory biurokratyczne, a drugie doprowadziła do najbardziej dramatycznego w dziejach ludzkości spiętrzenia niesprawiedliwości społecznych i nieustannego poczucia niepewności. Nie ma tu zwycięzców ani zwyciężonych, ponieważ traci na tym cała ludzkość. Chodzi o znalezienie takich form zarządzania w sferze społecznej, które pozwoliłyby nam efektywnie stawić czoło tym problemom.

Spojrzenie chłodnym okiem na formy, w jakich organizujemy się i rządzymy, skłania nas do zachowania skromności. Ani w Brazylii, ani w Chinach, podobnie jak ani w Rosji, ani w Stanach Zjednoczonych nie ma zbyt wielu powodów do świętowania. Jestem przekonany, że nie jest to doprawdy czas pewników, lecz pytań, otwarcia, tolerancji, zrozumienia. Żywotne znaczenie ma też otwarcie kanałów łączności między różnymi naukami społecznymi, różnymi instytucjami, różnymi zorganizowanymi aktorami społecznymi. Mówiąc po marksistowsku, bazy przeobrażają się w zawrotnym tempie, natomiast pozostajemy zapóźnieni w sferze nadbudów.

Gdybyśmy powiedzieli, że w głowie mamy mętlik, byłoby to prawdą i nieprawdą. Rozwiązania są dziś niewątpliwie bardziej złożone, ale celem jest coraz wyraźniej społeczeństwo bardziej ludzkie i solidarne, w mniejszym stopniu grabiące skąpe bogactwa naturalne planety, podobnie jak w mniejszym stopniu skupione na powszechnym ogłupianiu, które kobiety skłania do wypychania się silikonem, a mężczyźni - do pozowania na waśniaków o wyglądzie menedżerów. Minimum realizmu każe nam zachować skromność - może uda nam się ograniczyć liczbę dzieci, które głodują na świecie, lub zapewnić naszym dzieciom godziwe środowisko społeczne w postaci rodziny i społeczności lokalnej.

Michael Behe, wspinały autor *Czarnej skrzynki Darwina*, wypowiada się z umiarem: „My, istoty ludzkie, mamy skłonność do dość egzaltowanych opinii o samych sobie”. Skromność nie jest, doprawdy, naszą mocną stroną. Ponadto, jako jednostki, skłonni jesteśmy hołdować przekonaniu, że znamy *verace via* - prostą drogę, której inni z uporem nie chcą rozpoznać, bo powoduje nimi zła wola albo ignorancja.

Najważniejsze to znać drogę. Pozwala to z ufnością patrzeć w przyszłość i podążać nią nie widząc potrzeby poświęceń. Ufność tę podkopują głębokie przeobrażenia, które wprowadzają nas w popłoch. Niektórzy w obliczu niepewności chwytają się kurczowo prawd wieczystych. Inni głośniejsze niż zwykle wykrzykują dawne hasła w nadziei, że będzie je lepiej słyszeć. Nie unikniemy jednak konieczności przemyślenia dróg.

Jedna *verace via* polegała na gospodarkach narodowych, nastawionych na produkcję przemysłową, kierowanych przez burżuazję, która wyczerpała swoją rolę dziejową i powinna była ustąpić miejsca nowej klasie pracującej, ta zaś powinna była przejąć ster uspołeczniając środki produkcji. Przeobrażenia miały dokonać się pod kontrolą państwa. Rzut oka na tę wersję *diritta via* wywołuje w nas to samo uczucie, jakiego doznajemy oglądając stare, pożółkłe zdjęcia w albumie rodzinnym. Chłodne porównanie ze światem, w którym żyjemy, pozwala zdać sobie sprawę z rozmachu zmiany parametrów. Gospodarkę narodową pochłania przestrzeń globalna, przemysł wytraca codziennie swój ciężar gatunkowy w obliczu nowych osi działalności gospodarczej, burżuazję w tradycyjnym znaczeniu właścicieli środków produkcji zastępują racjonalni i bezwzględni technokraci, a nawet spekulanci całkowicie oderwani od prozaicznych realiów, w jakich żyją producenci i konsumenci. Klasa pracująca stała się światem niezwykle zróżnicowanym w ramach nowej złożoności społecznej, a tradycyjne, uproszczone pojęcia coraz bardziej opierają się jej poznaniu. Uspołecznienie stosunków produkcji zmieniło sens, państwo zaś szuka nowych funkcji jako władza, a nie

substytut, sił społecznych. Należy stwierdzić, że zmiana jest jakościowa i wziąć to w całej rozciągłości pod uwagę, zarysowując nowe wizje teoretyczne.

Inna *verace via* polegała na specjalizacji każdego narodu w tej dziedzinie produkcji, w której miał on korzyści komparatywne, i na swobodnym przepływie decyzji mikroekonomicznych, kierujących się zwykłym interesem osobistym. O jakich korzyściach komparatywnych może być mowa, gdy na trzy i pół miliarda mieszkańców krajów o niskim dochodzie przypada PKB w wysokości biliona dolarów, podczas gdy na kraje bogate, które zamieszkuje niespełna 15 proc. ludzkości, przypada PKB w wysokości siedemnastu bilionów, co stanowi 78 proc. światowego PKB? Korzyści komparatywne mogłyby istnieć tylko wtedy, gdyby władza polityczna i gospodarcza aktorów była choćby minimalnie porównywalna. Względne korzyści, osiągane przez określone kraje, selektywnie pochłaniają megafirmy ponadnarodowe, które rozkładają przestrzenie swoje procesy produkcji w taki sposób, że procesy pracochłonne przypadają na kraje azjatyckie, w których płaci się za godzinę grosze, podczas gdy procesy wymagające dużych nakładów pracy inżynierów przypadają na Rosję, gdzie specjalistów na dobrym poziomie technicznym można mieć za kilkaset dolarów miesięcznie - i tak dalej. Po to, żeby naród miał określone korzyści komparatywne, narody muszą stanowić przestrzenie gospodarcze.

Logika mikroekonomiczna nie idzie dużo dalej. Idea była taka, że piekarz ma interes w wypieku smacznego i taniego chleba dobrej jakości, ponieważ w ten sposób może dużo zarobić, a troska piekarza o samego siebie zapewni wszystkim obfitość chleba. Tak zrodził się utylitaryzm, który stał się w końcu jedyną realnie istniejącą filozofią tzw. liberalizmu. Punkt widzenia piekarza i wiara w automatyczne rozładowanie napięć makroekonomicznych, wynikających z milionów decyzji mikroekonomicznych, stają się śmieszne na planecie, na której panoszą się gigantyczne koncerny ponadnarodowe, potężne sieci handlu bronią, światowe monopole medialne, następuje przyspieszona destrukcja życia w morzach i globalny efekt cieplarniany, padają kwaśne deszcze, szerzy się zglobalizowana spekulacja finansowa, nielegalny handel narkotykami i organami ludzkimi, prostytutka dziecięca i wiele innych przejawów procesu ekonomicznego, nad którym tracimy kontrolę. Realnie istniejący kapitalizm globalny to nowość i pojęcia potrzebne do jego analizy są jeszcze w powijakach. Stosowanie do niego starych pojęć Smitha czy Ricarda świadczy o wierze we władzę magiczną złożonej dziś i zróżnicowanej rzeczywistości, którą co prawda nazywa się *rynkiem*, ale jest to nadużycie i też stawia nas w sytuacji ludzi oglądających poślizgnięcia.

Trudność, z jaką przychodzi nam przemyślenie *universum* społecznego z nowej perspektywy, nie zaskakuje. Po pierwsze dlatego, że z historycznego punktu widzenia zmiany były szybkie, a nawet zawrotne, ale następowały stopniowo - nie było chwil przełomowych. W rezultacie „rozcągaliśmy” do pewnego stopnia nasze pojęcia starając się pokryć nimi za każdym razem odmienne realia. *Lumpenproletariat* rozciągnięto zastępując go pojęciem *wykluczenia społecznego*, *proletariat* zastąpiono ogólniejszym pojęciem *klas pracujących* itd. Nazywanie *rynkiem* systemu władzy około pięciuset przedsiębiorstw ponadnarodowych, w których transakcje przeprowadzane wewnątrz samych przedsiębiorstw stanowią dziś 35 proc. handlu światowego, jest nie do utrzymania i prowadzi do tak dziwacznych wybiegów pojęciowych, jak stworzenie pojęcia *managed market*. Gdy rośnie dziecko, można mu przedłużyć rękawy koszuli. Nadchodzi jednak taka chwila, w której trzeba znaleźć dla niego inną koszulę.

Nasza trudność wynika też z tego, że dążenia do sprawiedliwego i solidarnego społeczeństwa w ramach szerokiej wolności indywidualnej są ciągle przemożne, ale wahamy się sięgnąć po nowe narzędzia zarządzania w sferze społecznej, podczas gdy stare, choć nie odpowiadają naszym potrzebom odnowy, stanowią na dobre czy na złe racjonalne okopy w oporze wobec stopniowo utwierdzającego się barbarzyństwa ekonomicznego. Chwytny się uproszczonych rozwiązań z innych czasów - jedni etatyzacji, inni rynku - powodowani

bardziej wolą oporu wobec zachodzących przeobrażeń i lękiem przed nimi niż wiarą w ich skuteczność.

Opór jest rzeczą naturalną - nikt normalnie wyposażony w etykę i zdrowy rozsądek nie patrzy spokojnie na ten nowy świat. Niepokój nie jest tylko udziałem lewicy. Rzeczywiście produktywny przedsiębiorca - a nie kontroler globalnych kasyn - może wierzyć, że broni swobody inicjatywy, ale zamknięcie lub wykupienie każdego kolejnego przedsiębiorstwa przez jakiegoś instytucjonalnego inwestora sprawia, że ma on coraz więcej wątpliwości. Gdy zaś porównuje swoje okupione realnym wysiłkiem i ryzykiem zyski z fortunami, jakie robią spekulanci z pomocą cudzych pieniędzy, a nawet korzystając z wynagrodzenia, które z płaconych przezeń podatków zapewnia im rząd, zaczyna już stawiać pod znakiem zapytania samą logikę systemu.

Nasz żołądek sprzyja jeszcze polaryzacji emocjonalnym, jakie powodował wielki, charakterystyczny dla XX wieku, pojedynek między przedsiębiorstwem a państwem. W naszych głowach uświadamiamy sobie jednak stopniowo, że należy na nowo przemyśleć nasz punkt widzenia. To już nie prosta polaryzacja lewica-prawica dochodzi do głosu w trosce tak dobrze wyrażonej na łamach *Le Monde Diplomatique* przez Ignacio Ramoneta: „W ciągu przyszłej dekady na kuli ziemskiej decydującą rolę odegrają prawdopodobnie dwie przeciwstawne dynamiki. Z jednej strony dynamika wielkich przedsiębiorstw zglobalizowanych, kierujących się interesami finansowymi i wykorzystujących technonaukę wyłącznie w duchu pogoni za zyskiem. Z drugiej dążenie do etyki, odpowiedzialności i sprawiedliwszego rozwoju, biorącego pod uwagę bez wątpienia żywotne dla przyszłych losów ludzkości wymogi środowiska naturalnego”. Rozwój społeczny, ekologia, etyka, centralna rola kultury - oto pojęcia rozkwitające bezładnie, lecz nieubłagane na gruncie tej nowej problematyki rozwoju ludzkości. To nie tylko głosy lewicy zmiotły z powierzchni Europy większość rządów konserwatywnych. Na tym niezwykle bezładnym i groźnym świecie wyłania się poszukiwanie bardziej ludzkiego społeczeństwa, nowych kierunków rozwoju, które nie należą już do tej czy innej klasy.

Proces analizy, z jakim mamy do czynienia, jest złożony, ponieważ rzeczywistość rozwija się w niesamowitym tempie i codziennie pojawiają się nowe wyzwania. Droga jest niepewna - grożą na niej liczne tąpnięcia. Trzeba ją jednak przebyć, gdyż nasze tradycyjne, niemożliwe do zdobycia bunkry intelektualne, które stawały się tym bardziej komfortowe, im bardziej umacnialiśmy je prawdami ostatecznymi, już nie wytrzymują naporu realiów. Wojna zmieniła kurs - lub, jak mówi Octávio Ianni, polityka zmieniła miejsce.

Nie chodzi tu jednak o roztrząsanie jakiejś makroteorii alternatywnej, lecz o wyłożenie na stół kilku nowych kart, którymi będziemy musieli grać. Bez wątpienia chodzi o trzecią drogę, tylko że w tej mierze, w jakiej pojęcie trzeciej drogi zakłada, że były jedynie dwie, ulega ono mistyfikacji. W rzeczywistości świat podąża innymi drogami nie troszcząc się zbytnio o siła uproszczonych pojęć, w jakie usiłował go schwytać wiek XX. Dziś jest trzecia droga, jutro będzie czwarta. Dobra polityka stanowi permanentny proces konsultacji demokratycznej i buduje zawsze nowe realia, a nie punkt docelowy.

Gdyby w ekonomii istniał katechizm, byłoby łatwiej, choć prawdę mówiąc nigdy nie zrozumiałem katechizmu, gdy zagłębiałem się w nim w dzieciństwie. Sugeruję czytelnikowi, by rzucił okiem na te notatki nie upatrując w nich uproszczonych reguł, lecz punkty odniesienia. Doprawdy, nie są one zbyt skomplikowane i stanowią część pola działania nas wszystkich.

Od wielkiego zegara do społeczeństwa złożonego

Oczekiwanie na geniusza teoretycznego, który zrobi z rzeczami porządek, to jedno, natomiast zadanie sobie pytania, czy istnieje jakiś porządek rzeczy - to coś innego. Czy - innymi słowy - rzeczywiście istnieje globalnie zrozumiały mechanizm, czy też stanowimy płataninę interesów, które krzyżują się i będą się krzyżować w chaotyczny i nieprzewidywalny sposób? W rzeczywistości, poczynając od określonej liczby zmiennych i dynamik, przewidywalność staje się ograniczona. Kiedyś zapytano mnie, dokąd moim zdaniem zmierza Nikaragua. Jako doradca rządu w dziedzinie planowania powinienem mieć w tej sprawie jakiś pogląd. W rzeczywistości problem nie polega na tym, by mieć informacje i adekwatną teorię interpretacji, lecz na tym, że ilość zmiennych, obejmujących w tym przypadku od korupcji „kontry” po koniunkturę wyborczą w Stanach Zjednoczonych i konflikty wewnętrzne w łonie oligarchii nikaraguańskich, nie mówiąc już o możliwości erupcji wulkanicznych, zmuszają nas do radykalnej skromności w sferze analiz i do poszukiwania naukowej poręki, że jesteśmy w stanie zrozumieć i ogarnąć sytuację, jakie powstają. Nie chodzi o dekretywanie nieprzewidywalności rzeczy i wzdychanie z powodu niemocy naukowej. Chodzi o przekonanie, że w tej epoce przeobrażeń potrzeba nam wstrząsu w postaci skromności interpretacyjnej. Zarazem minimum realizmu i informacji o tym, co dzieje się na świecie, przekonuje nas, że w obliczu coraz potężniejszych technologii, jakimi się posługujemy, budowanie spójnych kierunków staje się kwestią przetrwania.

Od wielkiej wizji do realistycznych alternatyw

Ta skromność nie oznacza bezczynności, lecz zmianę podejścia. Rzec można, że nie chodzi o to, aby zdefiniować idealne społeczeństwo, dobrą utopię i walczyć o przestrzeń polityczną, na której można je zbudować. Jak mówi Ximena de la Barra, ludzkość nie zatrzyma się w pewnej chwili celem przyjęcia nowego systemu, który będzie nam odpowiadał. Coraz częściej poszukujemy takich ewidentnie użytecznych działań, jak dystrybucja dochodu, poprawa oświaty i inne inicjatywy zgodne ze względnie oczywistymi wartościami godności i jakości życia. Z drugiej strony, w miarę jak identyfikujemy tendencje krytyczne tego świata - globalny efekt cieplarniany, zniszczenie mórz, wykluczenie najsłabszych środowisk społecznych - staramy się stwarzać tendencje im przeciwdziałające. Tak oto rozwija się pewien rodzaj pragmatyzmu działania politycznego. Wokół takiego na przykład celu, jak zapewnienie, aby każde dziecko było dobrze odżywione, miało buty i miejsce w szkole, można zmobilizować i zorganizować wielu ludzi. Nie konieczne jest to podejście minimalistyczne. Przeciwnie - stwarza ono możliwości działania dla każdego obywatela, poprzez inicjatywy indywidualne, grupowe, sąsiedzkie czy podejmowane przez stowarzyszenia dążące do tak zwanego *dobra publicznego*. Ujawniając zaś opory wobec zmiany sprawia, że opcje polityczne i zmiany strukturalne stają się jaśniejsze. Jest to niewystarczający, lecz konieczny warunek prowadzenia szerszej polityki. Chodzi o odzyskanie obywatelskiego wymiaru polityki, siły codzienności zwykłego obywatela, o przezwycięzenie zmęczenia, które często ogarnia ludzi oczekujących na wielką utopię, idealną partię polityczną, wybitnego przywódcę lub na powstanie tak zwanych warunków obiektywnych.

Powiązanie celów gospodarczych, społecznych i ekologicznych

Z drugiej strony skupianie się na wzroście gospodarczym i oczekiwanie, że reszta z tego *wyniknie* za pośrednictwem magicznego procesu *trickling down*, nie jest realistyczne i zalicza się do utopii równowag naturalnych - liberalnej wersji złudzeń społecznych. Rozsądnie

konsensualne staje się natomiast pojęcie *dobra publicznego*. Z efektywności gospodarczej *nie wynika* naturalnie sprawiedliwość społeczna ani poszanowanie środowiska. Podobnie skupianie się jedynie na sprawiedliwości społecznej bez zapewnienia zasobów gospodarczych na inwestycje społeczne ma niewielki sens. Jest zarazem oczywiste, że ani działania społeczne, ani działalność gospodarcza nie będą miały żadnego sensu, jeśli nadal będziemy niszczyć planetę. Cel ogólny streszcza się więc w następującej dość prostej formule, którą znajdujemy dziś w tekstach Narodów Zjednoczonych - potrzebujemy takiego rozwoju, który jest ekonomicznie możliwy do zrealizowania i społecznie sprawiedliwy oraz przestrzega wymogów ochrony środowiska. Osiągnięcie jednego z tych celów bez osiągnięcia pozostałych nie rozwiązuje problemu. Nie wystarczy też powiedzieć, że dany system jest mniejszym złem niż inne - bo czy wypadnięcie z piętnastego piętra jest mniejszym złem niż z dwudziestego?

Powiązanie państwa, przedsiębiorstw i społeczeństwa obywatelskiego

Powiązanie celów ekonomicznych, społecznych i ekologicznych nie nastąpi za sprawą cudu, z dobrej woli przedsiębiorstw skupionych dziś na pogoni za zyskiem za wszelką cenę lub w wyniku cudownego odzyskania przez państwo zdolności do działania czy wreszcie z woli stosunkowo słabych organizacji społeczeństwa obywatelskiego. Samo wtargnięcie zorganizowanego społeczeństwa obywatelskiego na arenę polityczną niewątpliwie zawdzięczamy coraz powszechniejszemu odczuciu, że ani makrostruktury władzy państwowej, ani makrostruktury władzy prywatnej nie odpowiadają na prozaiczne potrzeby społeczeństwa w dziedzinie zapewnienia jakości życia, poszanowania środowiska, tworzenia klimatu bezpieczeństwa, zachowania przestrzeni indywidualnej i zbiorowej wolności i twórczości. Zgodnie z eleganckim sformułowaniem Clausa Offe ci, którzy chcą całej władzy dla państwa, dość już nawojowali się z tymi, którzy chcą powszechnej prywatyzacji z nieograniczoną władzą przedsiębiorstw i tymi, którzy pragną, aby zapanowało wypełnione alternatywnymi społecznościami i technologiami *small is beautiful*. Pierwsze przyniosło nam zatory komunizmu, drugie tragedie społeczne liberalizmu - i polityczną podstawę alternatywy komunistycznej - a trzecie byłoby optymalne, gdyby nie prowadziło nas do tyrańskiego trybalizmu i tak czy inaczej stanowi konieczny, lecz wcale nie wystarczający czynnik politycznych równowag społeczeństwa. Kluczowym słowem jest tu oczywiście *powiązanie* rozmaitych narzędzi zmiany. Jesteśmy skazani na rozsądnie zrównoważone powiązanie władz państwowych, przedsiębiorstw prywatnych i organizacji społeczeństwa obywatelskiego, a pogląd, że rozwiązanie może przynieść polityka polegająca czy to na prywatyzacji, czy na etatyzmie, jest dziś nie do utrzymania.

Cele społeczne i prawa demokratyczne: od zasilku do uczestnictwa

Nie wystarczy osiągnięcie tak określonych celów społecznych - należy osiągnąć je w sposób demokratyczny. Innymi słowy, powiązanie działań państwa, przedsiębiorstw i społeczeństwa obywatelskiego wokół wielkich celów nie polega na wyborze efektywności technicznej. Pozostawiając na boku wizję skończonej utopii i wybierając nieustanną budowę i przebudowę celów społecznych wybieramy demokratyczne środki podejmowania decyzji jako centralny element konstrukcji celów. Nie wystarczy, aby jakieś przedsiębiorstwo czy państwo zrobiło coś dobrego dla ludności. Chodzi o to, aby zrozumieć, że prawo do budowy własnej drogi, a nie tylko uzyskiwania rzeczy użytecznych z *laski* czy to państwa, czy przedsiębiorstwa jest jednym z naszych praw podstawowych. Żaden aktor polityczny czy gospodarczy nie ma prawa nic mi narzucać pod pozorem, że to dla mojego dobra; ma dostarczyć narzędzia instytucjonalne, które pozwolą mi poinformować się, wyrazić opinię i

uczestniczyć w procesie decyzyjnym. W rzeczywistości obecne sposoby podejmowania decyzji przez państwo i megafirmy prywatne są niezwykle do siebie podobne - jedne i drugie czynią z obywatela biernego i manipulowanego poddanego. Oś kondycji obywatelskiej to zasadnicza kwestia obecnych przeobrażeń.

Kontrola przedsiębiorców: od władzy rozproszonej do władzy zhierarchizowanej

Czas, w którym żyjemy, cechuje niesamowita dominacja interesów megafirm, które Amerykanie określają po prostu i jakże wymownie mianem *big business*. Stanowi on jedyną ukształtowaną w skali światowej siłę, zagarnął w dużej mierze mechanizmy decyzyjne państw narodowych, kontroluje finansowe środki reprezentacji bogactwa ludzkości i za pośrednictwem monopolu, jaki sprawuje w systemach przekazu, skonstruował pozytywny wizerunek samego siebie. Nim pojawiła się megafirma światowa, mnogość przedsiębiorstw produkcyjnych do pewnego stopnia rozpraszała władzę i sprawiała, że przeważający wpływ sektora prywatnego na decyzje polityczne społeczeństwa pozwalał zachować pewną demokrację. Dziś niektórzy megaaktorzy ekonomiczni - Gatesowie, Bertelsmannowie, Murdochowie, Turnerowie, Sorosowie i inni - żeglują po świecie niczym władcy kuli ziemskiej i tworzą coś, co w ślad za Leonem Pomerem można nazwać *ponadnarodową grupą społeczną*, wobec której zwykłym śmiertelnikom pozostają mierne prawa obywatelskie, wielka niemoc i zniechęcenie polityczne lub po prostu - jak to jest w przypadku około trzech i pół miliarda nędzarzy stanowiących dwie trzecie ludności planety - wykluczenie społeczne. Ta zorganizowana i powiązana władza megaprzedsiębiorców usiłuje prezentować się jako zwyczajny sługa rynku - tzw. siły rynkowe występują jako siły anonimowe, a więc demokratyczne, bo podporządkowujące sobie wszystkich. W rzeczywistości mamy do czynienia z megawładzą polityczną, która w gospodarce globalnej wywołuje dramatyczną nierównowagę nikomu nie zdającą z niczego sprawy, a następnie prezentuje się jako nikt - jako *rynek*. Wszelka próba ograniczenia jej ekscesów stanowi oczywiście zamach na *rynek*. W powiązaniu państwa, przedsiębiorstw i społeczeństwa obywatelskiego istnieje dziś wyraźnie segment, który zupełnie destabilizuje równowagę procesu rozwoju społecznego. Megafirmy stroją się w prawomocność rynku, ale w rzeczywistości stanowią dziś potężne systemy powiązań medialnych, finansowych i politycznych.

Oslabienie państwa

W tych warunkach nie zaskakuje szybkie zużycie się tradycyjnych form polityki w oczach ludności. W Stanach Zjednoczonych prezydent jest wybierany przez niespełną jedną czwartą uprawnionych do głosowania, a oddane na siebie głosy uzyskuje w wielkiej mierze dzięki wielomilionowym dofinansowaniom przez przedsiębiorstwa prywatne - przez tzw. *rynek*. W tak mało wywrotowym czasopiśmie, jak *Business Week*, czytamy, że konserwatyści zawdzięczają Murdochowi utrzymanie się przez dwie dekady u władzy w Anglii. Czy Murdocha ktoś wybierał? Sam fakt, że procesy gospodarcze uległy w wielkiej mierze dyslokacji - że przemieściły się na arenę międzynarodową - w ramach tzw. *globalizacji*, w dużym stopniu skazuje państwo na niemoc w obliczu wielkich światowych ruchów spekulacji finansowej, koncentracji dochodu, zniszczenia środowiska. Co więcej, dla przetrwania rządu pochodzącego z wyborów zasadnicze znaczenie mają dobre stosunki z wielkimi grupami gospodarczymi. Musi więc grać zgodnie z regułami gry tych grup pod groźbą, że pozbawi się go inwestycji lub uczyni celem *ataków* spekulantów finansowych i wielkich światowych środków masowego przekazu. W wyniku jednej z niedawnych fuzji banków powstała grupa finansowa z kapitałem wynoszącym 700 miliardów dolarów. *Dzienna* wartość transferów spekulacyjnych przekracza 1,8 biliona dolarów. *Roczna* wartość produkcji dóbr i usług

zaledwie połowy tuzina wielkich krajów świata przekracza bilion dolarów. Zgodnie z interesującym wyrażeniem Kurtzman, dziś ogon merda psem. Tak oto państwo podlega kooptacji i traci zdolność do odgrywania roli *przeciwwagi* politycznej i równoważenia celów ekonomicznych, społecznych i ekologicznych. W euforii wywołanej upadkiem komunizmu wielkie korporacje rozpętały wielki ruch prywatyzacyjny obwiniając państwo o wszelkie możliwe zło. Taka tendencja jest postrzegana jako niebezpieczna dla całokształtu procesu reprodukcji społecznej już nie tylko przez lewicę, ale również przez coraz liczniejszych aktorów społecznych należących do szerszego spektrum politycznego. Wraz z szybką erozją rządności na całej kuli ziemskiej ryzykują już nie tylko wykluczeni.

Przeciwwaga społeczeństwa obywatelskiego

Zmianą o największym znaczeniu w koncepcji nowych kierunków jest być może zrozumienie roli zorganizowanego społeczeństwa obywatelskiego lub organizacji społeczeństwa obywatelskiego, jak to Narody Zjednoczone nazywają dziś masę organizacji pozarządowych, organizacji o podłożu komunalnym itp. Ponieważ wiele osób odnosi się jeszcze do tych organizacji z niewiarą, warto przypomnieć, że w Stanach Zjednoczonych, gdzie nazywa się je *non profit sector*, w sektorze tym zatrudnia się 15 milionów osób; prawie 80 proc. Amerykanów należy do jakiegoś stowarzyszenia, a 100 milionów zadeklarowało, że w 1995 r. wykonało jakąś dobrowolną pracę. Ze ściśle ekonomicznego punktu widzenia mówimy o wkładzie do amerykańskiego PKB rządu 800 miliardów dolarów tylko w tym sektorze, podczas gdy cały brazylijski PKB wynosi około 500 miliardów dolarów. Rząd amerykański wnosi roczny wkład w wysokości około 200 miliardów, zapewniając niezliczone działania społeczne oraz sprzyjając solidarności i spójności tkanki społecznej, a także wydajności. Ogólnie rzecz biorąc sektor ten jest obecny i stosunkowo silny w krajach rozwiniętych, natomiast słaby w krajach ubogich, w których polityka sprowadza się do tradycyjnego duetu gabinetowego oligarchii prywatnej i oligarchii państwowej. Wraz z rozwojem nowych technologii, które ułatwiają powiązania społeczne, i postępami urbanizacji, która sprzyja organizacji lokalnej, poszerza się ogromnie przestrzeń modernizacji i demokratyzacji zarządzania w sferze politycznej, gospodarczej i społecznej, szczególnie za pośrednictwem lokalnych systemów partycypacyjnych. Dla naszej analizy zasadnicze znaczenie ma konstatacja, że niedostatki megafirm i obecnych form organizacji państwa z punktu widzenia zdolności do zaspokajania podstawowych potrzeb społeczeństwa coraz bardziej skłaniają samo społeczeństwo do zakasania rękawów i prowadzenia swoich działań nowymi drogami.

Od trójnogu państwowego do trójnogu społecznego

Prowadzenie dyskusji na płaszczyźnie powiązań sił społecznych oznacza postęp. W Brazylii przywykliśmy lokalizować dramat w stosunkach między trzema władzami - dyskutujemy o systemie prezydenckim (więcej egzekutywy), parlamentarzystwie (więcej legislatywy), a także o kontroli innych władz nad sądownictwem. Społeczeństwo obywatelskie wkracza tam zwykle drzwiami zarezerwowanymi dla partii politycznych, a zagubionej prawomocności politycznej poszukuje się w głosowaniu na szczeblu okręgów, w umoralnieniu finansowania kampanii wyborczych itd. Ponieważ to nie działa, zawsze można dowiedzieć, że Brazylijczyk nie potrafi głosować. Jeśli chodzi o sektor prywatny, to kamufluje on swoją zorganizowaną władzę polityczną i występuje jedynie z (potężnymi, choć dyskretnymi) wkładami finansowymi w kampanie wyborcze, także pod postacią *lobby* - w tak uczony sposób nazywa się w Brazylii korupcję systemową. *Trójnóg społeczny* przenosi nas na inny poziom. Chodzi o formalne uznanie (realnej) władzy politycznej przedsiębiorstw i

(koniecznej) władzy politycznej zorganizowanego społeczeństwa obywatelskiego. Chodzi o odzyskanie przez państwo zdolności do organizowania i umacniania nowego paktu społecznego, jakiego wymaga kraj. Chodzi o wyprowadzenie wielkich firm z ministerstw, parlamentu i sądownictwa, o odprywatyzowanie państwa. Chodzi wreszcie o zdynamizowanie organizacji społeczeństwa obywatelskiego tak, aby mogło skutecznie spełniać swoją rolę w dziedzinie kontroli nad państwem, hamować lub kompensować nadużycia sektora prywatnego i odtworzyć minimum kultury solidarności społecznej, bez której ani gospodarka, ani społeczeństwo nie byłyby zdolne do życia. Tym samym dyskusja przestaje być obsesyjnym sporem o to, czy lepsza jest władza w rękach oligarchii gospodarczych, czy w rękach oligarchii politycznych, i toczy się na gruncie stosunków między władzą gospodarczą, władzą polityczną i społeczeństwem obywatelskim.

Od społeczeństwa manipulowanego do społeczeństwa poinformowanego

Twierdzenie, że żyjemy w demokracji, jest niewątpliwie aktem dobrej woli. Ponieważ mieliśmy w naszych dziejach długie okresy dyktatur, reagujemy jak biedak, który w baraku musi trzymać kozę: gdy usuwa się kozę, ulga jest ogromna, tylko że biedak pozostaje biedakiem, a barak pozostaje barakiem. Po to, abyśmy przeszli od koziej polityki do polityki zorganizowanego postępu społecznego i zapewnili minimum równowagi między państwem, przedsiębiorstwami i społeczeństwem obywatelskim, społeczeństwo musi być należycie informowane. To z kolei wymaga demokratyzacji kontroli nad publicznymi środkami masowego przekazu - nad *mediami*. Dlatego wydaje się ważne, aby w szczególności siły demokratyczne, które skupiają się na alternatywach ekonomicznych, uznały fundamentalne znaczenie procesów kulturalnych i komunikacyjnych. Tradycyjne filary władzy oligarchii - broń i zasoby ekonomiczne - stają się stosunkowo mniej ważne, gdy ten, kto kontroluje media, uzyskuje możliwość wejścia do każdego mieszkania, do każdej poczekalni i sypialni z nieustającym przesłaniem na temat tego, co powinniśmy myśleć o wszystkim i jak odnieść sukces uganiając się za nim i dominując nad innymi. W ten na ogół zakamuflowany sposób ukierunkowuje się nastawienia i wartości ogromnej większości społeczeństwa, kształtując pewien rodzaj bezwładu umysłowego, który niczym ogromny i bezkształtny mięczak ciąży nad wszelką nową myślą, wszelkim odruchem życzliwości, wszelką odmienną opinią. Zaczynamy chcieć tego, czego chce się od nas. Od dyskusji o kontroli nad hutą i monopolami państwowymi dużo ważniejsza jest dyskusja, jak ograniczyć monopol na środki masowego przekazu. Nie chodzi oczywiście o upaństwowienie mediów i zastąpienie jednego monopolu innym. Chodzi o zapewnienie mnogości i bogactwa zróżnicowanych i zdecentralizowanych źródeł informacji po linii sieci, wśród których Internet wskazuje nam odnowione paradygmaty organizacji społecznej. Informacja, komunikacja oraz to, co umożliwia jedna i druga - przejrzystość - stanowią pierwszorzędne narzędzia obecności społeczeństwa obywatelskiego w procesie politycznym, zasadniczy czynnik ogólnej spójności. W swoim *World Information Report 1997/98* UNESCO słusznie przypomina, że informacja stanowi jedno z podstawowych praw obywatela - również dlatego, że bez potrzebnej informacji obywatel nie może korzystać z innych praw - i że czynniki publiczne powinny zapewnić ją bezpłatnie.

Od filozofii piramidy do filozofii sieci

Nadal postrzegamy organizację społeczną jak piramidę, jako system odziedziczony po Watykanie i legionach rzymskich, w którym jeden rządzi dwoma, dwaj rządzą czterema i tak dalej, a narastająca złożoność kompensuje mnogość poziomów. Wiadomo, że poczynając od pewnej liczby poziomów hierarchicznych szczyt piramidy zaczyna żyć złudzeniem, iż ktoś

wykonuje to, co się postanawia, a u podstaw zaczyna się żyć złudzeniem, że ktoś kieruje racjonalnie tym procesem. W rzeczywistości nic nie działa. Sprawić, aby działała służba zdrowia, która jest jak naczynie włoskowate i musi dotrzeć do każdego obywatela w każdym punkcie kraju, gdy podlega scentralizowanemu dowództwu z siedzibą w Brasílii i składa się z dziesiątków szczebli, z których każdy ma swoje zawilości, to uczynić rzecz administracyjnie niemożliwą. Mamy taką oligarchię, jaką mamy, nie koniecznie dlatego, że lud nie umie głosować ani dlatego, że jesteśmy bardziej niż inni skorumpowani. Złożoność, tempo zmian i różnorodność sytuacji nowoczesnego społeczeństwa czynią nieżyciowym stary, rzymski czy pruski, układ pionowy. Hierarchia ze swoją mnogością poziomów i centralizacją decyzji wyklucza naturalnie podstawę. Pozbawiony kontroli dołów, to znaczy zainteresowanej decyzjami populacji, system funkcjonuje w sposób dosłownie nierządny. Z drugiej strony fakt, że populacja zurbanizowała się tworząc powiązane, dające się zorganizować u podstaw społeczeństwa przestrzenie, sprzyja decentralizacji i radykalnej demokratyzacji sposobów, w jakich sobą zarządzamy. W innych czasach mogło to doprowadzić do dezintegracji szerszego systemu politycznego. Nowe sposoby informacji i komunikacji pozwalają dziś systemowi na decentralizację, na działanie sieciowe, na zastępowanie w dużym stopniu hierarchii dowodzenia przez koordynację poziomą. Chodzi o zmianę paradygmatu, która przeniknęła już do wielu dziedzin działalności przedsiębiorstw i stanowi roboczą filozofię wielu organizacji społeczeństwa obywatelskiego, podczas gdy stawia dopiero pierwsze kroki w naszym sposobie widzenia organizacji państwa.

Różnorodność rozwiązań instytucjonalnych

Spółeczeństwo zorganizowane sieciowo i żyjące w środowisku bogatym w informację szuka elastycznej formy zawsze odnawialnych rozwiązań instytucjonalnych, unikając standardowego rozwiązania, które wtłacza rozmaite sytuacje w takie same ramy instytucjonalne. Chodzi o powiązanie rozmaitych rozwiązań organizacyjnych, a nie o wybór takiego czy innego radykalnego uproszczenia stosunków między państwem a przedsiębiorstwem. Jest rzeczą naturalną, że sektor działalności produkcyjnej opiera się na tak ważnym mechanizmie regulującym, jakim jest rynek, choć ważna jest kontrola nad działaniami produkcyjnymi, które dotyczą podlegających wyczerpaniu dóbr naturalnych, czy też dóbr z łatwością podlegających kartelizacji. Sektor infrastruktury - zwłaszcza energetyczny, wodny, transportowy - wymaga dużego udziału państwa, ponieważ wymaga wielkich inwestycji, które zwracają się po długim czasie i przynoszą rozproszone efekty gospodarcze, jak również planowania celem zapewnienia długofalowej spójności systemowej. Sektor społeczny - edukacja, służba zdrowia, kultura, komunikacja, sport i inne dziedziny - źle działa pod panowaniem tradycyjnej biurokracji państwowej, a jeszcze gorzej w warunkach komercjalizacji i biurokratyzacji prywatnej - aby się o tym przekonać, wystarczy przyjrzeć się katastrofie, jaka stanowią prywatne ubezpieczalnie zdrowotne, eksplozja medycyny leczniczej kosztem zapobiegawczej i inne, bezpośrednio godzące w jakość naszego życia, tendencje. Właściwego działania tego sektora nie może zapewnić ani biurokracja państwowa, ani prywatny zysk, lecz przemożna obecność zorganizowanej społeczności. Problem nie polega więc na zgodnym z opcjami ideologicznymi wyborze etatyzacji albo prywatyzacji, lecz na budowie odpowiednich powiązań między z jednej strony państwem, przedsiębiorstwami i społecznością, a z drugiej rozmaitymi poziomami władzy państwowej - władzą centralną, stanową i gminną. Do tego dochodzi fakt, że nie wystarczy sprywatyzować czy upaństwowić, ponieważ np. szpital może stanowić *własność* prywatną, być *zarządzany* przez działającą w społeczności lokalnej i nie nastawioną na zysk organizację, podlegać *kontroli* rady obywateli - wszystko w ramach *regulacji* przez państwo. Może też być szpitalem państwowym zarządzanym przez grupę prywatną pod kontrolą rady gminnej. Takie powiązania nie zawsze

mieszczą się w naszych symplifikacjach ideologicznych, ale na pewno powinniśmy zmierzać w tym kierunku celem przywrócenia naszym wysiłkom użyteczności społecznej. Jeśli nowe technologie oferują nam jakiś nowy potencjał, to polega on właśnie na możliwości znacznie elastyczniejszego i przystosowanego do zróżnicowanych warunków zarządzania. Zmierzamy ku powiązaniu zróżnicowanych mechanizmów regulacji. Lansowana przez neoliberalistów powszechna prywatyzacja jest tak samo ekstremistyczna, jak pokusa powszechnej etatyzacji, której ulegli komuniści. Dążenie do prywatyzacji jest zrozumiałe z powodu zysków, jakie ona przynosi, ale nie wytrzymuje krytyki nowoczesnej wizji społecznej.

Urbanizacja i przestrzenny wymiar celów społecznych

Jeśli rozwiązania są zróżnicowane, a rzeczywistość współczesna jest bardziej złożona i (z powodu samego tempa przeobrażeń, jakie przeżywamy) cechuje ją większa płynność, rozmaite inicjatywy muszą powiązać się na jakimś poziomie w taki sposób, aby sprzyjały temu, co nazwano jakością życia - w ostatniej instancji jest to cel wszystkich naszych wysiłków. Miasto, które - chcąc nie chcąc - stało się podstawową komórką struktury instytucjonalnej i naszego życia społecznego, wymaga, aby przypadła mu rola czynnika integrującego rozmaite inicjatywy - prywatne, państwowe czy podejmowane przez organizacje społeczeństwa obywatelskiego. Nie ma sensu zadrzewianie przez państwo ulic, upiększanie miasta i oczyszczanie rzek, gdy przemysł zatruwa środowisko odpadami chemicznymi, a firmy wykupujące grunty zajmują nadrzeczne łąki i wyrębiają lasy na zboczach. Inicjatywy podejmowane przez instytucje, które dążą do zupełnie odmiennych celów, nie przyczynią się do synergicznej konstrukcji celów społecznych, jeśli nie będzie instytucji sprzyjających zbieżnościom i współdziałaniom. Przedsiębiorstwo prywatne w sferze produkcyjnej osiąga - choćby tylko na poziomie mikroekonomicznym - wysoką efektywność, bo jeśli nie jest efektywne, trzeba je zamknąć; do pewnego stopnia musi ono przystosować się do kontroli zewnętrznej, jaką jest sankcja zysku. Z kolei miasto musi dążyć do minimum efektywności, którą możemy nazwać *produktywnością społeczną*, aby np. uniknąć absurdu, którego ofiarą pada São Paulo, sparaliżowane przez nadmiar środków transportu. Osiągnięcie nowoczesności po to, aby jechać średnio z szybkością 14 kilometrów na godzinę samochodem kosztującym dziesiątki tysięcy dolarów i skonstruowanym tak, aby jeździć z szybkością ponad 150 kilometrów na godzinę, gdy wszystkim znane są odpowiednie rozwiązania techniczne takiego problemu, zmusza nas do przemyślenia sposobów zarządzania.

Odkładam na bok sprawę potworów o rozmiarach São Paulo, która jest odrębnym zagadnieniem. Rzecz w tym, że miasto stanowi podstawową jednostkę, w której gospodarka prywatna, polityka społeczna państwa na różnych poziomach lub społeczeństwa obywatelskiego, cele ekologiczne, siatki ratujące przed ubóstwem krytycznym, zintegrowana polityka zatrudnienia i inne cele mogą wiązać się ze sobą wokół mających ręce i nogi propozycji. Coraz lepiej rozumiemy, że w miarę jak świat wchodzi na surrealistyczną orbitę zwaną gospodarką globalną, trzeba dobrze umocować kotwicę, którą mamy pod sobą - władzę lokalną.

Odpośredniczenie państwa

Afryka Południowa - kraj, w którym piętrzą się niesłychanie podobne do brazylijskich problemy gospodarcze i społeczne - przeprowadza interesujące doświadczenia. Ich dynamikę pokazuje wyraźnie działanie głównego w tym kraju forum negocjacji konsensu, o którym była już mowa - Narodowej Rady Rozwoju Gospodarczego i Pracy. Ove Pedersen pisze o „gospodarce negocjowanej” w systemie, jaki wyłania się w krajach skandynawskich: „system

powszechnej kooperacji politycznej jest czymś więcej niż tylko narzędziem podejmowania decyzji i koordynacji zbiorowości policentrycznej oraz instytucji na różnych poziomach. W systemie tym jako całości można upatrywać wstępny warunek instytucjonalny istnienia gospodarki negocjowanej. Gospodarkę negocjowaną możemy więc zdefiniować jako narzędzie kształtowania takiego społeczeństwa, w którym alokację zasobów przeprowadza się zasadniczo za pośrednictwem powszechnego systemu kooperacji politycznej między niezależnymi ośrodkami podejmowania decyzji w państwie, w organizacjach i w instytucjach finansowych.”

W Brazylii podejmowano już takie próby w rodzaju *izb branżowych*; uzyskaliśmy również takie - zinstytucjonalizowane już - rezultaty, jak partycypacyjne tryby uchwalania budżetów w Porto Alegre i gdzie indziej. Opory, jakie one wzbudzają, są zrozumiałe ze względu na skład i zacofanie prywatnych i państwowych oligarchii brazylijskich. Mimo to wyłania się stopniowo nowa kultura polityczno-administracyjna; rodzi się nowa świadomość kondycji obywatelskiej i samej funkcji polityki, która prawdopodobnie będzie miała niewiele wspólnego z czystymi modelami podejścia etatystycznego i liberalnego. Nie chodzi o jeszcze jedno „zwycięstwo” jednych nad innymi, lecz o powstanie wypadkowej, która czerpie po trochu od jednych i drugich, ale tworzy coś nowego. Rzeczywistość jest zaś taka, że sektor wielkich przedsiębiorstw prywatnych, na skutek deklarowania po tylekroć swojego zwycięstwa w obliczu coraz bardziej chaotycznej pod względem gospodarczym, społecznym i ekologicznym sytuacji, ryzykuje, że nie biorąc udziału w budowie bardziej zrównoważonej polityki, jako pierwszy będzie miał kaca.

Od klas-zbawicieli do wizji aktorów społecznych i kondycji obywatelskiej

Wizja ta pociąga z kolei za sobą konieczność dokonania przeglądu pojęć, którymi posługujemy się definiując aktorów społecznych. Na naszym - krótkim czy długim - stuleciu wycisnęły piętno mesjanistyczne wizje klas-zbawicieli - burżuazji w wizji kapitalistycznej, proletariatu w wizji socjalistycznej. Ponieważ kondycja każdej klasy zależy od usytuowania w procesach produkcji, wszystko sprowadzało się do opozycji między tym, kto jest właścicielem fabryki, a tym, kto zapewnia w niej produkcję, tym, kto czerpie zysk, a tym, kto utrzymuje się z płacy. Centralna pozycja fabryki w procesach produkcji rozwiewa się niesłychanie szybko; z kilkudziesięcioletnim opóźnieniem jej waga maleje tak, jak ongiś zmalała waga rolnictwa. Złożoność podsystemów ekonomicznych, jakie ukształtowały się w realnie istniejącej gospodarce, jest zaś taka, że mówienie o nich przy użyciu tego rodzaju makrokategorii, jak klasa staje się nadmiernym uproszczeniem. Sposób usytuowania w procesach produkcji nie przestaje wywierać wpływu na postawy polityczne, ale nie ma tak zasadniczego znaczenia, jakie miał w przeszłości. Tradycyjne podziały klasowe krzyżują się dziś w sposób bardziej różnorodny i złożony z postawami wynikającymi z dość wąskich, korporacyjnych interesów zawodowych, korzeniami regionalnymi (przynależnością do dzielnicy, społeczności, miasta, mniejszości językowej lub innymi wpływami, związanymi już nie z przestrzenią pracy, ale z miejscem zamieszkania w ramach czegoś, co John Friedmann nazwał *life space*) i innymi elementami definicji ideologicznej. Różne aspekty definicji ideologicznej krzyżują się ze sobą na rozmaite sposoby, toteż często czujemy się nieswojo i odczuwamy niedosyt określając się jako lewica lub prawica. Z rozmachem wyłania się raz jeszcze pojęcie kondycji obywatelskiej, powiązanej ze zróżnicowanymi indywidualnie i społecznie przejawami powszechności praw człowieka.

„My” i „oni”: nowe znaczenie profilu etycznego

Wspomniane wyżej nowe profile zmuszają nas naturalnie do dwuznacznego przedsięwzięcia - określenia grup, z którymi się utożsamiamy. Mówiąc o społeczeństwie, które będzie musiało rządzić się wiążąc bardziej niż dotychczas złożone krzyżówki usytuowania społecznego, zróżnicowanych aktorów społecznych i praw powszechnych, jesteśmy racjonalnie przekonani o nowej kompleksowości. Tymczasem otwierając gazetę lub widząc portret Fernando Collora, uśmiech w stylu Antonio Carlosa Magalhães czy Paulo Malufa, wiemy doskonale, gdzie *nie* jesteśmy i z jakim światopoglądem się *nie* identyfikujemy. Świat znów staje się do pewnego stopnia prosty. Gdzie przebiega owa granica, która nie wynika ściśle z racjonalnego pojmowania różnic klasowych, lecz odpowiada intuicyjnej *gestalt*, które mówi nam, że *wiemy* po której stronie jesteśmy? Wydaje mi się, że Jordi Borja dość jasno definiuje linię podziału: są tacy politycy, przedsiębiorcy, dziennikarze, przywódcy najrozmaitszych Kościołów, animatorzy programów telewizyjnych, prawnicy i inni aktorzy społeczni, których siła polityczna wynika z odwoływania się w sposób zorganizowany do tego, co napuszcza jednego człowieka na innego, a więc niepohamowanej konkurencji, rasizmu, sprawiedliwości wymierzonej jako zemsta, ksenofobii, męskiej supremacji, arogancji bogactwa, wyszydzania słabszych i okazywania im pogardy i tak dalej; są też tacy politycy, którzy przypisują szczególną wartość temu, co w człowieku jest wielkoduszne i skupiają się w swoich dyskursach na solidarności, tolerancji, poszanowaniu i docenianiu różnic, sprawiedliwości społecznej. Prawdę mówiąc, na ogół pierwsza opcja, „granie” na tym, co w istocie ludzkiej jest najsłabsze, jest najłatwiejszym sposobem uprawiania polityki i integrowania sił społecznych. Ludzie mogą czuć się dowartościowani widząc, jak docenia się to, co jest w nich najciemniejsze. To polityka, gospodarka, komunikacja społeczna, kultura od strony żołądka. Nowe technologie - patrz sukces Edira Macedo, biskupa Powszechnego Kościoła Królestwa Bożego w Brazylii, Jean-Marie Le Pena we Francji, Newta Gingricha w USA, zdeklarowanego pronazisty Jörga Haidera w Austrii, samego Collora - sprawiają, że jest to niesłychanie groźne zjawisko.

To niezwykle, że choć nasze zdolności umysłowe stają się coraz bardziej wyszukane, udaje nam się upraszczać swoje stanowiska polityczne. Cynik wychwala cynizm i wyjaśnia, że istota ludzka nic nie jest warta; w ten sposób powleka swoje bezwstydne poglądy lakierem szacowności filozoficznej. Idealista szuka istoty przyzwoitego człowieka i często popada w absolutne rozczarowanie. Prozaiczna rzeczywistość jest taka, że jedne formy organizacji społecznej potęgują pozytywne strony człowieka, a inne - co widzieliśmy za reżimów faszystowskich i dyktatur wojskowych - czynią z niego bestię i w niej szukają swojej siły politycznej.

Pewnego razu czytałem w *Sunday Times* artykuł pełen zgoła obłądnych kłamstw o pewnym kraju afrykańskim, który przypadkiem dobrze znam; byłem przerażony, jak wiele osób czytając go popadało w ekstazę i powtarzało z satysfakcją tradycyjne „to jest to” nie zwracając uwagi na najbardziej nawet oczywiste kłamstwa. Dobrym dziennikarzem czyni kogoś raczej utwierdzanie ludzi w przesądach niż przelewanie na papier problematycznych realiów. Istotne jest dla nas to, że linia podziału może mieć złożony przebieg, przechodzić przez związki zawodowe, partie, stowarzyszenia, redakcje gazet, a w każdym razie nie sprowadza się do tradycyjnego podziału na lewicę i prawicę, na jedną i drugą klasę; nie wyczerpuje się w sposobie usytuowania w procesach produkcji. Zrozumienie tego podziału staje się tym ważniejsze, im bardziej takie zagadnienia, jak z jednej strony przetrwanie planety, a z drugiej prozaiczne uczucie szczęścia w życiu codziennym, wymagają nowej etyki społecznej. Ta z kolei nie będzie mogła zmaterializować się bez zbliżenia między aktorami społecznymi, którzy potrafią stać się jej podporą. Wynalezienie na nowo humanizmu społecznego, w którym dopatrywano się ongiś naznaczonego niemocą idealizmu, stanowi dziś potężną oś działania.

Przykładem tej tendencji może być opracowywany corocznie przez Narody Zjednoczone *Raport o rozwoju społecznym* - w przeciwieństwie do mającego dłuższą tradycję *Raportu Banku Światowego o rozwoju świata* skupia się w nim uwagę na jakości życia. Ta sama tendencja znajduje wyraz w ruchu ekologicznym przedsiębiorców, w nowych pojęciach odpowiedzialności społecznej za działalność gospodarczą itd. Nikczemność skorumpowanych radnych São Paulo, którzy śmieją się bezczelnie ze swoich bandyckich wyczynów, może wywołać powszechną niechęć do polityki, ale może również przysporzyć świadomości, że instytucje, nad którymi społeczeństwo obywatelskie nie sprawuje kontroli, wyrodnieją - i skłonić do konstruktywnych poszukiwań bardziej demokratycznych form organizacji instytucjonalnej.

Od profilu etycznego do kultury władzy

Profil etyczny materializuje się po stronie społeczeństwa obywatelskiego w szerokim poczuciu oburzenia i bezsilności, jakie udziela się nam na początku nowego stulecia. Nie chodzi o westchnienia moralistyczne, ale o niepewność co do tego, jak sprostać niesłuchanie wyszukany systemom korupcji, panującym nad przestrzenią polityczną i gospodarczą, nad sądownictwem i samymi mediami, które informują nas o tych systemach. Wszyscy czujemy, że w ośrodkach władzy istnieje rozległa, występna i mroczna przestrzeń, która – ogólnie rzecz biorąc – krzyżuje się z prawicą, ale nie jest zbieżna ze zorganizowanymi interesami tak zwanych klas wytwórczych.

Innymi słowy, istnienie zróżnicowanych lub pozostających ze sobą w sprzeczności interesów na różnych biegunach społeczeństwa jest rzeczą naturalną. Uczymy się, że pracownicy, przedsiębiorcy, drobni producenci i inni mają interesy, które w jednych sprawach są rozbieżne lub zbieżne i ich wiązanie ze sobą jest uprawnione, a nieraz nawet konieczne. W tym punkcie nie o to jednak chodzi. Chodzi o mafijną formę powiązania interesów, która ma niewiele wspólnego z kapitalizmem czy rynkiem, a sprawia, że jakiegokolwiek rzeczywiste wiązanie czy negocjowanie interesów staje się niezwykle trudne i uniemożliwia już i tak mozolną budowę odmiennej od obecnie panującej w kraju kultury społecznej i politycznej.

W tej sprawie panuje w Brazylii ogromna dyskrecja. W rzeczywistości mamy do czynienia z korupcją systemową, w którą są dogłębnie uwikłane szczyty władzy politycznej i władzy przedsiębiorczej. Nie mamy na myśli zakłócających normalne życie polityczne przypadków korupcji, lecz działalność polityków i przedsiębiorców, która jest zorganizowana w taki sposób, aby pozwalała przywłaszczać zasoby publiczne, przeznaczone na finansowanie kontraktów zawieranych z prywatnymi przedsiębiorstwami; pozwala to dotować najbogatsze spółki i służy za dźwignię dostępu do nowych przestrzeni władzy. Chodzi o siłę polityczną systemu, który na przykład skandalicznie zawyża koszty wielkich robót, co przynosi bajeczne zyski firmom budowlanym, finansującym z kolei wielomilionowymi kwotami kampanie wyborcze skorumpowanych polityków, którzy na podstawie zawyżonych kosztorysów uchwalają następne kontrakty na wielkie roboty. Chodzi o pożyczki dla megaobszarników, które zamieniają się w wielomilionowe subsydia. Chodzi o szantaż, jaki uprawia bankier, który przeprowadza z przyjaciółmi wielomiliardowe operacje i spokojnie czeka na odzyskanie od rządu zdefraudowanych w ten sposób sum, bo państwo nie może dopuścić do załamania się systemu – tym bardziej, że bankierzy operują pieniędzmi ludności, a nie własnymi. Chodzi też, rzecz jasna, o skandaliczny rozdział koncesji radiowych i telewizyjnych; dzień w dzień pozwala on takim politykom i przedsiębiorcom narzucać swój punkt widzenia całkowicie zdeorientowanej ludności, którą – mówiąc nawiasem – oskarża się, że nie umie głosować.

W Brazylii to niezwykle ważna sprawa, bo debatowanie, czy neoliberalizm jest odpowiedni dla kraju, czy nie, to jedno, natomiast sytuacja, w której argumenty teoretyczne służą po prostu za przykrywkę permanentnego systemu podejmowania przez rząd czy

przedsiębiorstwa decyzji motywowanych korupcją – to coś innego. Nie ma warunków do organizowania się i artykułowania różnic politycznych ani do instytucjonalizowania praktyk rządzenia, gdy różnice te nie mogą nawet osiągnąć poziomu politycznego i gdy grupy panujące postrzegają przestrzeń polityczną jako narzędzie wyłącznej promocji swoich własnych interesów. Codziennie czytamy w gazetach, ile miliardów nas to kosztuje. Od bezpośrednich kosztów zagrabionych zasobów groźniejsza jest jednak dokonująca się w ten sposób korupcja procesów politycznych i korozja prawowitości demokracji.

Chodzi – zgodnie z technicznym znaczeniem tego terminu – o system mafijny, w którym solidarność i współodpowiedzialność skorumpowanych i korumpujących stwarza sieci władzy powiązane ponad głowami władzy ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej i dezintegrujące jakkolwiek formalną zdolność do rządzenia. Miastami, stanami i rozległymi segmentami Unii rządzą solidne powiązania firm budowlanych, skorumpowanych polityków, spekulantów nieruchomości, mające oparcie w środkach masowego przekazu i skandalicznie zamieszany w to wszystko sądownictwie. Sieć solidarności w nielegalnych działaniach stwarza naturalnie zachowania korporacyjne i zapewnia milczenie. Istnienie okazjonalnego, mającego marginalne znaczenie w skali ogólnospołecznej, bandytyzmu politycznego jest praktycznie nieuniknione w każdym społeczeństwie. Takie praktyki wykrywa się i ujawnia wtedy, gdy w danej instytucji są dziełem mniejszości działających na szkodę ogółu profesjonalistów. Gdy korupcja staje się systemowa, profesjonaliści są w mniejszości, a tych mafia kooptuje lub eliminuje. Czyż można spodziewać się, że na przykład rada miasta São Paulo osądzi czyny przestępcze radnych, gdy popełnia je większość członków tej rady?

Należy uświadomić sobie, że obok takich znakomitych książek, jak *Posiadacze władzy* i innych esejów socjologicznych, traktujących o *ogólnym* charakterze brazylijskiej klasy panującej, nie mamy żadnego studium poświęconego konkretnej strukturze rodzinnej makrowładzy polityczno-gospodarczej ani odnawiającym się i odtwarzającym powiązaniom. W realnie istniejącej Brazylii te same równoległe struktury władzy, jeśli nie wręcz te same rodziny, które rządziły nami za fasadą Unii Narodowo-Demokratycznej (UDN) w latach pięćdziesiątych i Sojuszu na rzecz Odnowy Narodowej (ARENA) za dyktatury wojskowej, dziś rządzą za fasadą rozmaitych grup politycznych, krążących na orbicie malufowskiej i magalhãesowskiej. Wiecznie sprawują realną władzę, absurdalnie acz skutecznie szantażując przedsiębiorców, że powstanie rząd postępowy, gwarantując obszarnikom, że jako jedyne gotowe do wszelkiego bestialstwa siły są w stanie ochronić ich przed reformą rolną, czy igrając z nieustanną, paniczną obawą elit, że pewnego dnia masy wezmą odwet za ucisk i doznane poniżenia. Tak oto nędza, w jakiej elita utrzymuje kraj, skupia wokół niej szerokie umiarkowane środowiska społeczne i sprawia, że nie ma przestrzeni, na której projekty odnowy mogłyby rozwinąć skrzydła.

Podstawę sojuszu interesów umiarkowanych przedsiębiorców z mafijną strukturą władzy stanowi to, że jesteśmy dziś krajem o najbardziej niesprawiedliwym na kuli ziemskiej podziale dochodu, że w tak dobrze wyposażonym w bogactwa naturalne kraju nie potrafimy wyżywić ludu, że niczym pierwsza lepsza republika bananowa jesteśmy przeżarci spekulacją finansową. Prawda jest taka, że mafijna struktura władzy i systematyczna korupcja, w której znajduje ona oparcie, niweczy wszelki wysiłek na rzecz reformy państwa, modernizacji instytucjonalnej, ewolucji ku społeczeństwu cywilizowanemu.

Tu, podobnie jak w innych dziedzinach, potrzebna nam jest duża doza realizmu. Choć mamy demokrację formalną, jesteśmy zdominowani przez skorumpowane systemy, które z demokracją mają bardzo mało wspólnego. Zanim zaczniemy dyskutować o takich sprawach, jak liberalizm, socjaldemokracja czy socjalizm, musimy podołać dużo trudniejszemu zadaniu – odzyskać zdolność budowy opeji politycznych. Zadanie to wymaga udziału znacznie szerszego niż lewica wachlarza sił politycznych.

Projekt polityczny i mechanizmy gospodarcze

Do tych trudności wewnętrznych dochodzi zmiana kontekstu międzynarodowego. Bez względu na swoje uroki, koncepcja powiązania państwa, przedsiębiorstw i społeczeństwa obywatelskiego i stworzenia takiego społeczeństwa, które gospodarczo byłoby żywotne, społecznie sprawiedliwe i ekologicznie znośne zderza się z oczywistym faktem – oto gospodarka staje się w wielkiej mierze globalna, podczas gdy narzędzia polityczne pozostają narodowe. Wiadomo też, że rządy, bez względu na to, jakie partie je tworzą, mają dziś do wyboru jedną centralną propozycję – po prostu po to, aby przetrwać, nie zostać *zmiażdżone* przez system globalny, muszą spełniać wymogi światowego systemu finansowego. Zdumiewa, do jakiego stopnia niejasna jest linia podziału między tymi osobami czy aktorami społecznymi, którzy bronią bardziej nacjonalistycznych pozycji, a tymi, których globalizacja wprawia w ekstazę. W obronie podobnych argumentów występują osoby, które nigdy nie usiadłyby obok siebie. Nie należy zapominać o takim oto paradoksie – lewicę oskarżano o internacjonalizm, materializm, ateizm, wrogość wobec wartości moralnych i rodziny, a tymczasem dziś, w imię przeciwnych ideałów, prą ku temu dominujące siły gospodarcze i kulturalne.

Anthony Giddens pokazuje, jak ten paradoks udziela się środowiskom konserwatywnym – wszelkie takie tradycyjne wartości, jak rodzina, praca, naród, własność, etyka społeczna były w ich światopoglądzie zakotwiczone w wolnej przedsiębiorczości i rynku. Dziś to globalizacja powoduje korozję narodu, to rynek niweczy własność i indywidualne oszczędności, to media powodują rozkład wartości, to kapitalistyczny gigantyzm przedsiębiorstw likwiduje przestrzeń inicjatywy indywidualnej itd. W ten sposób rozpada się spistość światopoglądu liberalnego, co w hołdujących mu sferach politycznych wywołuje narastający popłoch. Duże wrażenie robi widok byłego premiera Francji Raymonda Barre'a, jednego z najbardziej tradycyjnych profesorów ekonomii na Sorbonie i rzecznika teorii liberalizmu ekonomicznego, który pozwala sobie na następującą wypowiedź: „Stanowczo nie można pozostawiać dłużej świata w rękach bandy nieodpowiedzialnych trzydziestolatków, który myślą jedynie o robieniu pieniędzy”.

Między kapitalizmem globalnym a wewnętrzną prawowitością władzy

Problemem kluczowym staje się definicja przestrzeni budowy takiej gospodarki, która byłaby społecznie sprawiedliwa i respektowała środowisko naturalne. Jak budować krajowe, regionalne i lokalne projekty polityczne w takich ramach gospodarczych i politycznych, którymi manipulują aktorzy działający na poziomie globalnym i nie podlegający kontrolom społecznym i politycznym? Jak przeprowadzić nieodzowne przeobrażenia mając taką strukturę władzy, która wiąże wielkie przedsiębiorstwa i sfery polityczne i sądownicze ze światem korupcji systemowej? Podczas gdy cele – ekologiczne, społeczne i polityczne – stają się coraz wyraźniejsze, coraz wyraźniejsza staje się również słabość ich konstrukcji. W tej mierze, w jakiej kraje rozwinięte korzystają z nierównowagi międzynarodowego podziału pracy, problem ten występuje w nich w sposób złagodzony. Natomiast w krajach rozwijających się następuje nagromadzenie podwójnej słabości: z jednej strony są za słabe pod względem gospodarczym na to, aby mogły jakkolwiek oddziaływać na kurs gospodarki globalnej czy choćby mieć w niej nieco pola do manewru, a z drugiej – ponieważ pośród morza nędzy panują w nich uprzywilejowane oligarchie, wewnętrzna prawowitość polityczna władzy jest tam ograniczona, a interesy oligarchii wiążą ją bardziej z przestrzenią globalną niż krajową. Tak więc, zasadniczy element ograniczeń nie tkwi w osobach, lecz w sytuacjach, które polegają na tym, że rządy nie mogą jednocześnie sprostać napięciu wewnętrznemu –

bezpośrednio wynikającemu z apartheidu społecznego, na którym opiera się sprawowana przez nie władza – i starciom zewnętrznym nieodzownym do negocjowania z mocnych pozycji własnej przestrzeni politycznej w gospodarce globalnej – bo o tym, z jakich pozycji się negocjuje, decydują zasadniczo wewnętrzna spójność narodu i prawowitość rządu. Tak oto dochodzi do sytuacji, w której skuteczne stawienie czoła wewnętrznemu apartheidowi społecznemu jest jedynym sposobem na odzyskanie zdolności do manewru w gospodarce globalnej. Wbrew dogmatom liberalnym prowadzenie dobrej polityki społecznej oznacza dziś, że prowadzi się dobrą politykę gospodarczą, a może również oznaczać, że prowadzi się dobrą politykę międzynarodową.

Od wyzysku pracy do nędzy globalnej

Dziś, na przełomie stuleci, problemy spiętrzyły się do tego stopnia, że realny (a nie tylko retoryczny) wybór polityki zmierzającej do zapewnienia równowagi społecznej może nawet rozszerzyć prawowitość międzynarodową, która nabiera coraz większego znaczenia. Od procesu gospodarczego oczekujemy, że stworzy dobra i usługi, a więc produkt, ale również dochód dla rozmaitych uczestników procesu, aby mogli nabyć ten produkt, a także miejsca pracy dla wszystkich, ponieważ bez pracy nie ma dochodu ani kondycji obywatelskiej. Najistotniejszym zagadnieniem debaty politycznej pozostaje nadal centralna słabość kapitalizmu: jest optymalnym organizatorem produkcji, zwłaszcza, gdy przedsiębiorstwo ma swobodę organizowania się bez przeszkód biurokratycznych, ale jest fatalnym dystrybutorem dochodu i coraz gorszym twórcą miejsc pracy. Ponieważ cykl reprodukcji obejmuje zarówno produkcję, jak i dystrybucję, ponieważ bez tego całość nie działa, kapitalizm jest strukturalnie niekompletny. Obalenie organizacji przedsiębiorczej oznacza, że wylewa się dziecko z kąpielą. Nie stawiając w sposób instytucjonalnie zorganizowany problemu dochodu i zatrudnienia postępuje się nieodpowiedzialnie. Jeśli odłoży się na bok dyskursy kosmetyczne, to okaże się, że w rzeczywistości osiągamy gospodarcze i polityczne granice stabilności społecznej. Bank Światowy zalicza około 3,5 miliarda mieszkańców kuli ziemskiej, tzn. około dwie trzecie ogółu ludzkości, do kategorii tych, których przeciętny dochód na osobę wynosi 350 dolarów (1991). Na świecie głoduje ponad 150 milionów dzieci. Analfabetów jest ponad 800 milionów i ich liczba rośnie. Dziś produkuje się na świecie dobra i usługi wartości ponad 5 tysięcy dolarów na osobę – to dość, aby wszyscy żyli komfortowo i godnie, i tak byłoby, gdyby w procesach dystrybucyjnych panowało minimum zdrowego rozsądku. W obliczu ogromnych środków gospodarczych i technologicznych, jakimi dysponujemy, sytuacja staje się takim samym absurdem i anachronizmem historycznym, jakimi w swoim czasie były niewolnictwo i kolonializm. W jednym ze sprawozdań Narodów Zjednoczonych (1997) stwierdza się słusznie, że „ubóstwo, które nie jest już nieuchronne, powinno wraz z niewolnictwem, kolonializmem i wojną nuklearną należeć do przeszłości”. W sprawozdaniu tym określa się jako „obszernicze” bogactwo 447 najbogatszych na świecie osób, których fortuna osobista jest większa niż dochód uboższej połowy ludzkości. Zrozumienie tego dramatu przestaje być przywilejem lewicy i zbliża do siebie ludzi z najrozmaitszych sfer społecznych i obozów politycznych.

Od nieograniczonego wzrostu do ograniczonych zasobów

Do tego, że zaczyna się odpływ wartości wolnej amerykanki liberalnej, przyczyniają się również dynamiki ekologiczne. Za przykład może posłużyć przypadek mórz – przy GPS (globalnym systemie określania położenia przedmiotów i osób przy pomocy satelitów), nowoczesnych systemach hydrolokacji, wyposażeniu, na które składają się gigantyczne sieci i harpuny powodujące elektrowstrząsy oraz innych technologiach stosowanych przez trawlerzy,

połowy przypominają dziś bardziej rzeź niż rybołówstwo. Wraz ze wzrostem skali połowów można by sądzić, że ceny spadną, co pociągnie za sobą redukcję skali połowów, a proces ulegnie zrównoważeniu. Taka była dawna dynamika. Dziś natomiast, ponieważ globalna skala połowów szybko redukuje biomasę, podaż szybko spada, a ceny rosną. Innymi słowy koszt połowów spada dzięki nowym technologiom, lecz ceny sprzedaży rosną z powodu rosnącej rzadkości produktu. Marża zysku rośnie i zamiast ograniczyć połowy, aby zapewnić surowcowi przetrwanie, wielkie firmy działające w tej branży rzucają do morza cały swój sprzęt. Na argument, że niszczą swoją własną przyszłość, odpowiadają lakonicznie: „Jeśli nie my, to ktoś inny”. Innymi słowy, tradycyjne krzywe podaży i popytu nigdy się nie schodzą – i tak ma być dopóty, dopóki nie ulegną zniszczeniu rezerwy. Przy zastosowaniu nowych technologii mechanizm rynkowy w dziedzinach, które nie produkują w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz eksploatują nagromadzone przez przyrodę rezerwy, stanowi po prostu samobójstwo. Zgodnie z tą samą logiką, która z preri amerykańskich wyeliminowała już bizony, na Syberii eliminuje się przy użyciu awionetek i najnowocześniejszych technologii miliony reniferów i innych zwierząt – głównie po to, aby w krajach rozwiniętych robić z nich mięso dla psów. Podobnej logice podlegają tzw. koszty zewnętrzne, dzięki którym – zgodnie z kryteriami rynku – wychodzi, że taniej jest produkować wyrzucając odpady toksyczne do rzek i niszcząc w ten sposób ograniczone rezerwy tego, co nazywa się już „błękitnym złotem”, niż zwracać sobie głowę wydatkami na recykling czy mniej agresywne systemy produkcji. Piętrzące się dramaty są tak groźne, że wachlarz aktorów społecznych, gotowych zainstalować w tym procesie hamulce, szybko się poszerza, poszerzając zarazem przestrzenie służące artykułowaniu nowych propozycji. Nie chodzi o żadne *wishful thinking*. Jeszcze dziesięć lat temu ekologów uważano za dziwaków – ludzi, którzy lubują się w żółwiach i wielorybach. Dziś troska o środowisko naturalne stała się powszechna.

Od stosunków produkcji do treści produkcji

Stosunki produkcji oburzały z powodu niesprawiedliwości społecznych, jakie powodowały. Dziś robi się pieniądze sprzedając w jakimkolwiek zakątku kuli ziemskiej broń, piorąc w bardzo szacownych bankach brudne pieniądze zarobione na handlu narkotykami, komercjalizując organy ludzkie, organizując turystykę dla amatorów prostytucji dziecięcej, handlując rtęcią służącą do zatruwania rzek, zalewając niedoświadczonych – lub zbyt doświadczonych – farmerów ochronnymi substancjami chemicznymi, praktykując superpołowy morskie, które niszczą morza, wypalając tysiącletnie lasy po to, aby powiększyć pastwiska, eksploatując w mediach najbardziej plugawą stronę ludzkiego cierpienia, zawyżając koszty robót publicznych za pośrednictwem firm, których największą umiejętność ekonomiczna polega na wykupywaniu przestrzeni politycznej, oferowaniu tych samych ludzi, którzy popełniają przestępstwa, w charakterze ochroniarzy, świadczeniu prywatnych usług wojskowych osłabionym rządów itd. Wstępny spis przedsiębiorstw produkujących narzędzia tortur objął 42 firmy w Stanach Zjednoczonych, 13 firm w Niemczech, 7 we Francji, 6 na Tajwanie i 5 w Izraelu. Dziś nie wystarczy wiedzieć, czy firma płaci dobrze czy źle, przestrzega kodeksu pracy i prawne formy organizacji przedsiębiorczości. Nieodzwonne stało się dyskutowanie za pośrednictwem mediów, związków zawodowych, partii, organizacji pozarządowych i samych zrzeszeń przedsiębiorców o społecznych celach procesów produkcyjnych. Przedsiębiorstwa związane ze społecznie użyteczną działalnością jako pierwsze poniosą koszty biertnej solidarności, łączących je – niczym kolegów szkolnych – z tymi, którzy z czystym sumieniem wykorzystują słabości sądownicze, polityczne czy społeczne. Jakże prawo mają Stany Zjednoczone, aby protestować przeciwko producentom narkotyków w Kolumbii, jeśli same w ciągu kilku lat czterokrotnie zwiększyły eksport broni do krajów afrykańskich? Czy zalewanie biednych krajów bronią jest bardziej etyczne?

Od jakości totalnej do hierarchizacji pracy

Wszystkie nowoczesne publikacje o zarządzaniu traktują o *show cases*. Czytając nowe podręczniki administracji lub odpowiednie czasopisma można odnieść wrażenie, że świat przedsiębiorczości ogarnia fala wewnętrznej humanizacji połączonej ze zmniejszeniem rozpiętości wachlarza hierarchicznego, promocją *knowledge organization*, szkoleniem, jakością totalną, *re-engineering*, Kan Banem, Kaizenem i innymi składnikami nowej globalnej zupy w postaci masy rozmaitych skrótów. Ogólnie rzecz biorąc propozycje te są pozytywne. Rzecz w tym, że stanowią apanaż grupy nowoczesnych przedsiębiorstw. Należy sobie uświadomić, że w całym Trzecim Świecie przedsiębiorstwa ponadnarodowe zatrudniają 12 milionów osób. Ponieważ Międzynarodowa Organizacja Pracy, od której pochodzą te dane, uważa, że zatrudnienie bezpośrednie stwarza zatrudnienie pośrednie, można przyjąć, że w rzeczywistości zatrudniają 24 miliony osób, co stanowi około 1 proc. ogółu czynnej zawodowo ludności świata słabo rozwiniętego. Mimo to dynamika tych przedsiębiorstw zajmuje w naszych publikacjach naukowych prawie 100 proc. miejsca. W rzeczywistości mniejszościowy sektor supernowoczesny stwarza masę miejsc *pracy na niepewnych warunkach* (w literaturze amerykańskiej nazywanych *precarious jobs*) – w dziedzinie produktów nieuchwytnych, które cechują nowoczesną gospodarkę, Nike zatrudnia w Stanach Zjednoczonych w charakterze organizatorów 8 tysięcy osób, podczas gdy konkretne – uchwytnie – tenisówki firma ta wytwarza w krajach azjatyckich, w których za godzinę płaci się osławione 15 czy 20 centów stwarzając miejsca pracy na niepewnych warunkach, ale również stwarzając bezrobocie – np. w przemyśle obuwniczym we Franca w stanie São Paulo. Ponieważ ograniczenia w tworzeniu miejsc pracy w sektorze formalnym są coraz większe, tworzy się stopniowo ogromny sektor nieformalny, w którym ludzie szukają możliwości przetrwania poprzez prowadzoną w szopie mikrodziałalność przemysłową, drobny handel itd. Tworzy się w końcu szybko rosnący sektor nielegalny – komercjalizacja kradzionych samochodów i części zamiennych, kontrabanda, pranie brudnych pieniędzy, produkcja i przemyt narkotyków, nielegalny wyręb lasów i nielegalne rybołówstwo, przemyt organów, handel krwią itd.

Tak oto nasz system społeczno-gospodarczy dzieli się stopniowo na podsystemy – kwitnący i *nowoczesny* sektor wiodący, jego pomocników w sektorze niepewnym, sektor nieformalny i sektor nielegalny – taka hierarchia tych podsystemów występuje w przemyśle, rolnictwie, handlu i wszelkich innych dziedzinach działalności gospodarczej. Nie możemy wpatrywać się jak zahipnotyzowani w sukcesy Billa Gatesa czy General Motors i nie dostrzegać rozkładu systemu zatrudnienia przytłaczającej większości ludzkości. W tym znaczeniu należy dążyć do zrównoważenia chaosu, jaki stwarza miażdżąca dominacja wielkich przedsiębiorstw, powszechne osłabienie państwa i występowanie w dalszym ciągu społeczeństwa obywatelskiego w roli trzeciorzędnego współnika w tym procesie, poprzez systematyczne działania na rzecz organizacyjnego zagęszczenia społeczeństwa. Warto, abyśmy postrzegali nasze społeczeństwo jako społeczeństwo przejściowe – mechanizmy rynkowe przestały już działać w niektórych sektorach, ustępując miejsca zintegrowanym procesom *managed market* – jeśli nie zwykłej monopolizacji rynków i ich zorganizowanej manipulacji – podczas gdy społeczne narzędzia zarządzania są jeszcze w załączku.

Od fabryki do produkcji towarów nieuchwytnych

Rewolucja technologiczna stworzyła możliwości zarządzania na odległość i gigantyczne systemy integracji tysięcy jednostek produkcyjnych. Działalność produkcyjna nadal jest ważna, ale władza nad systemami produkcyjnymi przesunęła się ku zintegrowanym formom

organizacji finansowania, dystrybucji, reklamy, zorganizowanej presji politycznej, służbom adwokackim i innym elementom składających się na ogół „towarów nieuchwytnych”, które dziś stanowią wielkość rzędu 75 proc. ceny produktu. Władza ta przesunęła się w szczególności ku obszarowi ponadnarodowego i nawiguje pośród segmentacji polityk narodowych, kształtując za pośrednictwem gigantycznych kampanii ludowy światopogląd oraz wizerunek przedsiębiorstwa, produktu, grupy gospodarczej. Potężne przedsiębiorstwo często nie dziś nie wytwarza, natomiast kontroluje, reglamentuje i tworzy punkty poboru rozmaitych trybutów, co przysparza jej ogromnej władzy w dziedzinie pośrednictwa. Ma to dobre i złe strony, ale przede wszystkim zmienia parametry przeobrażeń społecznych. W szczególności chodzi o to, że wielkie przedsiębiorstwo nie sprawuje swojej rozległej władzy w konkretnej przestrzeni fabryki i dzielnicy, w której mieszkają jego pracownicy – a więc w tradycyjnym systemie, który stworzył dużą część naszej tkanki miejskiej. Dziś wielkie przedsiębiorstwo to nazwa powtarzana bez końca we wszystkich środkach masowego przekazu, ale jego konkretne istnienie dostrzegamy jedynie na półkach w supermarkecie. W językach romańskich spółki akcyjne nazywa się spółkami anonimowymi – przedsiębiorstwo, o którym mowa, stało się dosłownie anonimowe. Władza polegająca na kontroli nieuchwytniej działalności gospodarczej prowadzi do zawłaszczania na jakościowo nowym poziomie wartości produkowanych przez społeczeństwo. W pierwszym półroczu 1998 r. Peugeot osiągnął zyski w wysokości 330 milionów dolarów, co 140 tysięcy pracowników wytwarzających konkretne dobra uczciło jako wielki wyczyn. W pierwszym półroczu 1997 r. przy pomocy 350 operatorów spekulacji dewizowych City Bank osiągnął zyski w wysokości 552 milionów dolarów.

Tradycyjny przedsiębiorca, który dokonuje innowacji w procesach produkcyjnych i ciągle jeszcze wierzy w schumpeterowską twórczą destrukcję, widząc, dokąd odpływają zyski, czuje się coraz bardziej wystrychnięty na dudka. Należy być świadomym perwersyjnej formy, w jakiej światowy wzrost zysków łączy się z obniżką stóp inwestycji. W *Raporcie UNCTAD o handlu światowym* z 1997 r. czytamy: „Prawdziwym powodem do niepokoju jest związek między wzrostem zysków i stagnacją inwestycji, między wzrostem bezrobocia i spadkiem płac”.

Od produkcji fabrycznej do służb społecznych

Dziedziną o wielkim potencjale organizacji społeczeństwa obywatelskiego są służby społeczne. Niektóre najbardziej oczywiste zmiany polegają na tym, że do sferze działania tych służb lokują się wielkie osie działalności gospodarczej. Wielu szokuje to, że dziś największą branżą w gospodarce amerykańskiej nie jest przemysł samochodowy czy kompleks wojskowy, lecz służba zdrowia, na którą przypada 14 proc. amerykańskiego PKB – dużo więcej niż wynosi PKB Brazylii. Innym gigantem, który prześcignął wielkie branże przemysłowe, jest to, co Amerykanie nazywają przemysłem rozrywkowym. Tymczasem mówiąc o modelach zarządzania ciągle mówimy o tayloryzmie, fordyzmie i toyotyzmie. W centrum wszystkich naszych wyobrażeń o organizacji gospodarczej pozostaje przemysł samochodowy. Jak produkuje się *just in time* – „dokładnie na czas” – w szpitalu, w szkole? Nowe wielkie branże oscylują między biurokratyzmem państwowym a niesłychanymi nadużyciami, jakich dopuszcza się zagarniający służby społeczne sektor prywatny. Tysiące młodych ludzi z głębokimi bliznami po pobranych nerkach w Indiach czy 52 proc. porodów z cesarskim cięciem w stanie São Paulo to zjawiska, które uświadamiają nam, z jaką ochotą przedsiębiorstwa uganiają się za swoim głównym celem – zyskiem. Jaką *swobodę wyboru* ma obywatel, gdy lekarz zaleca mu, aby jego dziecko operował ktoś, do kogo lekarz ten ma zaufanie, bo tak będzie bezpiecznie? Co to za *rynek*? Mające dziś największe znaczenie dziedziny naszego rozwoju to gałęzie, do których nie stosuje się ani paradygmat państwowo-

biurokratyczny, ani paradygmat organizacji fabrycznej. Z analizy organizacji społeczeństwa obywatelskiego w Stanach Zjednoczonych wynika, że około 50 proc. jego działalności skupia się na sprawach zdrowotności. 200 miliardów dolarów, jakie rząd amerykański wydatkuje na sektor służb, to nie środki pomocowe – organizacje pozarządowe i pozaprzedsiębiorcze uzyskują je po prostu dlatego, że są efektywniejsze i wygrywają przetargi. Nowy twór, jakim są *przedsiębiorstwa społeczne*, najlepiej zbadano we Włoszech, ale wszędzie robią one postępy. Któż śmie twierdzić, że organizowanie się po to, aby być kreatywnym, jest możliwe jedynie w ramach wolnej amerykanki kapitalistycznej? Rzeczywistość jest taka, że najważniejsza działalność ludzka przesuwana się tam, gdzie źle działa makrobiurokracja państwowa i makro władza przedsiębiorcza – tam, wokół nowych wielkich gałęzi gospodarki, tworzy się niezwykle rozległa sfera włoskowatej organizacji społeczeństwa.

Od przemysłu do gospodarki poznawczej

Wszyscy mniemają, że wydajność pracy wynika z konkurencji. Różne media nieustannie wbijają to nam do głowy. Oczywiście, panuje konkurencja, ale w coraz mniejszym stopniu za pośrednictwem mechanizmów rynkowych. Mordercza konkurencja wcale nie oznacza, że korporacje kierują się prawami rynku ani że szukają korzyści lepiej obsługując konsumenta. Zdolność rynków do zaprowadzania ładu w działalności gospodarczej szybko maleje, bo w różnych sektorach gospodarki typowa jest sytuacja, w której panuje pół tuzina gigantów zarządzających systemem za pośrednictwem porozumień strategicznych. „Niewidzialna ręka” rozluźnia również uścisk w miarę tego, jak trzon władzy gospodarczej przenosi się z produkcji materialnej w sferę kapitału nieuchwytnego (rachunkowość, marketing, usługi adwokacie...), a treść produkcji przenosi się w sferę usług społecznych. Okazuje się, że w miarę rozwoju w kierunku czegoś, co nazwano społeczeństwem informatycznym, wspólnym mianownikiem tej zmiany jest szybki wzrost treści poznawczej wszystkiego, co robimy. Znaczy to, że musimy sprostać instytucjonalnym implikacjom gospodarki poznawczej.

Po to, aby rzeczy miały wartość ekonomiczną, muszą być użyteczne dla ludzi. Jednak dla korporacji, która chce zarabiać pieniądze, rzeczy muszą być również rzadkie. Powietrze jest użyteczne, ale jest go pełno, więc nie ma wartości ekonomicznej. Plaż jest pełna, toteż nie mają wartości ekonomicznej, chyba że uda nam się zamknąć plażę, tak, że dostęp do przyjemności, jaką jest korzystanie z plaży, stanie się dobrem rzadkim i będziemy mogli skłonić ludzi, aby za nią płacili. Z pewnością wiedza jest użyteczna. Różnica między dobrami przemysłowymi a wiedzą polega na tym, że musimy sprawić, aby dobra uważano za naszą własność i żebyśmy mogli je sprzedawać, otrzymując w zamian pieniądze, które pozwalają nabywać inne produkty.

Jak to w swojej *Zmianie władzy* wykazał Alvin Toffler, kluczowy problem polega na tym, że wiedza jest inna: jeśli rozdamy dobra przemysłowe, to się ich pozbędziemy, natomiast jeśli podzielimy się wiedzą, to nadal będziemy ją mieli. Gdy dzielimy się wiedzą, suma wiedzy w społeczeństwie rośnie.

Z drugiej strony, po to, aby wiedza była opłacalna, musimy sprawić, aby była rzadka. Dlatego paradygmat własności prywatnej/konkurencji, który rządził światem produkcji materialnej, w gospodarce poznawczej staje się rzadkim czynnikiem. Działa paradygmat współpracy – po prostu dlatego, że wiedzę czyni dostępną. Własność prywatna i konkurencja, trzymane pod kluczem sekrety, które ongiś były czynnikiem postępu produkcyjnego, stały się czynnikiem zacofania, podobnie jak w innych czasach własność feudalna stała się ograniczeniem dla wzrostu rynków.

Bardzo interesujący przykład – to jeden z głównych tematów przewodnich w *Business Week*: jak to się dzieje, że Linux, rozwijany i nieustannie ulepszany przez tysiące ochotników,

dostarcza lepszy produkt niż Microsoft, mimo masy pieniędzy, którą mu przekazujemy, najlepszych architektów informatycznych, armii adwokatów i atmosfery tajemnicy – strażników i patentów? Po prostu dlatego, że wiedza to coś, do czego wszyscy możemy się przyczynić. Prawdopodobnie szczytem perwersji jest to, że robimy to za darmo, a nawet z przyjemnością. Nie dziw więc, że w Światowej Organizacji Handlu wielkie korporacje toczą gigantyczną batalię o zapewnienie im własności intelektualnej praktycznie wszystkiego, co pachnie kreatywnością lub przypomina pomysł. Opatentowane prawo do „jednego kliku”, zagwarantowane dla Amazon, to ogromny pomnik na cześć absurdu zastosowania regulacji z epoki przemysłowej do gospodarki poznawczej. W 1989 r. Genentech opatentował technologię podstawową konieczną do sztucznej syntezy przeciwciał. Wykorzystując drobne zmiany, uzyskał przedłużenie terminu wygaśnięcia patentu do 2018 r., co oznacza, że usiadł na tym obszarze technologicznym na 29 lat czekając na należności licencyjne od każdego, kto w tej dziedzinie zechce zająć się badaniami rozwojowymi. Nazwalismy to gospodarką bramkową.

Od przestrzeni globalnej do przestrzeni lokalnych

Służby te mają z kolei swoją uprzywilejowaną sferę działania, którą jest przestrzeń lokalna. Tak więc, o ile, ogólnie rzecz biorąc, równowaga, jaką należy stworzyć między rynkiem, państwem i społeczeństwem obywatelskim, wymaga umocnienia osłabionych biegunów w postaci państwa i społeczeństwa obywatelskiego, o tyle wielkiego znaczenia nabiera gmina, władza lokalna – poziom, na jakim najłatwiej jest tworzyć powiązania administracji publicznej z organizacjami społeczeństwa obywatelskiego. Politykę zdrowotną, oświatową, sportową, kulturalną itd. można na poziomie lokalnym powiązać w dynamiki synergiczne dotyczące jakości życia obywatela. Na tym również poziomie można skrzyżować spis bezrobotnych z badaniami niedostatecznie wykorzystanych zasobów celem stworzenia polityki zatrudnienia. Różni aktorzy społeczni najlepiej znają się na poziomie lokalnym i na tym też poziomie stosunki partnerskie dają się zorganizować w możliwie najelastyczniejszy sposób. Nie rozwinie my tej kwestii, ponieważ zajmujemy się nią w innych pracach. Ważne jest, abyśmy sobie uświadomili, że chodzi o dynamikę, która zdała już egzamin w wielu krajach, a w szczególności w grupie krajów skandynawskich, w Kanadzie, Holandii i gdzie indziej, ale również w takich o wiele uboższych regionach, jak stan Kerali w Indiach, w którym to stanie nastąpiła wyraźna ewolucja od scentralizowanej demokracji przedstawicielskiej do dużo bliższej obywatela demokracji partycypacyjnej. Podkreślimy, że w krajach rozwiniętych administracje lokalne zarządzają 40-60 proc. zasobów publicznych, podczas gdy w krajach słabo rozwiniętych odsetek ten wynosi normalnie poniżej 10 proc. W Szwecji wynosi 72 proc., a w Brazylii prawdopodobnie 17 proc. Chodzi o to, aby państwo zniżyło się do poziomu, na którym powiązanie z potrzebami społecznymi i organizacjami społeczeństwa obywatelskiego może być najsilniejsze. Nie chodzi o cudowne wizje. Polityka brazylijska jest taka, jaka jest i decentralizacja zasobów może w dużym stopniu oznaczać po prostu umocnienie władzy kacyków. Ogólnie jednak rzecz biorąc, wielkim przedsiębiorstwom jest dużo łatwiej przywłaszczyć sobie kilkadziesiąt miliardów dolarów za pośrednictwem ministerialnych *lobbies* w Brazylii niż sprostać presji społecznej na rzecz konkretnych dokonań w ponad pięciu tysiącach gmin w całym kraju.

Władza przedsiębiorcy i władza obywatela

Budowę bardziej demokratycznych i zrównoważonych stosunków społecznych i pohamowania władzy przedsiębiorców postrzegano zawsze od strony demokratyzacji kontroli nad przedsiębiorstwami – od zwykłego uspołecznienia środków produkcji po pomysły

tworzenia przeciwwagi związkowej w jednostkach produkcyjnych. Pierwsze z tych rozwiązań ma oczywiste ograniczenia, a drugie nadal pozostaje bardzo ważnym celem. Rodzi się jednak alternatywa w postaci obywatela głosującego – że się tak wyrażę – kieszenia, to znaczy odmawiającego nabywania produktów, które są szkodliwe dla środowiska, przy których wytwarzaniu wykorzystuje się pracę dzieci itd., a więc karzącego przedsiębiorstwa za nieakceptowane zachowania społeczne. Innymi słowy wpływ na procesy produkcyjne można wywierać w rozmaitych fazach cyklu i w bardziej złożony sposób, aniżeli wynikało to z uproszczonego postrzegania przeobrażeń stosunków własności. Bardzo wymowne jest pod tym względem załamanie się sprzedaży Shella w Niemczech po ujawnieniu jego negatywnego zachowania w stosunku do środowiska naturalnego. Na szczycie na temat Partnerstwa na rzecz Rozwoju, zorganizowanym w Lyonie w 1998 r. przez Narody Zjednoczone, przedstawiano przez kilka dni z rzędu alternatywy, jakie wybiera wiele krajów, regionów i społeczności celem odzyskania kontroli społecznej nad oszczędnościami i zapobieżenia zawładnięciu nimi przez zglobalizowany system finansowy. Szybko rozwijają się lokalne systemy komunikacji społecznej, które stają się przeciwwagą wobec narzuconego przez monopole medialne światowego wyjałowienia, i nowe środki lokalnej integracji kulturalnej. Po raz kolejny wynika z tego jednak oczywista konieczność demokratyzacji środków informacji na szerszym poziomie – tak, aby ludność miała również dostęp do informacji o zachowaniach przedsiębiorców.

Nowy wymiar czasu społecznego

Wreszcie sprawa, której postawienie wydaje się nam konieczne – dramatyczne przyspieszenie przeobrażeń na kuli ziemskiej zmusza nas do ponownego przemyślenia pojęcia czasu. Uważamy za obiecującą ewolucję niektórych przedsiębiorstw ku wysokiej jakości zarządzania, zmniejszaniu rozpiętości wachlarza hierarchicznego, większej demokracji wewnętrznej itd. Co począć jednak z przepaścią, jaka dzieli je od reszty społeczeństwa, które ewoluuje w innym tempie? Tego rodzaju przedsiębiorstwa zatrudniają co najwyżej 5 proc. ogółu światowej siły roboczej – nieco ponad 1 proc. w krajach Trzeciego Świata. Połowa ludzkości gotuje jeszcze na drewnie. Co dwie trzecie ludzkości, wykluczone z nowoczesności, robi na planecie, która coraz bardziej się kurczy? Problem, który chcemy tu postawić, jest następujący: nie wystarczy mniemać, że *być może* nowoczesny czubek procesu przeobrazi stopniowo całokształt procesów społecznych – bo piętrzą się nierównowagi społeczne i ekologiczne, a czas, jaki mamy na przywrócenie pewnych równowag strukturalnych, jest ograniczony. *Asynchronie* lub *dysrytmie* procesów zmian są tak głębokie i w tak różnym tempie ogarniają czas technologiczny, czas kulturalny, czas instytucjonalny i czas prawny – to tylko niektóre podstawowe wymiary czasu – że coraz bardziej namacalna staje się groźba katastrofalnych dezintegracji po linii tego, co nazwano *slow motion catastrophe*.

Oto garść przykładów tego napięcia, które występuje na różnych poziomach: w São Paulo z jednej strony wzrasta liczba przedsiębiorstw, które w obecnej dobie przyznawania medali technologicznych mogą pochwalić się certyfikatami ISO-9000, ISO-14000 i innymi dyplomami nowoczesności, z drugiej zaś mamy w tym mieście codziennie 30 zabójstw i 420 kradzieży samochodów, co świadczy o szybkim wzroście gospodarki nielegalnej – już nie stanowiącej sporadycznego przejawu marginesu społecznego, lecz sektor gospodarki i systemowy proces oddolnej dezintegracji społecznej. Całą naszą uwagę i prawie całą uwagę publikacji naukowych skupiają na sobie bieżące tendencje *nowoczesności*. Jesteśmy niewątpliwie zachwyceni tym, że drobne przedsiębiorstwa robią dobre interesy. Tymczasem, jeśli czas reintegracji społeczeństwa wokół nowych dziedzin działalności nie będzie nadążał

za tempem dezintegracji oddolnej, rezultatem będzie barbarzyństwo. Na solidną reintegrację i zrównoważenie społeczeństwa zostaje nam coraz mniej czasu.

Ogniskowa działania: włączenie wykluczonych

Wielu uważa tragedie, jakie przeżywamy, za naturalne trudności towarzyszące narodzinom nowego świata. Wszyscy jesteśmy zapatrzeni w widnokrąg, zza którego wyłaniają się fantastyczne technologie. Dość łatwo jest rzutować w przyszłość złoty świat, jaki przygotowują te technologie. Wiemy już, że gospodarka oparta na wiedzy jest zasadniczo odmienna od społeczeństwa opartego na kontroli bogactwa materialnego - przekazywanie innej osobie wiedzy jest *dzieleniem się* nią, podczas gdy dobra materialne należą do tej *albo* innej osoby. W tym znaczeniu powstaje możliwość budowy demokratycznego, strukturalnie bardziej egalitarnego społeczeństwa. W *Inteligencji zbiorowej* Pierre Lévy wykazuje, jak nowa wiązalność pozioma, na którą pozwalają nowe systemy komunikacji i informacji, stwarza przestrzeń dla innowacyjnej reintegracji społecznej.

Możemy, innymi słowy, analizować rozmaite przejawy nowych tendencji – Jeremy Rifkin wskazuje na koniec pracy, Manuel Castells na społeczeństwo sieciowe, Domenico De Masi na społeczeństwo czynnego wypoczynku, a niezliczona ilość optymistycznych autorów maluje rozmaite nirwany przyszłości, w których będziemy oddawać się rozrywce i rozkoszy, podczas gdy pracować będą za nas roboty; inni, bardziej pesymistyczni autorzy ukazują nam pożeranie istoty ludzkiej przez *Big Brother*a, a między jednymi i drugimi autorami plasują się wszelkie możliwe odcienie pośrednie. Studia te są ważne, ponieważ wskazują kierunki, makrotendencje. Nam jednak najważniejsze wydaje się zrozumienie bieżących procesów, w których możemy interweniować.

Tym, z czym na bieżąco mamy do czynienia, jest chaotyczna faza przejściowa, która właśnie się zaczyna. Jeśli przyjrzymy się dokładnie rewolucji przemysłowej, to okaże się, że towarzyszyły jej deruralizacja społeczeństwa, powstawanie gett miejskich, gigantyczne migracje ku Nowemu Światu, ogromna nędza, praca dzieci i wiele innych zapomnianych dziś zjawisk, które w XIX i w pierwszej połowie XX wieku powodowały głębokie urazy. Z tych dramatów społecznych, po których pozostało dziedzictwo zimnej wojny i klimatu konfliktu planetarnego, wzięła się siła komunizmu i radykalna ekspropriacja kapitalistów.

Daltego problemem nie są fantastyczne horyzonty, jakie zakreślają nam nowe technologie. Produkowanie więcej przy mniejszym wysiłku nie powinno nas martwić – zagrożenie stanowi substytucja pracownika bez odpowiednich postępów organizacji pracy. Jak rozdzielić pracę, jak zmniejszyć szerzącą się trwogę? Jak do procesu przeobrażeń włączyć trzy czwarte ludzkości, które stanowią wykluczeni?

Czy uczynią to siły rynkowe? Byłoby to optymalne. W rzeczywistości zamiast dyskutować, czy teorie liberalne lub neoliberalne przynoszą odpowiedzi na te pytania, lepiej zaproponować alternatywę praktyczną – jeśli rynek nie rozwiązuje tych problemów, sprostajmy w sposób zorganizowany, społeczność za społecznością, region za regionem, problemowi milionów głodnych i nie uczęszczających do szkoły dzieci, stwórzmy programy dochodu minimalnego, wciągnijmy populację do procesów podejmowania decyzji w sprawie zasobów publicznych, kontrolujmy handel bronią, zapobiegajmy niszczeniu środowiska, ustanawiajmy kontrolę ludności nad jej własnymi oszczędnościami, głosujmy kieszenie za społecznie i ekologicznie odpowiedzialnymi przedsiębiorstwami, wybierajmy uczciwych polityków, dynamizujmy lokalne i komunalne systemy komunikacji, promujmy poczucie odpowiedzialności.

Przechodzeniu do społeczeństwa przemysłowego towarzyszyły ogromne tragedie. Trzęsienie ziemi na wielką skalę, które przygotowuje nadejście społeczeństwa wiedzy, może przeobrazić się w proces wyzwolenczy lub zaprowadzić powszechny terror. Cristovam

Buarque ma rację, gdy zwraca uwagę na to, że ogół naszego społeczeństwa zaczyna być znużony polaryzacją dochodu, przemocą i korupcją i że zniesienie nędzy, do czego mamy środki techniczne i ekonomiczne, jest dziś równie palącą sprawą, jaką pod koniec XIX wieku było zniesienie niewolnictwa. Nie możemy tworzyć dalej przywilejów i zamykać oczu na ich skutki. W gospodarce, podobnie jak w polityce, przy pomocy gry pozorów nic nie można zdziałać.

Wróćmy do punktu wyjścia. Istotne wydaje nam się takie podejście, które polega na uznaniu, że gramy w nową grę, ale zgodnie ze starymi regułami. Należy przebudować pojęcia. Pośród kart potrzebnych do nowej gry niektóre uważamy za uprzywilejowane. Jest to wizja, która przewyższa dualne podejście etatyzacja/prywatyzacja i skupia się na zrównoważonym powiązaniu państwa, przedsiębiorstwa i społeczeństwa obywatelskiego. Zmierza ona do przewyższenia liberalnego punktu widzenia, zgodnie z którym priorytet przyznaje się gospodarce, a zysk bogatych ma rzekomo za sprawą magicznego *trickling down* przynieść całemu społeczeństwu korzyści społeczne i ekologiczne – to sam proces reprodukcji społecznej musi być permanentnym wiązaniem celów gospodarczych, społecznych i ekologicznych. Przyjęcie takiego podejścia, stawiającego na społeczeństwo zorganizowane, jest szczególnie pilną sprawą w obliczu kapitalizmu wielkich koncernów o zasięgu globalnym, które w tej mierze, w jakiej nie ukształtowały się jeszcze kontrole globalne, wymykają się dziś wszelkiej kontroli narodowej i osłabiają narzędzia polityki gospodarczej państwa. Ten *kapitalizm totalny* sprawuje dziś olbrzymią władzę w sferze politycznej i kontroluje media, co pozwala mu permanentnie rozpowszechniać pozytywny wizerunek samego siebie i ukrywać piętrzące się dramaty. Ponieważ globalny system finansowy też wymknął się w wielkiej mierze spod kontroli narodowych, powstaje niezwykle głęboka nierównowaga między państwem, rynkiem i społeczeństwem obywatelskim. W centrum staje więc problem odzyskania przez państwo funkcji regulacyjnej i umocnienia organizacji społeczeństwa obywatelskiego.

Nie wystarczy sama nadzieja, że sprawy w „naturalny” sposób odnajdą swoją logikę. Fala kapitalistyczna wynosi wielkie jachty – nie wynosi wszystkich statków. We wszystkich sprawozdaniach międzynarodowych – zarówno w poszczególnych krajach, jak i w sferze międzynarodowej – polaryzacja gospodarcza na bogatych i biednych jest postrzegana jako rzucająca się w oczy tendencja; dziś ogarnia ona ze szczególną siłą same Stany Zjednoczone. W najnowocześniejszym sektorze gospodarki. Zdolność tworzenia miejsc pracy szybko ulega zmianie. Skupianie koncepcji rozwoju na „przyciąganiu” inwestycji, polegającym na tym, że w zamian za kilkaset miejsc pracy każdy kraj czy region rywalizuje z pozostałymi o to, kto bardziej się ugnie, kto zapewni najbardziej atrakcyjne warunki, a więc na tym, co Narody Zjednoczone nazywają dziś *race to the bottom*, „wyścigiem na dno”, nic nie rozwiązuje. W rzeczywistości sprawdza się coś wręcz przeciwnego – promocja równowag wewnętrznych, dynamizacja zatrudnienia w związku z podstawowymi potrzebami ochrony zdrowia, dążenie do zapewnienia wszystkim dachu nad głową, wyżywienia itd., rozdziału ziemi uprawnej, bardziej demokratycznego dostępu do dochodu, a także do takich stosunków zagranicznych, które byłyby postrzegane jako ważna, lecz komplementarna dynamika w stosunku do dynamiki wewnętrznej. Z półwiekowym opóźnieniem w stosunku do krajów rozwiniętych wypada nam dziś skupić się na polityce przywracania równowagi społecznej i kształtowaniu na nowo stosunków z gospodarką globalną.

Ukształtowanie się megawładzy 500 czy 600 korporacji ponadnarodowych spowodowało dyslokację przestrzeni politycznych. Nawet samych przedsiębiorców, zwłaszcza należących do sfery małych i średnich przedsiębiorstw, którzy nie dysponują skalą pozwalającą kontrolować segmenty sfery politycznej i nie uczestniczą w globalnym kasynie, ogarnia coraz większy popłoch na widok systemu, w którym dobra produkcja nie zapewnia żadnych

korzyści w porównaniu ze spekulacją finansową, manipulacją państwem czy ściąganiem trybutów handlowych z najrozmaitszych dziedzin działalności gospodarczej.

Z drugiej strony powszechna, postępująca na całej kuli ziemskiej – a w szczególności w ostatnich dziesięcioleciach w Brazylii – urbanizacja stwarza na gruncie przestrzeni miejskiej nowe perspektywy odbudowy powiązań między państwem a społeczeństwem obywatelskim, mającej za punkt wyjścia miasto, co pozwala odnaleźć kotwicę gospodarczą i społeczną – tym bardziej nieodzowną, im bardziej postępuje globalizacja – ale jej odnalezienia nie gwarantuje.

Wśród wielu innych wielkim dylematem pozostaje ta dziwna struktura, którą nazywamy klasą rządzącą. Jej przystosowanie ideologiczne do doby globalizacji jest stosunkowo proste w tej mierze, w jakiej zawsze była to klasa dążąca do maksymalizacji swoich własnych interesów, a zarazem zapewniająca pośrednictwo interesom zewnętrznym – czy to kolonialnym, czy angielskim, a następnie amerykańskim, czy wreszcie, w dobie globalizacji, wielonarodowym. Byliśmy ostatnim krajem, w którym obalono niewolnictwo i jesteśmy dziś pierwszym pod względem niesprawiedliwego podziału dochodu.

W jednym ze swoich najnowszych tekstów, stanowiących fragmenty *Ludu brazylijskiego*, Darcy Ribeiro napisał coś bardzo znamiennego: „W ciągu minionych pięciu stuleci nic nie zachowało większej ciągłości i nie jest równie permanentne jak ta egzogenna i niewierna wobec swojego narodu klasa rządząca... W ciągu wieków wszystko przeobrażało się nieustannie. Tylko ona – klasa rządząca – pozostała taka sama sprawując swoją nigdy nie kończącą się hegemonię... Tu nie udał się jej nawet pomniejszy wyczyn, polegający na zapewnieniu rozkwitu, który można by rozciągnąć na masy pracujące, co w takich samych ustrojach udało się gdzie indziej. Jeszcze mniej sukcesów miała ona w swoich wysiłkach zmierzających do włączenia się w cywilizację przemysłową. Dziś jej zamiarem jest zepchniecie nas na margines wyłaniającej się cywilizacji.”

Przypisywanie jej tak perwersyjnych zamiarów jest może przesadne. Jak mówi przysłowie, zanim wyobrazimy sobie perwersję, należy wyczerpać niezmiernie możliwości zwykłej głupoty. Rzeczywistość jest jednak taka, że w obliczu ogromnych postępów technologii i rozmachu zmian we wszystkich dziedzinach nasze zasilane z funduszy publicznych i dyktujące surrealistyczne procenty banki, nasi właściciele cukrowni i fabrykanci, którzy koncentrują się najbardziej na tym, co uważają za politykę – na pogoni za dotacjami przy użyciu nieuczciwych metod wywierania nacisku – i unieruchamiają ziemię, której sami nie uprawiają ani nie pozwalają uprawiać innym, nasze firmy budowlane, które ciągle odzyskują równowagę przy poparciu skorumpowanych polityków zapewniających im zamówienia publiczne, nasze rodziny kontrolujące media, które dochowują wierności krwiożerczym tradycjom imperium prasowego Chateaubrianda i parcelują przestrzeń informacyjną, aby zachować na zawsze swoje lenna polityczne i gospodarcze, jak również same nasze klanowe formy uprawiania polityki, stanowią dziś średniowieczną, kiepsko kamuflowaną telefonami komórkowymi, komputerami i luksusowymi samochodami nadbudowę. Kapitalizm brazylijski ma teraz na swoim koncie niesamowity wyczyn – w ogóle się nie zmienił.

Łatwo skończyć analizę sytuacji na krytyce klasy panującej i wskazać na nią jako na winną. Prawda jest taka, że światopogląd konserwatywny się załamał. Jak już była o tym mowa, rynek i globalizacja nie zapewniają ani przestrzeni realizacji indywidualnej, ani kontekstu społecznego, który stwarza rodzinie warunki żywotności – nie mówiąc już o likwidacji suwerenności narodowej i innych wartości tradycyjnych. Innymi słowy, liberalna koncepcja gospodarki nie daje się już pogodzić z wartościami, które były z nią związane. Nie zaskakuje już widok nurtów tradycyjnych, które jednego dnia piętnują dziki kapitalizm, a następnego upominają się o Pinocheta. Koncepcja konserwatywna stała się wewnętrznie sprzeczna, a jej busola kręci się w kółko.

Natomiast koncepcja postępową, przez długi czas zagipsowana w etatystycznej koncepcji społeczeństwa, otwiera przed całym społeczeństwem odnowione przestrzenie. Pojęcie demokracji partycypacyjnej, zakotwiczonej w zdecentralizowanych systemach zarządzania w sferze społecznej, toruje drogę politycznie spójnemu systemowi, ponieważ opiera się na zrównoważonym powiązaniu realnie istniejących sił społecznych. Koncepcja partnerskich stosunków między administracją publiczną, sektorem prywatnym i społeczeństwem obywatelskim stanowi postęp i w licznych krajach dowodzi swojej skuteczności, podczas gdy w Brazylii poczyniła zaledwie postępy na lokalnym poziomie zarządzania. Dążenie do demokratyzacji mediów i do społeczeństwa przejrzystego w dziedzinie wykorzystania zasobów państwa lub przedsiębiorczości jest wsparciem dla społeczeństwa obywatelskiego. Nie zaskakuje to, że konkretne alternatywy rodzą się przeważnie na gruncie władzy lokalnej – jest to przestrzeń, na której instancje polityczna, gospodarcza, społeczna i kulturalna mogą ulec powiązaniu i stworzyć całość, która będzie miała ręce i nogi. Nie oznacza to społeczeństwa, którego logika sprowadza się do poziomu lokalnego. Oznacza, że społeczeństwo powiązane u podstaw w sposób demokratyczny może wywrzeć większy wpływ na racjonalizację całości.

Często zajmujemy postawy bardziej pod kątem świata ideologicznego, do którego należą, niż pod kątem ich użyteczności społecznej. Uważam, że dramaty społeczne, polityczne, gospodarcze i ekologiczne mają taki rozmach, iż dyskusje na tym poziomie stają się zbędne. Nie powinniśmy skupiać uwagi na odcieniu ideologicznym każdego pomysłu, lecz na tym, czy nowe powiązania, które zarysowują się stopniowo, torują nowe drogi, jakich nam potrzeba.

CZĘŚĆ III – MOZAIKA ZREKONSTRUOWANA

Wyspecjalizowana umiejętność i sukces - to wszystko, co potrafią sobie wyobrazić.

Allan Bloom

The Closing of the American Mind

Komentarze koleżanek i kolegów do napisanego do tej pory tekstu wyglądają następująco: pierwsza, bardziej beletrystyczna część budzi żywe zainteresowanie, przy lekturze części naukowej chce się ziewać, a lektura komentarzy etycznych wywołuje wesołość – uwagi w rodzaju: „oto drobne lekcje tego, czego życie nas uczy”. W rzeczywistości wszyscy staramy się żyć, pasjonujemy się swoimi namiętnościami, wyciągamy drobne wnioski i tak oto składamy stopniowo mozaikę swoich wartości. W poczuciu powinności, powodowani potrzebą zrozumienia świata, ale i powodowani trwogą, że w przeciwnym razie nie zostaniemy zrozumiani, tworzymy zarysy konstrukcji naukowych. Najużyteczniejsze nie zawsze jest najprzyjemniejsze.

Jednak bez względu na swoją wagę systematyzacja naukowa nie wystarcza. Można postawić szerszy problem pytając, jak rekonstruuje się jedność mozaiki. Czy to naturalne, że nasze życie składa się z rozbitych segmentów pieszcoty, pośpiechu ruchu ulicznego, rywalizacji zawodowej, której uczestnicy warczą na siebie jak wściekle psy?

Możemy postąpić na odwrót i postawić prostsze pytanie: co jest ważne i w zależności od odpowiedzi na nie przemysleć miłość, przyjaźń, stosunki towarzyskie, pracę, twórczość, a także – dlaczegoż by nie? – gospodarkę.

To, co zapewnia jedność odbudowanej mozaiki, całej figury, to niewątpliwie miłość, przyjaźń, niezliczone oblicza uczuciowości, które czynią z nas rodzinę, społeczeństwo, kulturę, a z poprzegradzanego czasu naszego życia codziennego – przestrzeń, w której sztuka i praca, zamiast zajmować oddzielne przegródki – pierwsza przegródkę rozrywki, druga przegródkę poświęcenia – mogą np. znaleźć dla siebie wspólne pole do popisu w pracy twórczej.

Ta wizja może wydawać się marzycielska. Paulo Freire, który w żadnej mierze nie bał się marzeń, mawiał, że dąży do *mniej nikczemnego* społeczeństwa. Osobiście uważam, że gdyby społeczeństwo skupione na bezpardonowej gonitwie za pieniędzmi – społeczeństwo, w którym bogaci nie śpią dlatego, że się boją, a biedni dlatego, że bogaci im na to nie pozwalają, wszyscy zaś lękają się jutra, podczas gdy świat wytwarza bogactwa i panuje nad technikami pozwalającymi wszystkim żyć w spokoju i dostatku – otóż gdyby to społeczeństwo miało odrobinę poczucia przyzwoitości, dałoby temu wyraz przeprowadzając redystrybucję dochodu i uważałoby, że powinno zastanowić się dokąd zmierza. Kombinacja pozbawionej równowagi struktury władzy, zniekształconych i manipulowanych mechanizmów rynkowych, idiotycznej ideologii *sukcesu* i niepoahamowanego, materialistycznego konsumeryzmu prowadzi do impasów w *życiu*, w prozaicznej codzienności, w sferze szczęścia osobistego.

To nie sprawa wizji teoretycznych. Gdy liberalizm szuka czystości swoich zasad i zapomina o ludzkich zasadach, po prostu dochodzi do panowania prawa silniejszego i wszyscy jesteśmy niejako skazani na udział w tej grze. Gdy kończą się zasoby i myśli się jedynie o tym, komu pierwszemu zabrać, staczamy się w barbarzyństwo.

Zinstytucjonalizowana schizofrenia

Powróćmy do Ejlatu w zatoce Akaba na granicy Jordanii i Izraela. Siedemnastoletnia wówczas Paulina pracowała w Maar Ka Shva, czyli u Królowej Saby – w luksusowym hotelu międzynarodowym. Na hotelowym balkonie sprzedawała biżuterię. Listy z Brazylii

przychodziły otwarte. Hotel był jednak pełen ludzi sukcesu, jakich widzimy na wszystkich zdjęciach luksusowych hoteli. Paulina uśmiechała się olśniewająco, ponieważ miała do czynienia z klientami, a nie osobami podobnie jak ona przeżywającymi radości i smutki. Instrukcje były zaś jasne – płaca jest proporcjonalna do sprzedaży, toteż uśmiech musiał być olśniewający. Czasami, na widok olśniewającego i permanentnego uśmiechu prezenterek telewizyjnych – kobiet sukcesu – ogarnia mnie trwoga, że w każdej chwili mogą doznać paraliżu nerwu twarzowego. Czyż nie byłoby rzeczą *ekonomiczną*, gdybyśmy byli osobami, a nie osobistościami?

Oglądałem niedawno reportaż filmowy o Kubie, a konkretnie o ponownym najeździe turystów na ten kraj. Jest to zupełnie inna turystyka – ludzie nie dlatego tam jadą, że basen jest olśniewający, a kelner przywdział typowy strój, ale dlatego, że mogą porozmawiać z odmiennymi, bo kubańskimi, a nie francuskimi czy amerykańskimi osobami – ale takimi, z którymi można porozmawiać jak równy z równym i nawiązać stosunki, których nie zapośrednicza z góry określona funkcja hotelu dla ludzi sukcesu – z jednej strony źródło pieniędzy zwane klientem, a z drugiej odbiorca pieniędzy. Dlaczego wolę, aby kelner, jeśli ma kłopoty, zjawił się ze zmartwioną miną, i abym – czując, że mam przed sobą osobę – mógł go zapytać: *co się dzieje, Manolo?* Jakże to mało profesjonalne – pozwolić, aby po człowieku było widać, że ma kłopoty osobiste... Musimy *rozdzielać* te rzeczy, stwarzać w sobie odrębnych, zdezintegrowanych osobników. Olbrzymi sukces światowy filmu *Buena Vista Social Club* nie polega na tym, że prości ludzie stają się w nim artystami, ale dlatego, że przedstawia artystów pod kątem prawdziwych ludzi.

Wydaje się, że sprawa jest drugorzędna – tak bardzo jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Jaka jest tymczasem cena dezintegracji osoby – jej podziału na wymiar zawodowy i na wymiar osobisty? Ten, kto wymalował się już od góry do dołu na karnawał, wie, że pokryte farbą ciało nie oddycha i się dusi. Tak działa również owa farba formalna, którą pokrywamy się codziennie przed wyjściem z domu, cały ten pomnik sztuczności, który w coraz większym stopniu zniekształca to, czym jesteśmy naprawdę i w końcu – bo taka jest cena - prowadzi nas na kanapę u psychoanalityka, który ma ustalić kim jesteśmy. Nabyte za cenę złota trzy godziny autentyczności w tygodniu?

Przeszłość jest w nas nadal obecna, choć nie zawsze o tym pamiętamy. Gdy spotkałem się z wychodzącą z hotelu Pauliną, wstrząsnął mną ogrom jej uśmiechu – uśmiechu takich samych rozmiarów, jak ogrom nieszczęścia, którego doznała w ciągu owego roku samotności i sztuczności. Olśniewająca szesnastolatka, którą poznałem w Brazylii, uśmiechała się wówczas ze zniewalającą żywiołowością, bez żadnych ukrytych myśli. To był po prostu uśmiech. Teraz miałem przed sobą wielki uśmiech wypełniony morzem smutku. Dziś, po prawie czterdziestu latach, odczuwam okrucieństwo procesu społecznego, który ujarzmił, zredukował, osadził we *właściwych ramach* żywiołowe przeżycia i eksplozję życia.

W pierwszej części tej książki szybko przeszedłem nad tym epizodem do porządku dziennego. W rzeczywistości Paulina szukała u mnie ratunku, którego u siebie samej nie mogła znaleźć. Była jakby osobą załamana, nie potrafiącą odbudować żywiołowości i intensywności tego, cośmy przeżyli ze sobą, nie potrafiącą odbudować naszego związku na podstawie wspomnień, które – coraz bardziej nieożywione – pozostawały jej w ciągu samotnie spędzanych nocy. Byliśmy dwójką samotników, spoglądających na siebie z przepaścią w oczach, bo to nie był związek, który zadowoliliby się pozorami, a żywiołowość wymiółł ogół oczekiwań, które nakładały się na nasz związek.

Po kilku dniach miałem zamiar pojechać do Tel Awiwu i szukać tam czegoś, co pozwoliłoby nam przetrwać. Zawróciłem jednak w połowie drogi i zastałem. Paulinę w stanie śpiączki; nie wytrzymała smutku i usiłowała popełnić samobójstwo. Spędziłem z nią w szpitalu trzy dni, podczas których powoli powracała do życia. Gdy była jeszcze na wpół przytomna, jej pierwsze słowa wypełniała rozpacz – mówiła: nie chcę wracać, nie chcę...

Byliśmy młodymi, a zarazem jakże dorosłymi ludźmi. Co obchodzili nas pełni sukcesu menedżerowie z dyplomatkami i kobiety z wypchanymi silikonem biustami? Jakie znaczenie dla dziewczyny, która boi się powrotu do życia, może mieć sukces? Udało nam się z tego wyjść i odbudować nasze życia. Istota ludzka jest krucha i silna. W kilka lat później to ja przeżyłem, a ona umarła, gdy wpadła w ręce dyktatury. Na obojgu wycisnęły jednak piętno namacalna świadomość absurdu otaczającego nas świata i pragnienie ludzkiej solidarności.

Krytyka modelu cywilizacji, w której żyjemy (proszę wybaczyć to pompatyczne określenie) nie jest łatwa. Gdzieś ulegliśmy rozdarciu, straciliśmy zupełnie poczucie tego, co ważne i co nieważne, uwikłaliśmy się w wojnę, w której stawką jest sukces i własne znaczenie, co zasługuje jedynie na miano bezdennej głupoty. Społecznie bezsilni wobec samych siebie, pokryliśmy naszą tragiczną utratę człowieczeństwa i ogromną samotność, jaka się w nas gromadzi, rozmaitymi lakierami – zewnętrznymi i śmiesznymi symbolami sukcesu.

Problemem gospodarki może być stopa wzrostu PKB, ale problem społeczeństwa polega na tym, że PKB nie wystarcza. Istotnym problemem jest zaś społeczeństwo – to my jesteśmy problemem, a nie gospodarka. Gospodarka powinna stać się ponownie tym, czym jest naprawdę – zaledwie środkiem, a nie celem.

Wielkie korporacje światowe, które nami kierują, są niewątpliwie kompetentne w sprawach technicznych, ale to, co reprezentują pod względem ludzkiej wrażliwości, kulturalnego i politycznego wkładu w życie społeczne, jest tragiczne. Jest tak z jednego, bardzo prostego powodu – każdy menedżer, każdy dyrektor przedsiębiorstwa chce pokazać, że jest efektywniejszy niż inni, a wspólnym mianownikiem są pieniądze. Dyrektor, któremu uda się doprowadzić do sprzedaży tego czy innego lekarstwa po wyższej cenie, bo reklama uczyniła je bardziej atrakcyjnym, będzie brylował na posiedzeniu rady nadzorczej pokazując rosnącą krzywą zysku. Oczywiście, spadkowej krzywej liczby osób, które nie będą miały dostępu do droższego lekarstwa, nie przedstawi, a co więcej nie wywrze ona wpływu na jego sukces. System dokonuje negatywnej selekcji naturalnej.

Techniczna istota ludzka jest oddzielona od etycznej istoty ludzkiej, kształtuje się pod wpływem milionów powtarzających się bodźców i nosi w sobie wiele oddzielnych pomieszczeń. Śpimy z równoległymi do nas i tkwiącymi w nas samych osobnikami, których powinniśmy ignorować, ponieważ pozostają z nami w sprzeczności. W ścisłym znaczeniu tego słowa stajemy się schizofrenikami. Któż nie słyszał oświadczenia wzburzonego producenta broni małokalibrowej służącej do zabijania ludzi i wykonanej tak, aby łatwo dawała się ukryć: „przecież to nie ja naciskam na spust”?

W tym procesie jesteśmy bezsilni. Przerażający był widok przysięgi składanej przed Senatem amerykańskim przez prezesów wielkich korporacji produkujących cygara – z poważną miną i dłonią na Biblii przysięgali, że są osobiście przekonani, iż cygara nie szkodzą. Gunnar Myrdal w pięknej książce jeszcze z lat czterdziestych pt. *Dylemat amerykański*, która przyniosła mu nagrodę Nobla, zadaje sobie pytanie, jak to możliwe, że w świadomości amerykańskiej współistnieją ze sobą w oddzielnych segmentach dwa światy: świat wartości, w którym Amerykanin hołduje wolności, z otwartymi ramionami przyjmuje wyklęte ludy ziemi, stawia na samoafirmację indywidualną, prawa człowieka, oraz świat pozwalający temu samemu Amerykaninowi podpalać w nocy domy ludzi o innym kolorze skóry. Dziś Amerykanie nie podpalają już domów, ale podzielona świadomość istnieje w dalszym ciągu.

Utrata etyki przez nowoczesną korporację i w naszej codziennej walce o przetrwanie jest czymś więcej niż idiotyzmem makroekonomicznym. Oznacza to, że cywilizacja straciła orientację i że my sami wraz z naszymi rodzinami i dziećmi ulegliśmy zepsuciu. W końcu, zamieniając szczęście społeczne na korzyść płynącą z indywidualnego sukcesu w mikrokosmosie korporacyjnym, zdradzamy samych siebie i stajemy się nieszczęśliwi, bo uczucie absurdu, które przeżywamy, jest w nas i toczy nas jak bielinek kapustę.

Życie trzeba w pełni przeżyć. Społeczne wymiary szczęścia indywidualnego mają istotne znaczenie. Czuąc się nieszczęśliwi, rozdarci przez przeciwstawne motywacje, niezdolni do zapewnienia sobie spójnego życia w absurdalnym kontekście, potrafimy przekonać samych siebie, że sami jesteśmy sobie winni. Jeśli nie liczyć zaszczytnych wyjątków, ewentualny psychoanalityk nie będzie kazał się prosić i wyjaśni nam głębokie – oczywiście indywidualne – przyczyny takiego stanu rzeczy. Dokąd bowiem byśmy zaszli, gdybyśmy mówili o przyczynach społecznych?

Tożsamości

Izrael to niewątpliwie efektywna gospodarka. Tonie w morzu nienawiści. Nienawiść to proces społeczny, ale materializuje się w postawach indywidualnych. Ojciec Pauliny wołał, aby raczej umarła niż związała się z nędznym gojem. Mowa jest o ludziach z wyższym wykształceniem, mających pieniądze, władających obcymi językami, wiedzących, w jakim kieliszku pije się wino, a w jakim wodę.

Zdrowy rozsądek dyktuje następującą refleksję. Tragiczne jest prześladowanie Żydów przez Europejczyków, którzy w końcu rozwiązali problem urządzając im inną siedzibę – akurat w przestrzeni geograficznej, która była już zaludniona. Tragiczne jest prześladowanie i wypędzenie Palestyńczyków przez Żydów. Oba ludy mieszkaly tam od tysięcy lat, a jeśli decydować ma to, kto był tam pierwszy, w takim razie powinniśmy wypędzić Amerykanów i Brazylijczyków i oddać ziemie Indianom. To teatr pozorów.

Gdy runęło imperium radzieckie, rosyjski minister spraw zagranicznych powiedział prezydentowi Stanów Zjednoczonych zacierając ręce z uciechy: *zadamy wam straszliwy cios – pozbawimy was wroga*. Nie pozbawili. Kolejni prezydenci amerykańscy wskazali zahipnotyzowanym telewizjom inne zagrożenia i innych szatanów – niezapomnianym szatanem był Husajn ze swoim czarnym wąsem, także Fidel ze swoją brodą, choć jako wróg, który zagraża ludzkości, już nie jest tak bardzo przekonujący; optymalni byli Serbowie, choć trudno było ukryć wzajemność masakr i aktów przemocy. Dla okrutnych masakr w Czeczenii, które dziesięć lat wcześniej wywołałyby światową histerię, bo Czeczenia byłaby wówczas ofiarą Sowietów, nie było nawet miejsca w wiadomościach telewizyjnych, ponieważ sprawcy masakry stali się krajem zaprzyjaźnionym.

Przynależność do grupy, narodu, cywilizacji, religii, rasy czy Bóg wie czego to uczucie, które wspaniale rozkwita, gdy jest biegun przeciwny, negatywne odbicie, nienawistny wizerunek tego, kto *nie należy*. W 1984 Orwella jest to budząca odrazę postać Goldsteina. Jeśli chodzi o religie, to w jednych wierni kiwają się na stojąco, w innych klękają, a w jeszcze innych siadają w kucki, ale wyznawcy każdej z nich uważają, że tylko oni są *wybrani*. Wielu ludzi żałuje, że nie napadli na nas żadni przybysze z kosmosu, bo gdyby tak się stało, musielibyśmy zacząć chodzić po ziemi i przypominać sobie, że jesteśmy po prostu istotami ludzkimi, zagubionymi w przestrzeni na małej niebieskiej kuli.

To naturalne uczucie. Posyłając dziecko do szkoły staramy się, aby było odpowiednio ubrane. Uśmiechamy się widząc, jak chłopiec popada w panikę, gdy bermudy nie są odpowiedniej długości, gdy obuwiem nie jest określony rodzaj tenisówek czy gdy koszula jest zapinana na guziki – albo nie, bo to zależy od szkoły i środowiska. Jest to znamienne zachowanie, ponieważ świadczy o naszej ogromnej potrzebie afirmowania swojej tożsamości i o ogromnym, przeżywanym od dzieciństwa lęku, że okazemy się *odmieńcami*. Pozorna niedbałość, z jaką ubiera się nastolatek, jest dokładnie skonstruowana. Spacerując po uniwersytecie orientuję się, czy dany student jest z wydziału prawa, czy nie, i to nawet wtedy, gdy widzę go z daleka, choć ubiory studentów prawa są pozornie zróżnicowane. Nawet u kobiet *ton* nadawany przez ubiór jest taki sam jak w przypadku munduru wojskowego. Pierwszy nie rzucam kamieniem – wiele z tego, co widzi ekonomista, można by opatentować.

Genialność systemu wielkiej korporacji polega na tym, że wymaga po prostu osób społecznie posłusznych i indywidualnie ambitnych – takich, które nie konstruują swojej osobowości wokół tożsamości, z samej definicji będącej tożsamością z innymi, lecz wokół wyższości. Mój samochód jest większy od twojego, mój dom jest większy od twojego, moja pensja jest wyższa od twojej. Gra tożsamości, współzycia, solidarności zamienia się w walkę zwycięzców i zwyciężonych, która nie zadowala ani jednych, ani drugich.

USA: Pociąg do władzy

Mania polegająca na tym, że jedne narody uważają się wyższe od innych, to prawdziwa plaga. Niemcy chcieli być *über alles* – ponad wszystko. Izraelczycy nadal uważają się za naród wybrany. Amerykanów udało się przekonać, że panowanie nad światem to część ich *manifest destiny* – objawionego przeznaczenia. Historycy daremnie starają się dowieść, że demokratycznie wybrani znów stają się tylko ludźmi. Poza tym wydaje się, że pokusa jest wielka.

Rzeczywistość jest taka, że z punktu widzenia geopolityki, Stany Zjednoczone przekonały się, iż mają przed sobą szczególnie korzystny szmat czasu, jedyną w swoim rodzaju okazję. Po upadku Związku Radzieckiego stały się wreszcie jedynym mocarstwem wojskowym o zasięgu planetarnym. Drugie mocarstwo gospodarcze świata, Niemcy, w wyniku drugiej wojny światowej nie mają wojska. Trzecie mocarstwo gospodarcze, Japonia, też nie ma wojska – z tych samych powodów. Chiny stają się mocarstwem, ale ich baza gospodarcza jeszcze nie wystarcza, aby mogły stanąć do wyścigów. Rosja się organizuje i potrzebuje paru dziesięcioleci.

Europa się zespala i uświadomiła sobie, że należy zdystansować się od Stanów Zjednoczonych. Decyzja o olbrzymich inwestycjach w program Galileo – budowę europejskiego systemu nawigacji satelitarnej – po to, aby zapewnić europejski odpowiednik amerykańskiego GPS, wyraźnie dowodzi, że jedność osiągnięta w czasach zimnej wojny w ramach NATO już nie stanowi zasadniczego odniesienia.

Równie ważne jest to, że po raz pierwszy euro stanowi alternatywę wobec dolara. W wyniku przystąpienia takich państw, jak Polska czy Czechy i inne państwa tego regionu, Unia Europejska stanie się niewątpliwie głównym światowym mocarstwem gospodarczym.

Za parę dziesięcioleci będziemy mieli do czynienia z Chinami wyposażonymi w dalekosiężne wizje i pierwszoplanowe moce, Rosja ponownie stanie się wielkim mocarstwem, a Unia Europejska będzie musiała zapewnić sobie wojskowy wymiar swojej siły gospodarczej. Supremacja amerykańska przypada na rzadką w historii chwilę, w której są warunki do ustanowienia absolutnego panowania i wszystko wskazuje na to, że rząd USA, korzystając z siły grup finansowych, poparcia tradycyjnej prawicy republikańskiej i sieci przedsiębiorstw ponadnarodowych, uważa, iż pora tworzyć imperium.

11 września 2001 r. przebywałem w Gwatemali, gdzie prowadziłem badania dla Narodów Zjednoczonych. Podobnie jak wszyscy, byłem wstrząśnięty tragedią. Nie sposób było jednak uciec przed dziwną paralelą: w przeddzień miałem kilka zebrań z organizacjami społeczności lokalnych. Kierownictwa tych wszystkich organizacji były niezwykle młode. Powód był nader prosty: w poprzednich dziesięcioleciach wymordowano tu 200 tysięcy osób, głównie należących do ruchów społecznych, a 35 tysięcy zaginęło bez wieści. To była systematyczna masakra zorganizowana z niezwykle silnym poparciem finansowym i wojskowym USA i z doradztwem takich firm komercjalizujących banany, jak United Fruit. Świat ciągle nie wie o tej masakrze, jeśli nie liczyć osób, które czytują oskarżycielskie broszury krążące z ręki do ręki lub techniczne sprawozdania Narodów Zjednoczonych. W Gwatemali masakry zaczęły się w 1954 r., gdy Stany Zjednoczone obaliły demokratycznie wybranego prezydenta Jacobo

Arbenza. Dziś w tym kraju rządzi z wyboru skrajna prawica, bo jej paramilitarne milicje pozostają zorganizowane, a wybory są wolne z punktu widzenia towarzyszącej im wolności.

To żadna nowość. W 1952 r. CIA obaliła w Iranie premiera Mohameda Mosaddeka, który gotów był sprawić, aby irańska ropa naftowa służyła swojemu krajowi. Wynaleziono niejakiego Rezę Pahlawiego, szacha, który zmodernizował kraj, a zwłaszcza siły zbrojne i najnowocześnie wyposażył tajną policję Sawak. Odgórnie narzucona okcydentalizacja doprowadziła do stopniowej izolacji politycznej reżimu i powrotu kraju pod przywództwem ajatollaha Chomejniego do pewnego rodzaju średniowiecza religijnego. Wtedy Stany Zjednoczone poparły i wyposażyły Irak, który prowadził wojnę z Iranem. Gdy Irak użył gazu musztardowego, Stany Zjednoczone nadal go popierały. W sierpniu 2002 r. Pentagon ujawnił, że Amerykanie naprawdę wiedzieli o używaniu gazu, ale ponieważ powód był wojskowy, uważali, że wszystko jest w porządku.

Podczas wojny w Wietnamie, Amerykanów irytował umiarkowany reżim księcia Norodoma Sihanouka w sąsiedniej Kambodży. Chcieli bardziej prawicowego reżimu. Obalili księcia, zapoczątkowując serię przewrotów; po każdym nowa władza masakrowała tych, którzy mogli być związani z poprzednią. Zabitych liczyło się na miliony. Amerykanie nie chcieli masakr – tylko chcieli mieć tam przyjazny rząd...

Ahmed Sukarno w Indonezji był kolejnym osobnikiem, który chciał dać pierwszeństwo wewnętrznym interesom kraju. Został obalony przy ostentacyjnym udziale Amerykanów i zastąpiony przez gen. Suharto, jednego z najbardziej brutalnych i skorumpowanych dyktatorów, jakich znał świat, i to nawet zgodnie z obecnymi ocenami samych Amerykanów. Amerykanie nie chcieli ani przemocy, ani korupcji, ale owszem, chcieli przyjaźniejszego dla siebie rządu...

Nie chcę budować tu literackiego odpowiednika Ściany Płaczu w Jerozolimie. Rzecz jednak w tym, że gdyby Stany Zjednoczone nie rozciągały nad Izraelem osłony finansowej i nie zapewniały mu pomocy wojskowej, to nie miałby on za co i czym anektować terytoriów krajów ościennych. Tu problem nie polegał na tym, aby mieć przyjazny rząd, lecz na tym, aby cieszyć się przyjaźnią ogromnej i wpływowej w USA kolonii żydowskiej, która kontroluje dużą część mediów, a w rezultacie opinii publicznej. Bez głosów tej kolonii nie wybiera się prezydenta Stanów Zjednoczonych. Wszystko ma swoje przyczyny.

To tylko garść przykładów tego wszystkiego, o czym się zapomina. Przy obecnej polityce informacyjnej, zgodnie z którą każda gazeta przynosi codziennie ważne nowiny oderwane od przeszłości, zatracą się perspektywę. Wygląda to tak, jakby realia dnia wczorajszego wpadały w wielką czarną dziurę, pochłaniane przez bieżące informacje. To dziwne zjawisko sprawia, że czas wydaje się tracić głębię, a historia sens.

Warto jednak przypomnieć: prześladowania Afrykańskiego Kongresu Narodowego (ANC), obecnie sprawującego władzę w Afryce Południowej, a poprzednio określanego mianem organizacji terrorystycznej; zmontowanie od początku do końca tzw. Narodowego Frontu Wyzwolenia Angoli (FNLA) pod wodzą Holden Roberto i poparcie wojskowe dla sprzymierzonej z reżimem apartheidu Narodowej Unii na rzecz Całkowitej Niepodległości Angoli (UNITA) pod wodzą Jonasa Savimbiego, co doprowadziło w tym kraju do trwającej ćwierć wieku wojny, która skończyła się dopiero w 2001 r.; poparcie dla dyktatury Somozy i zorganizowanie wojny z sandinistami, co wywołało chaos panujący obecnie w Nikaragui; zamordowanie Patrice'a Lumumby i poparcie Moise Czombego i Mobutu, kolejnych dyktatorów Kongo i kolejnych gigantów represji i korupcji; organizacja wojskowego zamachu stanu, który doprowadził do obalenia Salvadora Allende, demokratycznie wybranego prezydenta Chile, dziwnym trafem również 11 września; poparcie w Argentynie dla dyktatury wojskowej, której skutki odczuwamy do dziś z powodu zniszczenia struktury społeczeństwa obywatelskiego; poparcie dla przewrotu wojskowego w Brazylii. Lista jest długa i obejmuje cały XX w. Poparcie dla próby zamachu stanu wymierzonego w prezydenta Hugo Chaveza,

który dwa razy został wybrany demokratycznie w Wenezueli, to już 2002 r., przy czym działalność wywrotowa przeciwko jego rządowi jest nadal prowadzona. Podobnie jak nadal trwa interwencja w Kolumbii, podczas gdy interwencja w Iraku ujawnia swój tragiczny wymiar.

Jedną z najważniejszych książek, jakie napisano o Stanach Zjednoczonych, jest wspomniane już studium Gunnara Myrdala *Dylemat amerykański* z lat czterdziestych. Centralne przesłanie Myrdala to pytanie: jak w głowie Amerykanina mieści się jednocześnie jego credo odnoszące się do wolności, demokracji, poszanowania jednostki itd. oraz rasizm, dyskryminacja, okrutne traktowanie biedaków?

Pewnego dnia Paulo Freire spotkał w Stanach Zjednoczonych starą kobietę siedzącą na ulicy; jak zawsze zaciekawiony i solidarny, zapytał, czy jest Amerykanką. „Nie”, odpowiedziała staruszka, „jestem biedna”. Nie sposób uniknąć prostego, ale mającego poważne implikacje wniosku: w Stanach Zjednoczonych władza spoczywa na olbrzymiej podstawie hipokryzji.

Podtrzymywanie wojny między Irakiem a Iranem postrzegano jako świetny interes i Irak z samym Saddamem Husajnem na czele był szczerze wspierany przez Stany Zjednoczone. Demokracja nigdy nie była mocną stroną krajów islamskich, a tym bardziej Turcji, tak wspieranej przez kraje bogate, nie mówiąc już o Arabii Saudyjskiej. Tymczasem jedynym bandytą okazuje się Husajn. Irak posiada drugie co do wielkości złoża ropy naftowej na świecie. Nie można się zgodzić, aby nie był krajem zaprzyjaźnionym.

Jak wiadomo, główną bazą wsparcia politycznego rodziny Bushów są firmy naftowe. Afganistan nie ma dużego znaczenia na świecie. Tymczasem w regionie dokonuje się w przyspieszonym tempie amerykańska ekspansja wojskowa. Pod pretekstem walki z terroryzmem, w sąsiednich krajach – w Kirgistanie, Uzbekistanie, Tadżykistanie, Turkmenistanie i innych republikach poradzieckich – instaluje się bazy. Na południu leży Afganistan. Na północy, w rejonie Morza Kaspijskiego, znajdują się wielkie złoża ropy naftowej, do których chciał dotrzeć Hitler, co doprowadziło do decydującej bitwy stalingradzkiej. W *Business Week* z 27 maja 2002 r. głównym tematem przewodnim był olbrzymi postęp, jaki dla interesów naftowych Stanów Zjednoczonych oznacza wkroczenie do tego regionu: w artykule pt. *Najbliższa granica naftowa* komentowano, „jak żołnierze, naftowcy i dyplomaci amerykańscy szybko zapoznają się z tym zabitym deskami zakątkiem świata, dawnym podbrzuszem Związku Radzieckiego (...) próbując wyrąbać tam największy kawałek nowej strefy wpływów USA odkąd przed laty Stany Zjednoczone zaangażowały się na Bliskim Wschodzie”. „Karabiny”, wyjaśniano w tym artykule, „będą oczywiście służyć również ochronie ropy naftowej – ropy, która, jak ma nadzieję Waszyngton, zmniejszy zależność Zachodu od Zatoki Perskiej, a także pozwoli wydobyć narody Kaukazu i Azji Środkowej z przygnębiającego ubóstwa”.

Koncerny działające w regionie wraz z wojskami amerykańskimi to między innymi Chevron Texaco, Exxon Mobil, British Petroleum, British Petroleum Company PLC i Halliburton. Największym inwestorem jest British Petroleum, co w dużej mierze wyjaśnia entuzjazm Blaira dla udziału wojsk angielskich w walce z Ben Lodenem, a przede wszystkim w działaniach towarzyszących wtargnięciu Stanów Zjednoczonych do tego regionu. W opublikowanym przez *Business Week* dossier pokazano, kraj po kraju, na czym polegają interesy wojskowe, a na czym interesy energetyczne.

Czyż to nie brzmi znajomo? Podczas gdy na obszarze naftowym trwają inwestycje, międzynarodowe media bombardują nas wizerunkami kolejnych osobników, których mamy nienawidzić: Chomejniego, Kaddafiego, Castro, Ben Ladena, Saddama Husajna – to oni zagrażają światu. Cóż byśmy zrobili bez ochrony amerykańskiej? 7 lipca 2002 r. w wywiadzie dla CNN gen. Shephard jasno postawił sprawę: „*We are the world peace keepers, like it or not*”. Jesteśmy strażnikami pokoju światowego, czy to się wam (lub nam) podoba, czy nie.

Gdyby nie istniał Ben Laden, trzeba by go było wynaleźć. Rzecz w tym, że Stany Zjednoczone szybko wyposażają się w wewnętrzne i zewnętrzne narzędzia kontroli, które mogą tylko niepokoić. Na wewnątrz buduje się ogromną siatkę ogólnokrajową, która polega na tym, że każdy Amerykanin ma pilnować dwóch sąsiadów, a projekt przewiduje, że jeden Amerykanin na dwudziestu będzie donosicielem. Na uniwersytetach Pentagon negocjuje trójczłonowy projekt: kontrolę nad studentami zagranicznymi, kontrolę nad badaniami naukowymi i konieczność uzyskania zezwolenia na publikowanie ich wyników.² Inicjatywy na tym polu są niezliczone i przerażają.

Na zewnątrz, bezceremonialny kopniak wymierzony porozumieniom z Kioto jest nośny w jasne przesłanie dla społeczności międzynarodowej. „Kasacja” brazylijskiego dyplomaty José Mauricio Bustaniego, który odważył się zasugerować, że Stany Zjednoczone też powinny poddać się kontrolom, pozwoliła przypomnieć wszystkim urzędnikom organizacji międzynarodowych, że pewne narody są bardziej *zjednoczone* niż inne. Do tego dochodzi odmowa przystąpienia do Międzynarodowego Trybunału Karnego, który ma ogromne znaczenie dla stopniowej budowy systemu zarządzania planetarnego.

Jak już powiedzieliśmy, każda z tych inicjatyw niepokoi, i to bardzo. Razem wzięte, wskazują na wyraźną wolę stosowania siły wojskowej, ekonomicznej i medialnej na całej planecie w sytuacji, gdy faktycznie nie ma siły, która mogłaby stanowić przeciwwagę dla Stanów Zjednoczonych. Hamulec wewnętrzny ze strony opozycji demokratycznej samych Amerykanów może stać się symboliczny w obliczu intensywności, z jaką jednocześnie wymachuje się flagą amerykańską i potrząsa się kolejnymi zewnętrznymi strachami na wróble.

Corporate governance, czyli nadzór korporacyjny

Nowe technologie pozwalają na taką realną koncentrację władzy, o jakiej dawniej się nie śniło, a nadmierne skupienie władzy nigdy nie jest zdrowe dla społeczeństwa. W tym znaczeniu niewątpliwie ważna jest troska, jaką budzi dyssymetria władzy, która powstała w Stanach Zjednoczonych, gdy ta skoncentrowana władza opiera się na powiązaniach szczególnie konserwatywnych segmentów środowisk religijnych, tradycyjnych środowisk militarystycznych i wielkich korporacji ponadnarodowych. Łatwo mieć nastawienie antyamerykańskie, podobnie, jak łatwo jest mieć nastawienie proamerykańskie. Jednak dziś, w dobie kurczenia się planety i globalizacji, powinniśmy być proludcy i rozumieć stany nierównowagi, które mogą nam zagrażać.

Jednym z kluczowych czynników takich stanów nierównowagi jest korporacja. Nie mamy na myśli przedsiębiorczości w ogóle, lecz megawładzę ekonomiczną wielkich korporacji, które dziś kontrolują politykę, panują w mediach, ale nikomu poza akcjonariuszami z niczego nie zdają sprawy, a jeśli chodzi o akcjonariuszy, to ich interesują tylko wyniki ekonomiczne, *bottom line*, czyli zysk za wszelką cenę.

Przypadek Enronu jest pod tym względem symboliczny, bo skupiał on gigantyczną władzę gospodarczą i polityczną, a jedyną kontrolę, jakiej podlegał, sprawowała firma świadcząca usługi z zakresu audytu finansowego i finansowana przez jego biura consultingowe. Dawniej właściciel przedsiębiorstwa czuwał nad tym, aby jego nazwiska nie kojarzono z nielegalnymi praktykami. Dziś, wraz z gigantyzmem przedsiębiorczym oraz rozdziałem własności i zarządzania, odpowiedzialność powszechnie się rozmywa i w sferze przedsiębiorczości prowadzi do wolnej amerykanki, której dłużej nie można ignorować. Enron, fetowany na łamach *Harvard Business Review* jako wzorowa firma i prezentujący się jako przykład „odpowiedzialności społecznej”, w chwili bankructwa dysponował siecią 1800

² Patrz artykuł Daniela G. Duponta, *Staying Open: Universities Worry about the Strain on Academic Freedom in the Face of Classified Research*, „Scientific American”, wrzesień 2002, s. 10.

widmowych przedsiębiorstw zajmujących się manipulacjami i oszustwami finansowymi. Nie przypadkiem Paul Krugman uważa, że krach Enronu to ważniejsze wydarzenie historyczne niż dramat wież nowojorskich.

Wielkie firmy spekulacji finansowych – tak zwani „inwestorzy instytucjonalni” – operują setkami miliardów nie swoich dolarów, lecz dolarów należących do milionów ciułaczy. Zapewnia to spekulantom bezprecedensową w dziejach władzę finansową. Proszę przyjrzeć się przypadkowi Argentyny. Wielka amerykańska instytucja finansowa prosi banki argentyńskie o pożyczki w peso, a te szczerze otwierają kufry, bo wielkiej amerykańskiej instytucji finansowej nie odmawia się pożyczek. Za pożyczone miliardy pesos instytucja ta wykupuje na miejscowym rynku dolary. Argentyna (kraj) ma rezerwy dolarowe na sumę 15 miliardów dolarów. Inwestor instytucjonalny (firma) ma 180 miliardów. Na rynku argentyńskim powoduje to pogoń za dolarami, rezerwy się wyczerpują, a system bankowy jest zmuszony zamknąć okienka. Gdy je z powrotem otwiera, okazuje się, że kurs dolara wzrósł z 1 do 3,5 peso. Inwestor odprzedaje część dolarów po 3,5 peso, w peso spłaca bankom argentyńskim pożyczki, wraz z procentami i wszystkim innym, bo to przecież uczciwa firma, i na każdym zainwestowanym miliardzie dolarów zyskuje 600 milionów dolarów nie produkując nawet pary butów. Przecież to globalne kasyno. Mechanizm wyjaśnił w wywiadach prasowych dyrektor firmy, Mohamed El-Erian, pokazując, jak dobrze wyszedł na tym akcjonariusz amerykański.

O takich mechanizmach pisze szczegółowo laureat nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii, Joseph Stiglitz, który jako naczelny ekonomista Białego Domu, a następnie Banku Światowego, poznał je drobiazgowo (zwłaszcza w Azji), ustąpił ze stanowiska i napisał miażdżącą książkę pt. *Globalizacja*. Stiglitz nie jest lewicowcem, lecz człowiekiem świadomym, który nie chce brać udziału w mechanizmie rozkładającym gospodarkę, szkodzącym procesom produkcyjnym i destabilizującym arenę międzynarodową.

Ważne, byśmy zauważyli pojawienia się plejadi pierwszoplanowych teoretyków, którzy zajmują bardzo krytyczną postawę, ale nie wywodzą się z tradycyjnej lewicy. Na pewno tak jest w przypadku Stiglitz, ale również Davida Kortena z jego znakomitą studium pt. *Gdy korporacje rządzą światem*. Korten wywodzi się z ruchu społecznego, ma doświadczenie pracy w Amerykańskiej Agencji do spraw Rozwoju Międzynarodowego (USAID) i również wystąpił z oskarżeniem pod adresem systemu władzy stworzonego przez wielkie korporacje. Jeremy Rifkin ze swoim *Wiekim dostępu*, w którym analizuje kontrolę sprawowaną przez korporacje nad kulturą czy postępowanie takich firm, jak Monsanto, wobec środowiska, też nie należy do lewicy w tradycyjnym znaczeniu. Lawrence Lessie, który w swojej *Przyszłości idei* bada proces kontroli nad wiedzą, Hazel Henderson ze swoimi badaniami nad koniecznością wyjścia poza konkurencję i szukania procesów współpracy, Juliet Schor z badaniami nad *Przepracowanym Amerykaninem* – oni wszyscy należą do nurtu, którego zbyt mało interesują tradycyjne wizje etatystyczne czy prywatystyczne i który jest świadomy potrzeby budowy nowatorskich dynamik społecznych i gospodarczych.

Joel Bakan napisał szczególnie interesującą książkę pt. *Korporacja*. Bakan jest pragmatykiem – stwierdza, że korporacja „ma skłonność do większej zyskowności w tej mierze, w jakiej może sprawić, żeby inni płacili rachunki za jej wpływ na społeczeństwo”. Rezultat to np. otyłość około 30 proc. dzieci amerykańskich, a tymczasem fast-foody walczą o możliwość instalowania swoich punktów sprzedaży w szkołach. Lester Brown ze swoimi szerokimi horyzontami stwierdza, że „zachodni model rozwoju przemysłowego – to znaczy rozrzutna, oparta na paliwie kopalnym i ześrodkowana na samochodzie gospodarka” – prowadzi w ślepy zaułek. „Przejadamy kapitał naturalny Ziemi, lasy i tereny połowu ryb się kurczą, poziomy wody gruntowej spadają, gleby się wyjaławiają, pastwiska podupadają z

powodu nadmiernych wypasów. Ta nadmierna konsumpcja kapitału naturalnego sztucznie zwiększa produkcję, w tym produkcję żywności. Rozwijamy gospodarkę bańki mydlanej”³.

Tak oto wielka korporacja, wiążąc władzę gospodarczą, kontrolę polityczną i manipulowanie informacją, stała się pierwszoplanowym zagrożeniem. Ponieważ korporacje rocznie wydają na marketing 3 biliony dolarów i w ten sposób są odpowiedzialne za utrzymanie mediów, to, co naprawdę dzieje się w świecie korporacyjnym, rzadko trafia do mediów. Ten proces ma aspekt ironiczny, bo to my płacimy za tę reklamę, której koszt jest zawarty w cenie nabywanych przez nas produktów. Niejako płacimy za to, żeby nas okłamywano.

Na tym polu narzucają się dwie refleksje. Po pierwsze, nie możemy odrzucać wznoszącej się fali krytycznej tak, jak byśmy byli sfrustrowanymi lewicowcami, ludźmi przeszłości. Chodzi o głęboki ruch oburzenia, który stopniowo narasta na najrozmaitszych gruntach działalności naukowej i gospodarczej. Po drugie, nic z tego nie daje się rozwiązać po linii tradycyjnego podziału świata na dobrych i złych: trzeba zrozumieć dynamiki, oddzielić ziarno od plew i poszukać zróżnicowanych rozwiązań w społeczeństwie bardziej złożonym niż to było dawniej.

Global governance, czyli zarządzanie globalne

Planeta dojrzewa do jakiegoś rodzaju zarządzania globalnego. Systemy spekulacji finansowej – działalności, która z pomocą nowych technologii tak łatwo się globalizuje – po prostu rozkładają podstawowy proces rozwoju gospodarczego, który polegał na obwodzie praca – produkcja – zysk – inwestycja – płace – konsumpcja – praca i tak dalej. Nie ma światowego banku centralnego, co prowadzi do chaosu, w którym zyskuje silniejszy, a nie wydajniejszy, i bankrutują kruche gospodarki, a to właśnie im najbardziej potrzebny jest rozwój po to, aby można było zrównoważyć system światowy. To, że jakiś Soros czy jakiś Gates tu czy tam wygrywa lub przegrywa na giełdzie miliony dolarów, dla biedaków nic nie zmienia w systemie.

Światowa kontrola nad mediami, dziś w rękach pół tuzina magnatów, stanowi inny kluczowy problem, bo dezinformowana planeta stwarza tylko bezsilnych obywateli i traci zdolność do organizacji społecznej. W tej dziedzinie panują Stany Zjednoczone. Na Indie i Chiny przypada 40 proc. ludności świata i to, co się tam dzieje, interesuje nas wszystkich. Tymczasem w systemach komunikacji bardzo rzadko ukazuje się coś o tych krajach. Zatracamy nawet poczucie tego, jak bardzo jesteśmy dezinformowani. Najtragiczniejsze jest to, że gdy czegoś nie wiemy, często są to wymiary rzeczywistości, których po prostu nie znamy, toteż w ogóle nie jesteśmy świadomi próżni.

Zorganizowana przestępczość stała się planetarna. Obejmuje od przemytników narkotyków, którzy niszczą setki milionów istnień ludzkich, do banków piorących brudne pieniądze – wśród tych banków, które teraz odpowiadają przed sądem, są American Express, CityGroup i inne o podobnym znaczeniu – czy producentów broni ręcznej, którzy twierdzą, że są uczciwymi przedsiębiorcami – *we don't pull the trigger*, my nie naciskamy spustu, mówią oburzeni – i tych, którzy sprzedają materiały radioaktywne. Stany Zjednoczone są odpowiedzialne za 48 proc. eksportu broni na świecie. Co się zbiera z takiego zasiewu? Według dokonanej przez *Business Week* oceny wykorzystania e-handlu w Stanach Zjednoczonych, 70 proc. transakcji to działania antyspołeczne lub przestępcze. Organizowanie światowych sieci przestępczości stało się dziś tak praktyczne...⁴

³ Patrz wywiad z Lesterem Brownem na stronie internetowej *World in the Balance: Voices of Concern* – www.pbs.org/wgbh/nova/worldbalance/voic-brow.html.

⁴ Dane z prasy międzynarodowej. 48 proc. odnoszące się do eksportu broni figuruje w rocznikach ONZ. O przestępczym wykorzystaniu internetu patrz główny temat przewodni *Business Week* z 2 września 2002 r.:

Lista jest długa. Bez polityki światowej nie można ratować mórz, nie można zapobiegać globalnemu efektowi cieplarnianemu, chronić wody, kontrolować określonych chorób. Rzecz w tym, że globalizacja problemów osiągnęła taki poziom, iż nie można już odkładać rozwoju instrumentów zarządzania planetarnego.

Są pewne podstawowe filozofie budowy takiego systemu zarządzania. Unia Europejska stworzyła wizję negocjowanych zbliżeń między krajami, z demokratycznymi konsultacjami, które pozwalają np., żeby dziś Dania i Wielka Brytania należały do Unii, ale nie akceptowały wspólnej waluty. Chodzi o proces powiązań poziomych. Należy powiedzieć, że powstał on w bardzo specyficznych warunkach, szczególnie w wyniku dwóch ogromnych masakr pierwszej i drugiej wojny światowej, które stworzyły dynamikę konieczną do tego, aby powiedziano „dość”.

Inna wizja powstała w ostatnich latach – mam na myśli dążenie do przemysłienia zasad działania i struktur organizacji wielostronnych pod kątem zapewnienia zdolności do zarządzania globalnego. W istocie propozycja polega na zreformowaniu Rady Bezpieczeństwa ONZ poprzez jej rozszerzenie, tak, aby stworzyć coś w rodzaju światowej egzekutywy. Wielkie międzynarodowe agencje finansowe – Międzynarodowy Fundusz Walutowy, Bank Światowy i bazylejski Bank Rozrachunków Międzynarodowych – utworzyłyby rodzaj światowego banku centralnego. Zgromadzenie Narodowe ONZ, zreformowane tak, aby zapewnić większą reprezentatywność, stanowiłoby rodzaj parlamentu światowego. Takie zaś wyspecjalizowane agencje, jak FAO, UNESCO, UNICEF itd. stałyby się ministerstwami rolnictwa, edukacji itd.

Czy światowa megabiurokracja rozwiązałaby problem? Ponad pięćdziesiąt lat funkcjonowania ONZ, do czego dochodzi wcześniejsze dwadzieścia lat funkcjonowania Ligi Narodów, dowodzi, że taka biurokracja zależy od realnych sił politycznych, gospodarczych i wojskowych, które stoją za podejmowaniem decyzji.

Inna, starsza tradycja, pochodzi od Bismarcka, który po to, aby uczynić z prowincji niemieckich jeden kraj, zaczął w 1866 r. od wspólnego rynku – unii celnej, czegoś w rodzaju odpowiednika Strefy Wolnego Handlu Obu Ameryk (ALCA) – po to, aby później, po wywołaniu wojny z Francją, skupić te wszystkie prowincje pod skrzydłami Prus, *przeciwko wspólnemu wrogowi*. Tak oto, większe mocarstwo pochłania inne w procesie jednocześnie ekonomicznym, politycznym i wojskowym, którego logikę narzuca silniejszy.

Amerykanie, jak wszystko wskazuje, wiedzą o Bismarcku i już mają odpowiedź. W długim artykule w *Time* wyraźnie eksponują powołanie Stanów Zjednoczonych do przewodzenia światu. Powód, jaki przytaczają, jest prosty: *we have earned it*, my na to zapracowaliśmy. Czy Stanom Zjednoczonym wystarczy na to siła? I czy wystarczy być silniejszym? Do jakiego stopnia uproszczony światopogląd Amerykanów mógłby stać się wzorcem dla planety z jej ogromnymi różnicami kulturowymi i nierównościami gospodarczymi?

Analiza realnie istniejącego świata sugeruje inne drogi. W zbiorze studiów o „demokracji kosmopolitycznej” pt. *Wyobrażając sobie na nowo wspólnotę polityczną*, stwierdza się, że praktycznie wszystkie – duże i małe, polityczne i ekonomiczne, prywatne i publiczne – organizacje planety, a zwłaszcza organizacje społeczeństwa obywatelskiego, tkają ogromną pajęczynę stosunków planetarnych. Przeglądając porozumienia międzynarodowe Papieskiego Uniwersytetu Katolickiego São Paulo stwierdziłem, że w 2000 r. ten uniwersytet zrealizował około 1500 akcji współpracy międzynarodowej. Dziś każda organizacja pozarządowa

„Ponad 70 proc. całego e-handlu opiera się na pewnych społecznie nie akceptowanych, jeśli nie całkiem przestępczych rodzajach działalności”. W artykule wspomina się o oszustwach finansowych, wyzysku dzieci, produkcji nielegalnych recept, paszportów i dowodów tożsamości, piractwie itd. Ciekawe, że nie wspomina się o takiej nielegalnej działalności, jak obłężenie handlowe, które zaśmieca nasze (realne lub wirtualne) skrzynki pocztowe.

dysponuje coraz bogatszym systemem stosunków międzynarodowych. Każdy co bardziej rozwinięty szpital posiada sieć wymiany lekarzy, technologii itd. We wspomnianym zbiorze systematyzuje się ten rodzaj przeobrażeń i zarysowuje się „*the proliferating networks of an ever more interdependent world*” – rozprzestrzeniające się sieci coraz bardziej współzależnego świata.

Zgodnie z tą wizją, „jest bardziej prawdopodobne, że po to, aby uzyskać legitymację i poparcie, których udanym mechanizmom zarządzania potrzeba do przetrwania, będą one rozwijały się od dołu do góry niż z góry na dół”.⁵

Innymi słowy, staje kwestia budowy demokracji planetarnej i sieciowego powiązania najrozmaitszych aktorów społecznych, a nie tylko wizja między-narodowa czy wielo-stronna. Organizacje społeczeństwa obywatelskiego szybko rozwijają się w tym kierunku, jak to widać na zgromadzeniach Światowego Forum Społecznego i o czym świadczy hasło głoszące, że „inny świat jest możliwy”.

Jednak, ogólnie rzecz biorąc, rzeczywistość jest taka, że dążenie do tego, abyśmy stali się zdolni do zarządzania planetarnego, do przewyciężenia chaotycznego i destrukcyjnego procesu, który dominuje w zachodzących na naszych oczach przeobrażeniach i który fundamentaliści technokratyczni określają wyszukany mianem neoliberalizmu, staje się coraz pilniejszą sprawą, a nasza niemoc instytucjonalna jest coraz bardziej niepokojąca.

Wyzwania planety są dramatyczne. Gospodarka w wielkiej mierze się zglobalizowała, podczas gdy polityka ekonomiczna nadal podlega segmentacji państwowej. Systemy międzynarodowe odziedziczone po Bretton Woods zmierzały do uporządkowanego powiązania różnic między narodami i sprostania tym różnicom, toteż nie funkcjonują one na przestrzeniach globalnych. Polaryzacje między bogatymi a biednymi się pogłębiają, do wykluczenia ekonomicznego dodając wykluczenie cyfrowe. Życie w morzach ulega zniszczeniu. Globalny efekt cieplarniany nie budzi już wątpliwości, a mimo to nie udaje się podjąć żadnych środków zaradczych. W obliczu chaosu, który stopniowo zaczyna panować, nie chodzi o to, aby potępiać Stany Zjednoczone. Chodzi o to, że planeta nie może obejść się bez demokratycznych Stanów Zjednoczonych, czynnie przyczyniających się do zarządzania globalnego. Tymczasem na początku bieżącego tysiąclecia można co najmniej powiedzieć, że on się do niego nie przyczyniają.

Tożsamość i kultura

Jesteśmy istotami kulturalnymi, a kultura jest procesem społecznym. W procesach kulturalnych dynamiki racjonalne interweniują w stosunkowo niewielkim stopniu, a w każdym razie dużo mniejszym niż się nam wydaje. Kultura jest też czymś dużo potężniejszym niż na ogół sądzimy. Wszyscy jesteśmy zalatani, zajeżdżamy się na śmierć w pracy i nikt się zatrzymuje, aby zapytać: dokąd tak pędzimy?

Andres Duany, urbanista, który posłał do diabła firmy deweloperskie i budowlane (pamiętacie *The Truman Show*? Nakrecono go w zaprojektowanym przezeń Panama City), zaczął tworzyć dzielnice, w których obok domów mieszkalnych są placówki usługowe, nie musimy być niewolnikami kierownicy, istnieją małe, miłe przestrzenie codziennego życia towarzyskiego i „przyjazne dla pieszych sąsiedztwa” (*pedestrian-friendly neighbourhoods*); szuka się tam nie tyle możliwości zademonstrowania indywidualnego sukcesu posiadacza, ile umocnienia atmosfery wspólnoty – „sukces”, komentuje Duany, „odnosi się nie wtedy, gdy można powiedzieć: mój dom jest w lepszym guście, lecz wtedy, gdy można powiedzieć: moja córka ma teraz więcej przyjaciół”.

⁵ James Rosenau, *Governance and Democracy in a Globalizing World*, w: Daniele Archibugi, David Held i Martin Kohler, *Re-Imagining Political Community*, Stanford, Stanford University Press 1998, s. 33.

Wszyscy jesteśmy coraz bardziej zmęczeni życiem pełnym samochodów, przemocy, marnotrawstwa, zanieczyszczeń. Tymczasem megafirmy kierujące polityką i decydujące o kierunkach rozwoju gospodarki światowej przejmują również kontrolę nad środkami przekazu i systematycznie nastawiają nasze zachowania na cywilizację konkurencji, pośpiechu, panowania, sukcesu, niepohamowanego konsumeryzmu. O ileż łatwiej manipulować konsumentem niż wprowadzać innowacje w procesach i treściach produkcji...

Logika procesu nie nastawia nas wrogo do przedsiębiorstw i działalności gospodarczej, lecz uświadamia, że działalność gospodarcza nie może kierować się jedynie pogonią za zyskiem. Bez solidnej przeciwwagi zorganizowanego społeczeństwa obywatelskiego, która zapewniłaby przewagę prozaicznego interesu naszego szczęścia osobistego, szybko będziemy zmierzali do katastrofy w sferze społecznej, ekologicznej i gospodarczej.

Formy organizacji naszej codzienności wydają się *naszymi* wyborami, a przesłania propagandowe wmawiają nam codziennie, jak bardzo *nasze* są to wybory, jak bardzo są one *naturalne*. Gdyby były tak naturalne, nie trzeba by wydawać miliardów dolarów na przekonywanie nas do nich. Gdyby zaś te przesłania nie odnosiły skutku, nie byłyby finansowane przez przedsiębiorstwa, które wciskają nam swoje produkty i swój światopogląd. Ciekawe, że produkty do sprzedania podszywa się powszechnie pod naturalne popędy: oto widzimy samochód powoli jadący wiejską dróżką; widać rzeki, wodospady, zieleń – spółki manipulacyjne wiedzą doskonale, że to wszystko jest potężne i autentyczne. Rezultat to jednak sprzedaż samochodu i tysiące frajerów siedzących jeden za drugim w ulicznych korkach.

Uważam, że w dramatycznym wręcz stopniu nie doceniamy tego, jak nad naszą codziennością ciąży indywidualizacja zaspokajania naszych potrzeb, proces atomizacji społecznej. Zgodnie ze światopoglądem korporacyjnym rodzina jest jednostką konsumpcyjną. Społeczność to marnotrawstwo. W zatomizowanym świecie społecznym, który powstał, społeczność uległa rozbiciu na izolowane rodziny. Rodzinę rozszerzoną, w której pełno było ciotek i wujów, dziadków, niezapomnianych kuzynek, całego tego zdrowego zamieszania, z jakim mieliśmy ongiś do czynienia w mniej „skapitalizowanych” środowiskach, zastąpiła komórka rodzinna składająca się jedynie z rodziców i dzieci. Ponieważ nikt nie wytrzymuje klaustrofobii świata rodzinnego, małżeństwa się rozwodzą. W Stanach Zjednoczonych tylko jedna czwarta gospodarstw domowych to rodzice i dzieci – przytłaczającą większość składa się z izolowanych jednostek, samotnych matek z dziećmi itd. W każdym mieszkaniu czy domu na przedmieściu panuje ten sam dostatek w postaci samochodu, lodówki, telewizora, komputera. I ta sama samotność.

Ponieważ bombarduje się nas jednocześnie społecznym wizerunkiem sukcesu, ci, którzy wytrzymują, w stosunkach między małżonkami oraz między rodzicami a dziećmi zachowują pozory cywilizowanego współżycia – pełnego hipokryzji, która nie wynika z tego, że ludzie z natury są hipokrytami, lecz po prostu z potęgi idyllicznego obrazu, z jakim stykamy się w każdej powieści czy reklamie i w każdym filmie – obrazu młodych, jasnowłosych rodziców, którzy bardzo się kochają i bardzo kochają swoje dwie jasnowłose pociechy oraz malują swój domek farbą, która jeszcze bardziej go wybiela. To wszystko stwarza głębokie poczucie sztuczności i samotną i nieszczęśliwą egzystencję ludzką. Mimo przesady i uproszczeń film *American Beauty* dobrze odzwierciedla ten absurdalny świat.

Istota ludzka nie może być choćby minimalnie szczęśliwa, jeśli ogranicza ramy swojego współżycia społecznego do komórki rodzinnej – która się załamuje – oraz funkcjonalnych i tak często sztucznych stosunków zawodowych. *American Beauty* odzwierciedla gigantyczne poczucie duchoty społecznej, narzuconej nam bez pardonu przez groteskowy i pozbawiony sensu system akumulacji konsumerystycznej.

W samotnych masturbatorach elektronicznych, w których usiłuje się nas zamknąć, nie ma już miejsca dla sportu, muzyki, tysiąca form współżycia społecznego. Całe pokolenie wkracza

w świat obrazu, w którym książka nie spełnia żadnej funkcji. Sport nie jest już rozrywką, która każdemu grubasowi pozwalała zrzucić ubranie świadczące o jego *znaczeniu* i wraz z kolegami z sąsiedztwa pobiegać za piłką – sport to coś, czemu ludzie asystują siedząc na kanapie, pogryzając i obserwując, jak muskularni, cudowni atleci dokonują cudownych wyczynów.

Nie słuchamy już zgranych czy niezgranych zespołów muzycznych popijając na rogu ulicy piwo – słuchamy CD z cudownymi pieśniami Pavarottiego lub monotonnymi nagraniami MTV, których słucha się przez indywidualne słuchawki przeznaczone dla *ćwiczącego się* – to znaczy uprawiającego w samotności i ciszy jogging w parku - osobnika. Sport stał się czasownikiem zwrotnym – podobnie jak muzyka i seks. Plac nie jest już przestrzenią życia towarzyskiego i jeśli posiedzimy sobie na ławce, prawdopodobnie zostaniemy uznani za bezrobotnego, a już na pewno zjawi się ktoś, kto zechce nas wylegitymować. Nie ma już balów dzielnicowych, bo wokół nas pełno jest nieustannie pneumatycznych kobiet, które tańczą parę centymetrów od kamery starając się z maksymalnym zapалem kręcić dupą i wyobrażając sobie, że budzą w nas pożądanie i nas uszczęśliwiają. Nawet kościół, do którego – prawdę mówiąc – chodziliśmy raczej po to, aby pooglądać laski niż otrzymać sakramenty, ale który stanowił przecież ważną przestrzeń konstrukcji wartości i ekspresji duchowej, stał się procesem manipulacji elektronicznej, bo oderwał się od osiedla, społeczności, realnej codzienności ludzkiej.

Miliony mężczyzn i kobiet oglądają dzień w dzień telenowe, które odrobiną życia wyimaginowanego zastępują im nieobecne życie własne. Zamiast poszukać sobie partnera czy partnerki, marzą o wyczynach swoich idoli elektronicznych. To już nie telenowela, to twoje życie – *to ty decydujesz*. Jest to życie na kredyt, życie, któremu się asystuje zamiast je przeżywać. Rozmach tego wszystkiego jest ogromny. Miliony billboardów wiszących na ulicach, na każdym rogu, w każdej placówce handlowej, bombardują nas nieustannie mniej więcej obnażonymi kobietami, które z orgazmem w oczach sugerują, że spotka nas ogromne szczęście, jeśli kupimy jakiś nowy sprzęt gospodarstwa domowego. Czyż z punktu widzenia naszego codziennego szczęścia to permanentne sprowadzanie popędów afektywnych na drogę zachowań nabywczych jest niewinne?

Koncepcja radykalnej zmiany jakościowej, obejmującej nową kulturę rozwoju i działalności gospodarczej, ma zasadnicze znaczenie. Siły postępowe zwracały dotychczas uwagę na większą efektywność swojej propozycji lub na jej większą sprawiedliwość redystrybucyjną. Dzielić jest bardzo trudno, gdy kultura nierówności przenika samą treść produkcji. Czy dlatego, że megafirmy stwarzają idiotyczny świat, mamy uspołeczniać idiotyzm?

Gdy procesy kulturalne stają się determinującą dynamiką procesów ekonomicznych, istnieje prawdopodobieństwo, że należy myśleć szerzej – o alternatywach wobec tworzonej kultury. To, czego szukamy, to w rzeczywistości alternatywna cywilizacja.

Wiatry zmiany

Życie nie musi być absurdalne. Co więcej, korporacje, rynek, interesy prywatne mają sens tylko wtedy, gdy służą lepszemu życiu zamiast sprawiać, abyśmy służyli ich potrzebom akumulacji i do tego jeszcze sugerować, że powinniśmy być wdzięczni, ponieważ dają nam pracę.

Wiadomo, że na widok zadrzewionego placu w mieście przedsiębiorca oburza się, iż nikomu nie przyszło jeszcze do głowy zbudować w tym miejscu supermarketu. Inny zaplanowałby parking, podczas gdy producent reklam uważa, że to po prostu śmieszne, iż ludzie spacerują po parku zamiast pójść do domu i siedząc wygodnie na kanapie oglądać między jedną a drugą reklamą przepiękne obrazy odległych parków. Nie ma w tym złej woli.

Oni starają się maksymalizować swoje pieniądze popisując się dużymi umiejętnościami technicznymi i cierpiąc na zupełny uwiąd inteligencji życiowej. Musimy zorganizować się jako społeczeństwo, ująć cugle procesu w swoje ręce i przekazać dzieciom mniej nasycony przemocą, mniej głupi i bardziej ludzki świat.

Pewnego dnia pojechałem na wykłady do Recife. Śródmieście, w którym pracowałem w 1963 r., przeszło radykalne przeobrażenia. Budynki odrestaurowano z całym splendorem starej architektury. Place są czyste, oświetlone, zadrzewione. Port otwarto dla publiczności i stał się przestrzenią służącą spędzaniu wolnego czasu. Wąskie ulice staromiejskie są dziś jednym ciągiem barów i restauracji – całe chodniki są zastawione stolikami, bo ruch drogowy skierowano gdzie indziej. Orkiestra gra na żywo na środku ulicy, trwa wielka zabawa ludowa, pary małżeńskie odkrywają ze zdumieniem rytm, podniecenie, wybuch śmiechu, zainteresowanie innymi ludźmi. Tak jest przez cały tydzień – nie trzeba czekać cały rok na karnawał, który zresztą stał się raczej przemysłem telewizyjnym, czymś, czemu się *asystuje*, aniżeli okazją do powszechnej zabawy na sto fajerek i ubawu po pachy. W Recife ludzie już nie czekają, aby *podczas karnawału obejrzeć się w TV Globo*.

Wbrew wielkim korporacjom medialnym, tysiące społeczności na całej kuli ziemskiej zakładają radia i telewizje komunalne, które pozwalają promować działania i omawiać wydarzenia lokalne, wiązać ze sobą inicjatywy najrozmaitszych grup, na oczach zachwyconych rodzin robić programy z dziećmi z osiedla. Czy nieodzowny jest ktoś taki, jak prezenterka telewizyjna Xuxa? Magnaci mediów i polityki kontrolujący w Brazylii komunikację społeczną dobrze wiedzą, jak groźna jest to tendencja i codziennie piętnują „pirackie radia” sugerując nawet, że społeczności wyposażone w narzędzia integracji komunikacyjnej powodują katastrofy lotnicze... Doprawdy, w świecie, w którym w pogoni za pieniędzmi królują zasady wolnej amerykanki, wszystkie chwytły są dozwolone.

Miliony ludzi na całym świecie przestają lokować swoje pieniądze w bankach prywatnych, które służą światowym mechanizmom spekulacji, i lokują je w takich najrozmaitszych i szybko mnożących się wszędzie bankach komunalnych, jak Grameen w Azji czy Portosol w Porto Alegre. Taki bank urzędowy, jak Banco do Nordeste, upowszechnia dziś kredyty dla mikroproducentów, gwarantowane wyłącznie na słowo tych, którzy o nie zabiegają, i organizuje setki agentów kredytu komunalnego, działających w zabitych deskami gminach Północnego Wschodu. Biedacy dotrzymują słowa i niespłacalność wynosi niespełna 2 proc. Spółka ma natomiast adwokatów i procenty.

Miliony ludzi na całym świecie zaczynają konsumować zgodnie z kryteriami odpowiedzialności społecznej i ekologicznej, unikając w supermarketach i innych placówkach handlowych produktów związanych z pracą dzieci czy ze środkami toksycznymi. Jest to tak rozległe zjawisko, że tysiące przedsiębiorstw starają się dziś odzyskać reputację, biją się o prawo do „zielonego znaku” na swoich wyrobach, do znaku przyjaciela dzieci Abrinq i mnóstwa innych inicjatyw tego rodzaju.

Powstał już potężny ruch osób wymagających od banków i od firm inwestycyjnych, w których lokują swoje oszczędności, aby z ich pieniędzy nie korzystały przedsiębiorstwa wyrządzające szkody środowisku naturalnemu, handlujące bronią itd. Działający dziś w 77 krajach ruch Transparency International uzyskał odmowę jakiegokolwiek angażującego zasoby Banku Światowego finansowania dziesiątków wielkich przedsiębiorstw, które stosują korupcję celem uzyskania zamówień publicznych.

Miliony osób w podeszłym wieku, często zesłanych do swojego rodzaju *poczekalni* w mieszkaniach i budynkach komunalnych, odkrywają, że czy to działając indywidualnie, czy organizując się w grupy lub stowarzyszenia, mogą wykorzystać całe dziesięciolecie swojego ciągle użytecznego życia, jakie im jeszcze pozostały, pomagając w zarządzaniu społecznościami, do których należą, animując przestrzeń służącą spędzaniu wolnego czasu i działalności kulturalnej, organizując komunalne zakorzenienie prewencyjnej ochrony

zdrowia, przyczyniając się do zadrzewienia osiedli itp. Osoby te mogą (tylko *mogą*) nie mieć opanowanych najnowszych technologii cybernetycznych, ale posiadają ogromną wiedzę ludzką, a to jej właśnie najbardziej brakuje, i wielki kapitał wolnego czasu.

Tego rodzaju inicjatywy pozwalają odradzać się lokalnym inicjatywom gospodarczym. Społeczności, które przez długi czas były więźniami poglądu, że miejsca pracy *stworzy* General Motors czy inne przedsiębiorstwo wielonarodowe lub przejazd wynajętej przez jakiegoś skorumpowanego polityka ciężarówky z orkiestrą i sprzętem nagłaśniającym, odkrywa potencjał samoorganizacji. Paul Singer, który dał nam wiele analiz ekonomicznych, dziś zakasał rękawy i pomaga w tworzeniu w całym kraju spółdzielni. Burmistrzowie gmin Wielkiego ABC na peryferiach São Paulo zorganizowali izbę regionalną, która pozwala dynamizować działalność drobnej i średniej przedsiębiorczości i wiązać wysiłki urzędów gminnych, przedsiębiorstw, związków zawodowych, Brazylijskiej Służby Wsparcia dla Małych i Średnich Przedsiębiorstw (SEBRAE) i rozmaitych uniwersytetów celem tworzenia atmosfery sprzyjającej rozwojowi drobnej przedsiębiorczości. Drobne przedsiębiorstwo to coś innego niż korporacja, która może się gdzieś zainstalować, ale może się również wynieść, może stwarzać miejsca pracy i je niszczyć, w zależności od tego, jak w jakimś dalekim kraju zmienia się stopa zysku. Drobne przedsiębiorstwa mają właścicieli, działają na terenie określonych osiedli – mają tożsamość, a więc nie są anonimowe. One też się likwidują, ale powstają inne i z powodzeniem możemy tworzyć konteksty sprzyjające ich działalności.

Brałem udział w zorganizowanym przez UNICEF na południu Włoch spotkaniu międzynarodowym. Przedstawiono na nim setki doświadczeń renowacji miast, które ogniskują się na dzieciach – bo to też obywatele. W wielu miastach przy urzędach miejskich działają już dziecięce rady konsultacyjne, które trzeba konsultować w sprawach wszelkich mających związek z ich interesami projektów architektonicznych. Wychodzą z tego niebywale praktyczne rozwiązania – odkryto, że 50 proc. dzieci nie rozumie sygnalizacji ulicznej. W rezultacie projektuje się sygnalizację na nowo, razem z dziećmi, po to, aby była dla nich zrozumiała. Na jezdniach i ulicach zaznacza się *bezpieczne przejścia*, aby ułatwić dzieciom samodzielne poruszanie się po mieście. Pod presją ruchów dziecięcych i często przy poparciu organizacji nauczycielskich odzyskuje się place zamienione na parkingi i robi się z nich prawdziwe place zabaw z ławkami, zielenią, wodą, przestrzeniami socjalizacji i humanizacji.

W tej książeczce nie chodzi o skatalogowanie świata, który się wyłania, gdy ludzie odkrywają, że są osobami, stanowią społeczeństwo, mają prawa – że są obywatelami, a nie tylko klientami. Ten, kogo to interesuje i kto ma taką wolę, może wziąć udział w podejmowanych praktycznie wszędzie inicjatywach. Ten, kto chce je poznać, znajdzie dziś mnóstwo odpowiednich studiów, stron internetowych, publikacji alternatywnych. Ten ruch jest już planetarny, choć nieznanym wszystkim, którzy uważają, że rzeczywistość jest taka, jak ją przedstawiają wielkie media.

Dla nas najważniejsze jest pokazanie, że zwykły obywatel niekoniecznie jest bezsilny. Może głosować swoją kieszenią, gdy robi zakupy, swoimi oszczędnościami, gdy je lokuje, swoją pracą społeczną, gdy popiera powstające wszędzie organizacje społeczeństwa obywatelskiego. Niezwykła jest liczba osób, które wolą wybrać niższą płacę w społecznie użytecznych organizacjach sektora służb, aniżeli spędzić życie na próbach obnoszenia się z pustym sukcesem indywidualnym.

Złe samopoczucie niekoniecznie jest lewicowe lub prawicowe, niekoniecznie jest właściwe bogatym lub biednym, krajom wysoko lub słabo rozwiniętym. Jest to złe samopoczucie cywilizacyjne lub kulturalne w najszerszym tego słowa znaczeniu. Istota ludzka otworzyła puszkę i wypuściła z niej fantastyczne technologie i olbrzymie potencjały naukowe. Jej potrzeby pozostają jednak prozaicznie ludzkie. Przystosowanie technologii i potencjału gospodarczego do potrzeb ludzkich jest zadaniem zarazem prostym i niebywale

skomplikowanym. Do realizacji tego zadania nie potrzeba więcej produktów – potrzeba więcej inicjatywy i organizacji, więcej inteligencji społecznej. Nie zależy też ona – co ma ogromne znaczenie – od dojścia do władzy jakiejś klasy czy męża opatrnościowego. Jest nawet prawdopodobne, że odmienna od obecnej władza polityczna nie powstanie dopóty, dopóki nie zbudujemy oddolnie społeczeństwa, które ujmie w swoje ręce cugle swojego rozwoju.

Prawdą jest, że musimy odnaleźć równowagę. Przy pomocy patologicznych segmentacji systemowi udało się stworzyć monstrualną rzeczywistość. Udało się oddzielić działalność gospodarczą od ekologicznych, społecznych i kulturalnych skutków tej działalności. Odizolowaliśmy teorię ekonomiczną od filozofii oraz od nauk społecznych i politycznych. Stworzyliśmy chorobliwego osobnika – jednofazowego, goniącego za zyskiem technokratę. Ze względu na swoją pozycję w megafirmach działających na kuli ziemskiej i na technologie, jakimi się posługuje, dysponuje on wielką władzą, która pozwala mu stosować system, ale nie zawsze pozwala mu go zmieniać.

Świat opanowany przez pieniądz, zysk, komercjalizację i reklamę musi odnaleźć swoją oś, służyć naszemu życiu, a nie zmuszać nasze życie, aby mu służyło. Ekonomia jako nauka nie może być dłużej obscenicznym narzędziem manipulacji i uzasadniania absurdalnych interesów; ponownie powinna służyć ludzkości.

Rozdział ten zaczęliśmy od cytatu z Allana Blooma, wcale nie ekstremistycznego profesora amerykańskiego. Możemy rzec razem z nim: „Podsumowując, życie stało się nieprzerwaną, sprzedawaną hurtowo fantazją masturbacyjną. Taki opis może wydać się przesadny tylko tym, którzy wolą go za taki uważać.”

Dziś megafirm finansowych, medialnych, spekulacyjnych, manipulacyjnych i ich zawsze tych samych podpórki politycznych nie straszy widmo sierpa i młota. Straszy widmo odmowy kulturalnej – ogromnego worka pełnego społeczeństwa, które chce czegoś innego i zakasuje rękawy.

Epilog

Epilog to ładne słowo. Prawie zapomniane. Ponieważ jednak ta książka ma z należytym lekceważeniem, na jakie zasługuje przesadna obiektywność nauki, wywołać w niej zamieszanie poprzez wprowadzenie subiektywności przeżyć i doświadczeń, ten komentarz końcowy wydał mi się pożyteczny jako pewien rodzaj przemyslenia myśli.

Lubię biały ser, rozmaite rodzaje twarogu, ricottę itp. Na balkonie, na niewielkiej przestrzeni, hoduję lebiodkę, rozmaryn, majeranek, szalotkę, pietruszkę, pieprz itp. Zawsze lubiłem smacznie jadać. Na dużą pajdę włoskiego chleba kładę ser, dodaję lebiodkę, majeranek, szczyptę świeżo zmielonego czarnego pieprzu, a do tego wszystkiego kilka ziarenek gruboziarnistej soli. To nie jest duża inwestycja. Niewiele mnie kosztuje. Przyjemność jest ogromna.

Moja postawa musi oczywiście wywoływać głęboką irytację przedsiębiorcy, dla którego liczy się ekonomia skali, efektywność i konkurencyjność. Faktycznie, supermarket oferuje mi taki sam, ale już gotowy i zapakowany w plastikową torebkę biały ser z *fines herbes*, który waży 140 gramów; kosztuje to cztery i pół reala. Po pierwsze, ponieważ wielkie przedsiębiorstwa produkujące ser płać producentom około pięć centów za litr mleka, ser i przyprawy w plastikowej torebce warte są około pięciu centów. Nie podoba mi się, że muszę za to płać przeszło cztery reale. Po drugie, nie potrzebuję, aby jakieś przedsiębiorstwo oferowało mi gotowe produkty celem „zaoszczędzenia mojego czasu”. Nie chcę spędzić życia na uganianiu się za pieniędzmi, za które mogę robić czasooszczędne zakupy. Wcale nie jest mi też niemiłe irytowanie tego rodzaju przedsiębiorców.

Nie wszystko można zrobić w domu, a ekstremizmy daleko nie prowadzą. Czasami lubię skropić ser paroma kroplami oleju; olej pochodzi z Portugalii, sprzedaje się go w dużych opakowaniach i jest smaczny. Ostatnio jednak spożywam aromatyczny olej z Giovinazzo na południu Włoch – regionu, który poznałem pracując w pociągach. Sprawia mi przyjemność to, że ten olej pochodzi ze spółdzielni – że robią go tradycyjne rodziny, które o oleju wiedzą wszystko.

Absurdalność filozofii, która nami rządzi, mieści się w jednym akapicie. Dynamika sukcesu sugeruje, aby spółdzielnię utworzoną przez tradycyjne rodziny wykupiło wielkie przedsiębiorstwo produkujące oleje, wprowadziło *just-in-time*, zastąpiło charakterystyczny aromat miejscowej oliwki łagodniejszym smakiem, który przypada do gustu *przeciętnemu konsumentowi*, zwolniło z pracy starych ludzi, którzy bronią tradycyjnych form produkcji, wprowadziło efektywną organizację pracy, w której wszyscy będą padać na pysk lub wypruć sobie żyły w klimacie permanentnej niepewności, a celem promocji nowego produktu przeprowadziło szeroką kampanię reklamową, w której wystąpi typowy włoski staruszek w berecie i stwierdzi, że w tym oleju wszystko jest *tradycyjne*. Bo *big business* niszczy to, co jest, ale wcale nie jest durniem...

Prawda jest taka, że między serami, miłością i pracy – nie koniecznie w tej kolejności – odbudowuję swoje życie. Między początkowym szokiem, jakim w mojej młodości był widok cierpiących nędzę dzieci w Recife, a oburzeniem, jakie odczuwam dzisiaj na wiadomość, że co roku z niepoważnych przyczyn umiera na świecie 12 milionów dzieci, nastąpiła głęboka zmiana – a może wolta. Była to dalekosiężna wolta prowadząca od emocji i wściekłości poprzez suche i jałowe modele makroekonomiczne do bardziej ukształtowanej, a przede wszystkim bardziej ludzkiej wizji. Pozostało mi oburzenie i dziś jestem przekonany, że złożone argumenty, które wiecznie uzasadniają odkładanie *ad calendas graecas* godziwej płacy, pomocy dla głodnych dzieci, przyzwoitej służby zdrowia stanowią w istocie haniebne racjonalizacje interesów, które nie mają sensu i prowadzą nas do powszechnego impasu.

Całe nasze społeczeństwo jest zorganizowane wokół walki, sukcesu, pustego dążenia, aby zostać *zwycięzcą*. Szczerze mówiąc, czuję się zwycięzcą, gdy mogę spędzić przedpołudnie z dziećmi lub z żoną Fatimą – kobietą silną i kruchą. Jak to się dziś mówi – ze swoją własną kobietą. Jakiś czas temu, spędzając wakacje w Toronto, gdzie mieszka mój najstarszy syn, zagraliśmy na trawie w piłkę. W Toronto jedno boisko bez supermarketu przypada na pół tuzina kwartałów. Człowiek wchodzi na boisko bez legitymacji członkowskiej, nie musi popisywać się zegarkiem i sygnetem ani zakładać żadnego munduru. Jest to pole, na które istoty ludzkie – to niebywale – mają tak samo wolny wstęp, jak ptaki czy psy. Nie jest to żaden uprzejmy prezent *Casas Toronto*. Jeszcze bardziej niebywale jest to, że nie wykorzystuje się też boisk do prezentowania ogromnych kobiet, które tłumaczą, co powinniśmy kupić, aby być szczęśliwi. Otaczające je drzewa są prawdziwe.

Choć kiedyś (*kilkadziesiąt* lat temu) miałem opinię dobrego piłkarza, teraz, w wieku ponad pięćdziesięciu lat, musiałem uciekać się do rozmaitych wybiegów i podstępów, aby poradzić sobie z moimi dziećmi, które kiwały mnie bez pardonu. Po chwili, umorusany i tak zdyszany, że zdawało mi się, iż za chwilę umrę, położyłem się na trawie; nad sobą miałem ogrom nieba, pod sobą świeżość trawy i znosiłem w milczeniu gniewne komentarze zawiedzionych dzieci. Takich chwil szczęścia nikt mi nie odbierze – nie mają nic wspólnego z pieniędzmi. Składają się na coś, co tracimy z pola widzenia – na tak zwane życie.

Zrekonstruowana mozaika nie przekreśla oburzenia i cierpienia, ale nadaje im sens, ponieważ emocje są dobre, etyka jest istotna, a techniki są po to, żeby nam służyły. Choć składanie kamyków życia przychodzi nam z trudem, mozaika życia jest tylko jedna.

Sugerowane lektury

Bibliografie i przypisy są notorycznie nudne. Ponieważ jednak – mam taką nadzieję – wielu czytelników może chcieć dowiedzieć się czegoś więcej o niektórych poruszonych tu sprawach, postanowiłem sporządzić niewielki komentarz do lektur, które poszerzają horyzonty i które uważam za wartościowe. W rzeczywistości nie ma *za wiele* do czytania. Dziś zamiast dużo czytać, lepiej wybrać prawidłowo to, co się czyta.

Przede wszystkim uważam, że warto zwrócić uwagę na autorów, ludzi z krwi i kości, którzy torują drogi. Niezwykle stymulujące jest czytanie Johna Kennetha Galbraitha – np. takich jego dzieł, jak *Godne społeczeństwo* (Warszawa, Bellona 1999). *An American Dilemma: The Negro Problem and Modern Democracy* Gunnara Myrdala to również znak minionego stulecia, łączący analizę ekonomiczną z koncepcją etyczną i kulturalną. Wybitnym dziełem pozostaje nadal raport *Our Common Future* pod redakcją Gro Harlem Brundtland, w którym jasno formułuje się dylemat przetrwania naszej planety. Autorem, który był dla mnie bardzo stymulujący, jest David Korten – napisał *When Corporations Rule the World* i *Świat po kapitalizmie* (Łódź, Obywatel 2002) i zatacza pełne koło, od niekontrolowanej władzy megakorporacji po alternatywy wyłaniające się w stuleciu, które się zaczyna. Jest też kilku autorów znudzonych sloganami, które się przeżyły i którzy konstruują propozycje i alternatywy. Książka Jeremy Rifkina *Koniec pracy* (Wrocław, Wydawnictwo Dolnośląskie 2001) wydaje mi się zbyt upraszczać sprawy, ale *Wiek dostępu* (to samo wydawnictwo, 2003) to wielka książka pozwalająca zrozumieć nowe trendy. Hazel Henderson przyniósł nowe spojrzenie na ekonomię, pokazując w *Building a Win-Win World*, że możliwy jest postęp bez niszczenia innych ludzi i że gospodarka formalna w rzeczywistości stanowi tylko stosunkowo niewielką część naszej działalności. Książka Joela Bakana *The Corporation: The Pathological Pursuit of Profit and Power* jest znakomitą aktualizacją problemów świata korporacyjnego, a zrobiony na jej podstawie film dokumentalny (www.thecorporation.tv) stał się w 2004 r. przełomowym wydarzeniem w tej dziedzinie.

Istnieje jednak również inny sposób dotarcia do dobrych studiów – można pójść w ślady prac publikowanych przez instytucje, które torują nowe drogi. Ten, kto chciałby np. pogłębić swoją wiedzę o Trzecim Sektorze, może zwrócić się za pośrednictwem Internetu do John Hopkins University, pod adres <http://jhu.edu>. Dziś w każdym kraju niezliczone formy, w których człowiek może bezpośrednio uczestniczyć w inicjatywach społecznych i gospodarczych, a liczne strony internetowe to preferencyjny i łatwy sposób dostępu do nich.

Trzecią osią, z którą warto się zapoznać, są rozmaite sprawozdania międzynarodowe. Dawniej pisało się mniej więcej wyczerpujące zagadnienie książki o sytuacji międzynarodowej. Dziś, przy obecnym tempie zmian, wiele instytucji zaczęło publikować roczne sprawozdania, które stanowią uprzywilejowane narzędzie śledzenia przeobrażeń zachodzących na kuli ziemskiej. Wyróżniają się wśród nich znakomite *Raporty o rozwoju społecznym* publikowane co roku przez Program Narodów Zjednoczonych ds. Rozwoju; można je uzyskać w każdym biurze ONZ lub na stronie internetowej <http://www.pnud.org/hdro>. Publikowany co kilka lat *Raport o rozwoju społecznym Brazylii* również stanowi znakomite narzędzie studiów dynamik społecznych w Brazylii – w szczególności mamy na myśli sprawozdanie z 1996 r., w którym określono ramy metodologiczne; można je znaleźć na stronie internetowej <http://www.ipea.gov.br>. UNESCO publikuje co dwa lata *World Information and Communications Report* ze znakomitymi studiami przeobrażeń społecznych w dziedzinie technologii informacji i edukacji. Sporządzany przez UNCTAD *World Trade Report* prezentuje co roku bardzo dobre analizy międzynarodowych tendencji ekonomicznych, przy czym punkt widzenia jest w nich o wiele bardziej otwarty niż w tradycyjnych już *World Development Reports*, które sporządza Bank

Światowy. Francuski miesięcznik *Le Monde Diplomatique* dziś stanowi niewątpliwie najlepsze źródło informacji międzynarodowej.

Chciałbym też wspomnieć o bardzo inteligentnie napisanej książce – *History of the World* J. M. Robertsa. Rzeczywistość zmienia się dziś w takim tempie, a media zarzucają nas tyloma wiadomościami bez przeszłości i przyszłości, że sprawą zasadniczą stało się uzyskanie perspektywy historycznej – mocne stąpanie po ziemi w połączeniu z dobrą informacją. Książkę Robertsa nie tylko czyta się z przyjemnością – jest to dzieło genialne.

Nie zapominam o autorze niniejszej książki, który w swoim życiu zawodowym stworzył kilka studiów. Zorganizowane pod postacią artykułów, książek, linii badawczych i notatek z lektur są one dostępne na stronie internetowej <http://ppbr.com/ld>. Jest tam gazetka ścienna, która w dość demokratyczny sposób pozwala okazać zainteresowanie lub dać upust irytacji.